

MARIA RODZIEWICZÓWNA

Atma

I

Odczuł Adam Jaworski jakby mocne pchnięcie i usuwanie się w próżnię. Zrazu przejęło go to zgrozą, potem nie czuł nic, aż się ocknął na jakiejś drodze wśród skał, wiodącej w czarną gardziel. Droga tę szedł tłum ludzi nie znanych mu i obojętnych. On sam, oszołomiony sekundę, zrozumiał, że iść musi, że ma jakieś sprawy do załatwienia, że kogoś szuka. Obejrzał się i wzdrygnął - za nim tuż stała postać z połą szaty nasuniętą na twarz. Poznał ją i rzucił się naprzód, do ucieczki.

I szedł bardzo prędko po głazach, ale ilekroć zmęczony zatrzymał się, słyszał za sobą jeden krok, który wśród tysięcy stąpań rozpoznawał. Wreszcie, wyczerpany, ostatnim odruchem uskoczył w bok, na stromą ścieżkę pnącą się ku szczytom. Ośliznęła mu się noga, już się znowu staczał, gdy ktoś mu podał rękę. Podniósł wzrok. Była to kobieta - poznał ją: pierwsza, którą zbecześcił i odepchnął.

- Atma! - wyrwało mu się z wybuchem szczęśliwości. - Wracam do ciebie. Wiesz? Uwolniłem się.

Kobieta potrząsnęła głową.

- Od niego? Nie! Patrz, czeka na ciebie.

Wskazała postać na drodze.

- Urowadź mnie! Ukryj! Zostańmy razem! Ty wiesz, jakem po tobie tęsknił. Przyszedłem tu po ciebie, za tobą, dla ciebie. Czy opuścisz mnie teraz?

- Masz sprawę z nim. Czeka na ciebie. Chodź! Wolnym nie będziesz, póki on cię nie uwolni. Stań z nim oko w oko!

- Nie chcę. Jakim prawem on tutaj?

- On ci powie. Nie ujdiesz mu. Sądz być musi.

- Nie chcę go. Nie odejdę ciebie.

- Razem pójdźmy! Nie lękaj się!

Ujęła go za rękę. Uczuł moc i uspokojenie. Postać kędyś znikła. Minęli zakręt skały. Ujrzał przed sobą Adam jakby świątynię w głazach wykutą, do której wstąpił.

Postać czekała nań.

- Idź! - rzekła kobieta.

Adam usłuchał. Jakaś rozpaczna determinacja rzuciła go w proch przed tym sędzią, przed prawem.

- Zbiegłem od ciebie. Na próżno. I tu jesteś. Więc co mam czynić, byś mnie nie katował. Rzuciłem wszystko... tam, byleś mnie nie męczył. Czego żądasz więcej?

- Żądam, byś rzekł życie całe.

- Po co? Znasz je. Byłeś ze mną. Wróg.

- A pomnisz ten zdroj, ten wieczór, tę ciszę, gdyś z Atmą u serca roił życie, a jam ciebie słuchał. Byłżem wrogiem wtedy?

- Ale ja byłem dzieckiem nieświadomym życia. Ono przyszło... musiałem żyć.

- A cóż jest życie?

- Prawda, znajomość złego i dobrego.

- Poznałeś wtedy wszystko; wybrałeś wedle woli, drogę i czyn. Pozbyłeś się Atmy. Nie słuchałeś mnie. Byłeś wolny przecie.

- Wolny... z tobą. Męczennikiem byłem.

- I otrząsnąłeś się z szaty i odszedłeś uczty swego życia. Zaliś myślał, że przy tej biesiadzie ja jestem, że tam zostanę? Szalony! Do mnie należysz tu i tam... zawsze wszędzie... od prawieków w prawieki! Rozumiesz?

- Cierpię, duszę się, męczę! Daj mi nie być!

- Zrozum, a odejdzie cię pragnienie. Mów ze mną, a umiłujesz. Łachman cię dławił, boś go cuchnącym uczynił. Zrozum ktoś ty...! Spójrz, gdy otworzone twe źrenice!

Adam ujrzał górę całą, przepaście bezdenne i ciemne, strome szlaki, po których tłum szedł, i mgły wiszące po zboczach; a podniósłszy oczy zobaczył szczyt w słońcu i tęczy.

- Stamtąd pochodzisz... tam dojść musisz. Patrz, zrozum, zapamiętaj! A teraz ja ci powiem, jakieś szedł, jakieś żył. Przestałeś wcześniej być dzieckiem. Jeszcześ myśleć nie umiał, gdyś umiał szaleć zmysłami. Pomnisz... czternastoletnim byłeś, gdy rozpusta ci się stała obyczajem, chlubą, nałogiem, sławą. I zwałś zwierzęcy szal rozkoszą, i zwałś miłowaniem mord nad duszą własną i cudzą. Tylkoś mnie wtedy nienawidził, gdym cię pytał, czy ci to czynić wolno, dlatego, że tak inni czynią, że za to nie ma sądu i kary - tam.

- Cierpiał - rzekła Atma.

- Zbawienie jego w tym cierpieniu. Bogactwo jego. A gdyś się stał mężem, rozpocząłeś walkę o byt. O byt twych wymagań wygody i wczasu, żądzy rozrywek użycia, zachcianek coraz nowych i większych. Dlategoś deptał lub usuwał słabszych, szydziłś z pokonanych, nazywając ich głupimi, cieszyłś się z korzyści nad łatwowiernym, schlebiałś możnym w złoto lub stanowisko, i myśli twe były oddane troskom i staraniom o materię, uciecze z korzyści dla brzucha i kieszeni, a serce twe było pełne zawiści i nienawiści dla tych, co więcej mają, bo więcej mogą użyć. I stało się twe życie wedle woli i wyboru twego, i miałeś wszystko, czegoś zapragnął: spełnione pragnienia, zaspokojone żądze, osiągnięte zdobycze. Posiadłeś wszystkie kobiety, których chciałeś, masz zbytek, stanowisko, sławę, honory... wszystko, co tam zwą szczęściem.

- Kłamstwo! Wiesz, żem cierpiał. Tyś był i mówił. To męka.

- Zali morderca może być szczęśliwy? I jaki zgiełk zagłuszy mój głos.

- Nie byłem gorszy od innych, a oni nie cierpieli.

- Skąd wiesz? Wy się wstydzicie dobra, któregoście w sobie nie dobili; wy nie wyznacie takiego cierpienia. Mowa wasza, jak i czyny wasze. Śmiech wasz to szyderstwo lub małpia uciecha ze sromu, płacz wasz to fałsz lub samolubstwo. Nie macie ich dla Atmy, dla mnie. Ją splugawić byście chcieli, mnie zabić lub znienawidzić. Nienawidzisz mnie, bo się lękasz i mścisz się, szargasz w gnoju ciało, czucie, myśli... i zdaje ci się, że mnie. Bezrozumny! Ja twój pan!

- Tęsknił po mnie! - rzekła Atma.

- Wiem, dlatego nie przestawał doń mówić.

- Mówiłeś bez litości, rozpaczą byłeś, męką. Chcę mieć kres, chcę ciebie nie słyszeć.

- Kres tam, w tym słońcu. Zwlokłeś szatę. Zrozum! Nie jam ci ciążył, lecz zbrukana szata. Mnie miłujesz, bo cierpisz, że nienawidzisz. Ze mną tam, w słońcu tym byłeś... Pomnisz? I byliśmy jednym... i będziemy jednym. Szatę zdarłeś, splugawiłeś i rzuciłeś precz. A ja powiadam: ni inną weźmiesz, ni wolnym będziesz. Ten łachman na powrót wdziejesz, aż donosisz.

- Nie, nie! - rozpacznie Adam zajęczał.

- Lękasz się, brzydzisz szmaty! A przecie ten łachman materii twoim panem był. Wołał: "Bierz!..." i brałeś, garnąłeś, chwytałeś chciwie. A jam ci mówił: "Dawaj!..." i nie usłuchałeś mnie nigdy. Nie jam ci rozkazywał... nie dałeś mi sobą rządzić.

- Nie rozumiał mądrości! - rzekła Atma. - Mów mu teraz, mów... oczy ma otwarte, szczyt widzi... tam z nim... mów... zrozumie!

- Słuchaj tedy! Za chwilę znowu daleki nam będziesz. Chcesz miłowania mego, zgody, mądrości życia? Tedy ci mówię: Dawaj, nie bierz! Zapamiętaj! A teraz wracaj do szaty swej. Donosić musisz, wybielić możesz. I spójrz mi twarzą w twarz... byś tęsknił do szczytu.

Adam spojrział, a jednocześnie uczuł, że zapada w głąb, że się znowu stacza, że postać jest mocą, pięknnością, Bogiem.

- Atma! Ty ze mną! - zawołał rozpacznym jękiem tęsknoty, prośby, pożądania.

Poczuł jakby litosne dłonie na skroniach, łzy pod powiekami, szept słów jakby pieszczoty czy pieśni i zarazem ból, słabość, życie. Otworzył ciężkie powieki.

Zobaczył ledwie oświetlony pokój, poczuł ostry zapach lekarstw i posłyszał łkanie kobiece i głos:

- Żyje jeszcze. To było omdlenie. Niech pani nie traci nadziei! Uratujemy go.

- Doktorze, należy wezwać księdza! - ozwał się głos kobiety. - Taki wstyd, skandal!... Broń Boże śmierci, odmówią ludzkiego pogrzebu. Ja pojedę, sama księdza ubłagam, wytłumaczę chorobę... przywiozę. Nieprawdaż, Anielko?

- Niech mama jedzie! Mój Boże! I za co mnie to dotyka?!

Adam słyszał każde słowo, ale tak, jak się słucha rozmowy nieznanymi sąsiadów, za ścianą; nie uważał ani go to zajmowało.

- Za co? - odparł gniewnie drugi głos. - Jeszcze będziesz w sobie win wyszukiwać! Cała rodzina wariatów... przyszło i na niego.

- Pani prezesowa raczy ciszej mówić! - szepnął doktor. - Ocucił się, słyszy!

- Mówię prawdę. Jestem matką... cierpię za córkę!

- Mamo, teraz nie chwila na oburzenia!

Drzwi się zamknęły, zapanowała cisza.

W głowie Adama obrazy i dźwięki poczęły się kawałkować, mieszać, gmatwać, zasnuwać mgłą. Ogarniał go bezmyśl i apatia ciężkiej niemocy.

I tak leżał na wszystko obojętny, bez woli, czucia i władzy, w swym pięknym domu, w przepychu i zbytku gabinetu, z raną ciężką w boku własnoręcznie zadaną.

Na dywanie czerniała wielka plama krwi, walał się rewolwer, zawodna broń; przez okno zazierał do pokoju ołowiany, listopadowy, późny ranek. Jakby dalekim echem usłyszał jeszcze parowy sygnał w cukrowni, ale i na ten gwizd, będący dlań pobudką do pracy, ani się poruszył, ani podniósł powiek. Postanowił był z życia się wycofać i na życie już nie reagował.

A tymczasem telegraf rozniósł wieść o wypadku do rodziny i najbliższych. Pierwszy przybył z Warszawy teść-prezes i główny akcjonariusz cukrowni, której Adam był administratorem i współwłaścicielem.

Przybył i pierwsze słowo było:

- Zgrał się na giełdzie?

Tego nikt z domowych nie wiedział. Prezes depešami zasięgnął informacji, zbadał stan kasy, rozpytał zarząd cukrowni, rządę, kasjera i uspokojony na razie, dopiero spytał:

- No ale żyć będzie? Co doktor mówi?

Doktorów zjechało się już trzech. Mówili jak Pytie, zagadkami: jeżeli tak... jeżeli nie, to może jest nadzieja... byle nie przyszły komplikacje i tym podobne. Wtedy dopiero prezes zażądał relacji katastrofy. Opowiedziała mu żona, bo pani Adamowa po tylu wstrząśnieniach i wrażeniu położyła się zupełnie wyczerpana.

Adam niczym nie zdradzał jakiegoś anormalnego stanu. Pracował jak zwykle, jak co roku w czasie kampanii, mało co pokazując się w domu. Dnie i wieczory spędzał w biurze, w fabryce,

wyjeżdżał do Warszawy, bywał w miasteczku i u sąsiadów. W domu przy obiedzie i wieczery rozmawiał swobodnie, w niedzielę grał w winta, żartował, był wesół. Wczoraj wrócił po południu od Gawrońskich, gdzie był sędzią w kompromisie, i zaraz go wezwano do fabryki w kwestii jakiejś maszyny. Przy wieczery wypił parę kieliszków wina i wcześniej poszedł do siebie, mówiąc, że ma wiele do pisania. Lokaj mu tam zaniósł o dziesiątej herbatę i opowiadał dziś, że go zastał leżącego na otomanie.

Panie poszły spać o jedenastej. Zbudził je w nocy o piątej krzyk służącego, że pan zabity.

- Po cóż służący chodził do niego tak rano?

- Przyszła depesza, odnosił ją, a nie otrzymując odpowiedzi na pukanie, wszedł. Drzwi nie były na klucz zamknięte. Doktor mówił, że strzelił o czwartej, mierzył w serce.

- Od kogo była depesza?

- Nie wiem. Gdzieś tu leży.

Znaleziono ją i prezes przeczytał:

- "Zdrój dla pragnącego - ognisko dla brata".

- Co to? Bez podpisu. Pewnie od kobiety. Skąd? - zaniepokoiła się prezesowa.

- Jakaś Ruda. Dowiem się w telegrafie.

- Romans miał... Czekał depeszy... nie przychodziła... z desperacji targnął się na życie!

Ale prezes depeszę do kieszeni wsunął i ruszył ramionami.

- Brednie! Z miłości taki się nie strzela. Zresztą trzeba zatuszować skandal przez wzgląd na Anielkę. Wypadek z bronią i basta. Dzięki Bogu, że nie bankructwo, nie zachwianie funduszu. Jak wyjdzie z niebezpieczeństwa, to go wybadam. A teraz nie ma czego się alterować. [niepokoić się, trapić się.] Zdaje mi się, że interesy w porządku.

Następnym pociągiem przybył brat pani Adamowej, a marnotrawny syn prezesa, kolega Adama z zagranicznej politechniki, znany bywalec wszelkich knajp i tingłów [podrzędna kawiarnia] warszawskich.

- A temu co do łba przyszło? - spytał zdumiony. - Onegdaj był u mnie, cieszył się wysokim procentem cukru, gadał o dywidendach. Byliśmy wieczorem na kolacji w kabarecie. Zupełnie był do rzeczy.

- Powiedz, Ignasiu, jak na spowiedzi cię zaklinam: miał on kochankę? - zaczęła go badać matka.

- Nie, mamó, i to nie! Przysięgam! Miał kochanki, ale jednej... nie.

- Więc miał, hulał, tracił z ulicznicami fundusz Anielki.

- Moja mamó, ten fundusz Anielki jest tak obwarowany i zaryglowany, że chyba diabeł się do niego nie dobierze. Jak tracił, to swoje. Przecie on ma rocznie ze dwanaście tysięcy dochodu. Zresztą on nie traci... on dorabia. Ho, ho! to sprytna sztuka. On może palnął do siebie ze zgrzyoty, że nie dokupił jeszcze jednej akcji. Wiem, że targował udział Skibińskiego. No ale co? Wylize się?

- Doktorzy mają nadzieję! Ale... takie nieszczęście!

- Czego? Czy on jest mamy córką na wydaniu? Straci opinię! Głupstwo! Bestia, będzie miał potem jeszcze większe powodzenie u kobiet. Taki samobójca to bardzo interesujące. No a cóż Anielka, bardzo desperuje? A ojciec gdzie? Pewnie wertuje rachunki... w strachu cały!

- Trzeba mówić, że to był wypadek z bronią.

- Ale! Już mi na kolei opowiadali, że Jaworski się zastrzelił... bo tak mu teściowa obrzydła! Ignac się roześmiał i gwizdząc poszedł do siostry.

Ostatnią osobą, która przybyła po wieści, była jakaś stara ciotka Jaworskiego, wdowa, kapitalistka.

Przybyła bez tchu, przerażona o sumę pięciu tysięcy rubli, które miała u niego na prosty weksel. Gdy ją prezes uspokoił, że suma pewna, i gdy się dowiedziała, że żyć będzie, puściła wodze swemu oburzeniu na całą rodzinę Jaworskich. Była jakąś stryjeczną siostrą ojca Adama. To był wariat, pasjonat, strzelał do ludzi... Tyran dla żony... umarła z melancholii. Ciągłe się pieniał, wszystkich sąsiadów procesował i miał manię kupowania ziemi. Zostawił też masę tych morgów: piachów, błot, bagien, bo kupował byle co i byle tanio. A że przy tym farmazon (wolnomyśliciel) był i w kościele od świec cygara zapalał, więc go podobno nawet na święconej ziemi nie pochowano, ale w ogrodzie. Trzech synów i córkę miał.

- Co? - zdumiała się prezesowa. - Adam nigdy o żadnym rodzeństwie nie wspominał.

- A bo przy działach z najstarszym bratem się pokłócił i nie znają się teraz wcale. Siostra za mąż wyszła i umarła, a drugi brat gdzieś aż na Syberii i wieść o nim zginęła.

- No a te dobra? - spytał prezes.

- Ten najstarszy, Antoni, tam siedzi. Wszystkich spłacił, odłużył się, zdziczał. Nie ożenił się, jakąś miał romantyczną historię z mężatką. Żyje jak puszczyk w tym starym dworze. To tak daleko, że o nim nic nie słyhać. Wszyscy Jaworscy o familię nie dbają. Adam osierociał w dwudziestym roku. Zaraz po pogrzebie ojca z bratem się pokłócił, spłatę wziął i tylko o rublu myśli. Są ubodzy krewni w Warszawie. Przemawiałam do sumienia, że przecie pomóc może, więc powinien. Nigdy nie dał grosza. A teraz to kara Boża... w grzechu śmiertelnym zejdzie z tego świata; bo choćby i wyżył, niedowiarek jest... u spowiedzi nie bywa... na piekło skazany.

Ona mu to dawno przepowiadała. Wszyscy Jaworscy za ojcowskie grzechy źle skończą. Musi tak być.

Prezes spytał, czy znała swego stryjecznego brata. Nie, nie znała, bo on i z nimi się procesował i wydarł szmat ziemi jej rodzicom. Nikt z sąsiadów nawet u nich nie bywał. Upiory tam tylko chodzą dotąd, bo i teraz ten Antoni żadnych stosunków z okolicą nie ma. Zresztą to koniec świata, już na granicy smoleńskiej guberni, w bezludziu, bo z obywatelstwa polskiego mało kto został.

Prezes z rozmowy z nią więcej się dowiedział o pochodzeniu i stosunkach zięcia niż od niego przez pięć lat współżycia. Ucieszyły go te wieści, bo starszy, bezżenny brat był cennym osobnikiem, a te dobra reprezentowały tysiące. Gdy odjechała, troskliwie się rozpytał doktorów o stan rannego. "Miał gorączkę, ale jeśli nie zajdą komplikacje, będzie uratowany."

Trwało to tydzień. Nareszcie przyszedł dzień, że z chorym można było mówić, więc prezes sprawę zagaił:

- Mój drogi, co? Dobrze jest żyć? Co prawda pojąć nie mogę, co ci do głowy strzeliło tak nas wystraszyć. To, jak mówią Rosjanie: z żyru biesiatsia (ros. dobrobyt uderza im do głowy)... chyba.

Adam był spokojny, przytomny, tylko bardzo słaby.

- Do głowy mi nic nie strzeliło, tylko kiepski rewolwer w piersi.

- Przypadkiem?

Chory chwilę myślał, jakby się wahał.

- Nie. Tylko źle kierowany.

- Ale dlaczego, po co, za co? Przecie nie interesy?

- Bolały mnie... zęby - odparł.

Prezes popatrzył na niego. Twarz chorego, zwykle twarda, energiczna, stała się przez gorączkę i cierpienie jakby skurczona, zamyślona.

- Zęby? Żartujesz sobie ze mnie. Dentystów nie brak. Przyznaj się... zostanie między nami.

- Powiedziałem ojcu. Od roku cierpię. Ojciec widział ilustrowane bajki Andersena?

Prezes dotknął jego czoła myśląc, że majaczy, ale czoło było normalnie ciepłe i chory, zrozumiawszy ruch, uśmiechnął się.

- Nie bredzę. W tych bajkach jest rysunek szatana bólu zębów. Książka leży w buduarze Anielki... pamiątka po małym.

Zasepił się prezes na to wspomnienie zmarłego wnuka. Dziecko się urodziło wątłe, omal matka nie umarła, żyło, cherlając, pięć lat, zgasało przed pół rokiem. Pani Adamowa była też słabego zdrowia, jedynaczka wychuchana w wacie. Może ten człowiek, zdrowy, młody i silny, był nieszczęśliwy w pożyciu?

- Przecie nie zaszło nic między tobą i Anielką? - wyrwało mu się mimo woli.

- Niechże się ojciec uspokoi i nie szuka. Żyję... pójdę do dentysty... za parę dni będę mógł już robotą się zająć. Nic się ważnego nie stało tymczasem?

- Nie, fabryka idzie porządnie. Ignac mi mówił, żeś się zgryzł, bo ci ktoś podkupił akcje Skibińskiego.

- Bort je kupił dla mnie.

- Patrzajcie! Toś sprytnie zrobił. A Skibiński po krachu zięcia musiał sprzedać. Dobry interes.

Adam milczał, zapatrzony w desenie obicia.

- Anielka była dziś u ciebie?

- Była, ale ma migrenę. Poszła się położyć.

- Ale... jest tu do ciebie jakaś depesza, bez podpisu i sensu. Przyszła wtedy...

Wzrok chorego się ożywił. Wyciągnął rękę i odczytał:

- "Zdrój dla pragnącego - ognisko dla brata".

- Co to znaczy? - spytał prezes.

- To... od mego brata - rzekł powoli, wpatrzony w litery.

- Myślałem, że od kobiety - uśmiechnął się prezes. - A ten twój brat ma podobno bajeczne dobra?

- Musiała być Bojarska o swą sumę. Oddam jej te pieniądze... niech się co chwila nie denerwuje. Brat mój siedzi na ojcowiznie: spłacił mnie i resztę rodziny; te jego dobra były bardzo obciążone. Ale było to dawno, dwanaście lat temu; może interesy poprawił.

Opowiadał coraz wolniej, ciszej - jakby zasypiał.

Więc prezes wysunął się z pokoju, a wtedy chory jeszcze raz odczytał depeszę, wsunął ją pod poduszkę, przymknął oczy i zdawał się drzemać. Ale po chwili spod powiek zbiegły dwie łzy i pozostały na zapadłych policzkach.

I zaczął Jaworski zdrowieć, wracać do życia. Z początku rządził z łóżka, potem z fotelu, wreszcie wyszedł do biura w fabryce.

Przechodził właśnie obok roboczych baraków, gdy z nich wyszedł doktor i rzekł:

- Nasz alkoholik dobiega kresu.

- Jest tam kto przy nim?

- Był felczer, alem go uwolnił do domu. Czuwał noc całą, a chory znajduje się tymczasem w zupełnej prostracji. [depresja psychiczna]

Machinalnie Jaworski wszedł do środka.

Za wielką izbą sypialną znajdowała się stacja infirmerii [izba chorych] i tam na pryczy leżał chory.

Jesienią przybył z bandą sezonowych robotników, kontraktowanych corocznie na kampanię cukrowniczą, z głębi Białorusi.

Od razu zwrócił uwagę dozorców ponurością i zuchwalstwem. Pracował źle i niechętnie, zморą był administracji, fermentem buntu wśród robotników. Było wtedy spokojnie w fabryce, gdy pił aż do delirium.

Tak, dobiega teraz kresu, pomyślał, spojrzawszy nań, Jaworski.

W ołowianym świetle zimowego dnia leżał na łóżku szkielet wychudzony, żółtosiny, z martwością zgonu na twarzy wykrzywionej męką.

W izbie nie było nikogo.

Na dworze słychać było miarowe tętno maszyn. Za ścianą, w kuchni robotników, kucharka śpiewała dyszkantem:

U jezioreczka, u bystrej wody
zbierała Maryś słodkie jagody.

- Szostak! - zawołał Jaworski tknięty grozą, że nieszczęśliwy już nie żyje.

Ale wtem, gdy chciał go dotknąć, by się przekonać, przeraźliwy sygnał parowy się rozległ i robotnik drgnął, oczy rozwarł.

Bezmyślne były, bez blasku, szklane.

Długą chwilę patrzyły w jeden punkt czarnego pułapu, potem przerażone się stały, zwróciły się na izbę.

- Szostak! - powtórzył Jaworski. - Co wam?

- Pas z płuczeki zdejmują, a mnie się śniła bomba - zabełkotał.

Wracała mu niejaka przytomność i ból, bo zajęczał próbując się poruszyć.

- Szostak! Poznajecie mnie? Słyszycie?

- Aha! Szostak, to niby ja. Wszystko dobre: Szostak, Czworak, Trojak! Ślepa matka, gdzieś jest... A... a... pan dyrektor... kierownik... znaczy. I ja byłem dyrektorem. Szli za mną, na ramionach nieśli... we krwi, w ogniu... do zwycięstwa. A teraz... w barakach, na pryczy... zdycham... rab! Pan dyrektor umrze w puchach, na otłuszczenie serca... wiadomo, bo pan dyrektor mądry... bydlę ma za bydlę. Jednym orze, jednym jeździ, inne rznie na kotlety. Tak trzeba... Ślepa matka powiedziała: "Hańba ci i klątwa, boś nienawiści pełen i jadu". No a pan dyrektor wie, co miłość i miód? Dajcie mi wódki!...

Ostatnie słowa powiedział zupełnie przytomnie, z jękiem, z błaganiem, z żądzą.

- Dajcie wódki, dajcie!... Chcę jeszcze chwilę żyć - wołał dysząc, rękami szukając czegoś w kieszeni surduta. - Dam dyrektorowi pieniędzy, nie chcę darmo.

- Toć giniesz od wódki, nieszczęsny! - szepnął Jaworski.

- Od wódki ginę... brednie! Zacząłem pić, gdym się począł zgubiony. Dyrektor się strzelał... mówią. No, to wiecie... człowiek naprzód ginie, a potem chce się sprzątnąć, bo sobie sam cuchnie. A życie samo truże... wszystko na świecie trucizna... a najgorsza zdrojowa woda. Żebym ja tej wody nigdy nie skosztował, tobym potem wódki nie pił. Zlitujcie się, dajcie mi wódki!

W głosie jego było tak coś rozdzierającego, że Jaworski zawołał kucharki i posłał ją po wódkę.

Nieszczęsny, zanim wróciła, oczy trzymał utkwione we drzwi i okrzykiem zwierzęcego zadowolenia przyjął butelkę. Porwał ją w drżące ręce i pił.

Jaworski odebrał mu ją przemocą.

Długą chwilę Szostak leżał z wyrazem zadowolenia, potem zupełnie oprzytomniał i jakby odżył.

- Dziękuję, panie! - rzekł. - Myślę, że to ostatnia, i doktor mnie zapewniał, że lada moment... koniec. Nie mogę już tymczasem więcej dokuczać i wiem, jak to wszystkich cieszy. Oj, dokuczę jeszcze nieraz!

Roześmiał się cicho, z demoniczną radością. Potem spojrzał na Jaworskiego.

- Strzelał się pan. To mnie bardzo cieszy! I wam źle... dyrektorem. Bydłu źle żyć, ale i pastuchom pełny brzuch i kieszeń nie dają szczęścia. Ha! będzie wam coraz gorzej. Cuchnicie sobie sami, uprzątacie się. Po co was rznąć?... Zgnijecie i sami. Pocięcha mnie, com was nie mógł wyrznąć, bo mnie bydło podeptało, oplwało, zdradziło... za to, że z chlewu chciał wy dostać. Teraz mi wszystko równie znieawidzone... i wy... i oni. Gnijcie! Stary miał rację... Nie śpieszyć się... wszystko zgnije.

Sięgnął znowu po butelkę - wypił.

- Za tę ostatnią, dziękuję panu. Nie mam pieniędzy... dam panu prezent. Ot!

Wydobył z surduta i podał wytarty pugilares.

- Dziś, jutro zdechnie Szostak... na pryczy!... Zakopią go. Pijak był, włóczęga, śmiecie! A kiedyś, jak pan sobie znowu nie do wytrzymania zacuchnie, a mojej ślepej matki już nie będzie na świecie, zapij się pan, otruj albo powieś... jako który z tych! A wie pan, co potem będzie? Potem pan znowu wróci tutaj... tak stary uczył... hi-hi! Wróci pan i ja wrócę, i każdy wróci. Tylko ja wtedy będę już rozumniejszy... nie będę się bał krwi... nie będę szczenił ni bydła, ni was!

Poderwał się na posłaniu i usiadł.

Roztworzył usta i głosem dzikim, ochrypłym zaintonował:

Dalej więc, dalej więc, wnieśmy śpiew...

Urwał, zakrztusił się, zabelkotał, chwycił ręką za gardło, oczami strasznymi spojrzął, zachwiał się i runął na ziemię.

W ciszy, która nagle nastąpiła, dyszkant kucharki się rozległ:

O mój Jasieńku, na rany Boga!

Słońce zachodzi - daleka droga!

Jaworski schylił się, chciał dźwignąć leżącego, poczuł, że to ciało miało bezwład rzeczy martwej, w gardle chrobotło, z ust ciekła krew, ręce już były zimne. A wtem rozległ się sygnał parowy południa i zaraz potem tupot nóg ludzkich pod ścianą i zgiełk w kuchni.

- Jagusia, gdzie miska? Daj pyska! - górował młody, wesoły głos.

Jaworski otworzył drzwi i zawołał.

Kilku robotników skoczyło do izby.

- A ot i doszedł - rzekł stary chłop, przewodnik roboczej kompanii. - Będzie wszystkim spokój!

Jaworski dopilnował, by zwłoki położono na pryczy, posłał po doktora i wyszedł. Gdy wrócił do gabinetu, pugilares wrzucił do biurka, nie miał czasu doń zajrzeć, bo czekała nań poczta fabryczna.

II

Jaworscy stanowili typowe, przeciętne stadło. Poznali się przed kilku laty na wieczorze w karnawale. Ona była panną na wydaniu, on dobrą partią, bo oprócz patentu na inżyniera technika studiował chemię za granicą i miał pięćdziesiąt tysięcy kapitału w akcjach cukrowni, której współwłaścicielem był ojciec panny Anieli, pan Taubert.

Ignacy Taubert, jedyna latorośl męska tego rodu, nie udał się. Kolegował wprawdzie z Jaworskim w politechnice, ale ani nauk nie skończył, ani chciał i mógł ojcu pomagać.

Uważał za swój obowiązek fortunę tracić i bawić się. Był stałym, ale nieokreślonej cyfry rozchodem i zgryzotą starego, i jedną tylko położył zasługę dla spraw rodu, że wprowadził do domu rodziców Jaworskiego. Stary Taubert wnet obrachował, że zięć to będzie wymarzony, porozumiał się z żoną, ułożyli kampanię. Sprawa była łatwa, bo Jaworski był przystępny, pannie się podobał i dawał się ciągnąć w matrymonialne sidła.

Parę przetańczonych wieczorów, parę rautów muzycznych, parę wizyt, podczas których zostawiono ich sam na sam - i Jaworski się oświadczył. Interes był załatwiony dla obu stron korzystnie, pobrali się zaraz po Wielkanocy, spędzili miesiąc za granicą, wrócili do powszedniego życia.

Jaworski został dyrektorem cukrowni, po paru latach administratorem dwóch innych, kupił folwark, umiał robić fortunę, był zdolny niesłychanie, trzeźwy, bystry, pracowity. Pożycie jego małżeńskie i rodzinne płynęło na oczach całego świata tak normalnie i spokojnie, że nawet teściowa nic mu nigdy nie miała do zarzucenia.

Bałwochwalczo przywiązana do córki, uszczęśliwiona była, że z nią się rozstawać nie potrzebuje, że zięć to współżycie przyjmuje zgodnie, że w niczym swej woli nie narzuca, na żonę nie ma żadnego wpływu.

I tak przeżyli w zgodzie i harmonii siedem lat. W pierwszym roku Anielka została matką. Dziecko dnia jednego nie było zdrowe i przemęczyło się dzięki sztuce lekarskiej i nadzwyczajnym staraniom pięć lat. Anielka też często niedomagala, jeździła ciągle z matką do wód, do gór, do morza, do błota, do powietrza, kurowanie stało się manią tych kobiet. W domu mówiono ciągle o chorobach, specjalistach, cudownych operacjach i środkach lekarskich. Po śmierci dziecka nie było końca pretensjom do doktorów i wyrzutom za złą kurację, na pomyłki i opowieściom symptomatów choroby i chwil ostatnich.

Taubertowa była gadatliwa, gospodarna, praktyczna, cnotliwa i despotka, Anielka - apatyczna, leniwa, próżna i bez woli; dogadzały sobie zupełnie i wystarczały, reszta ludzkości

mogła dla nich nie istnieć, nie zadawały sobie nigdy w życiu trudu obserwacji i uwagi nawet dla najbliższych, byle im było spokojnie i wygodnie.

Były zresztą przekonane, że są tak dobre, tak wzorowe, tak niezbędne na świecie, że dwóch mężczyzn, mężów są najszczęśliwsi z ludzi.

Zamach samobójczy Jaworskiego wstrząsnął je, przeraził w pierwszej chwili, potem zadziwił, wreszcie oburzył jako skandal, który może im zrobić w świecie nieprzyjemność. Teściowa szczególnie była oburzona i cofnęła swe łaski.

Nie odwiedzała go wcale, gdy był chory, a gdy raz pierwszy przyszedł na obiad, nie raczyła podać ręki do zwykłego pocałunku ani przemówić słowa. Tę samą taktykę zachowywała córka.

Na obiedzie tym był i młody Taubert przybyły z Warszawy, jak mówił, z troskliwości o zdrowie szwagra. Grobowe miny kobiet sprawiały mu złośliwą przyjemność, umyślnie był dla Jaworskiego uprzedzająco serdeczny. Stary Taubert, zajęty sprawami pieniężnymi, nie zwracał na nic uwagi.

- Widziałem strażników na podwórzu. Co tam za nowa przyczepka? - spytał zięcia.

- Robotnik umarł wczoraj.

- Może co zaraźliwego? - nie wytrzymała i ozwała się Taubertowa.

- Nie. Delirium. Zapił się.

- Ładnych ludzi kontraktuje Zagajski! Pewnie pensję przegrał... i jeszcze policja będzie robić afery o nagłą śmierć.

- Nie. Trudności ksiądz robił z pogrzebem.

- Bardzo słusznie. Taki pijak to jakby samobójca - rzekła Taubertowa.

- No i co? Długo trup będzie w barakach? - zagadał stary, patrząc na zięcia z niepokojem, jak przyjmie uwagę.

Ale Jaworski jakby nie słyszał, czy nie zrozumiał celu docinku, odparł spokojnie:

- Jutro pogrzeb. Zapłaciłem. W każdym razie nam ten koszt się opłaci. Był to człowiek chory, słaby, prawie obłąkany; cała fabryka rada, że go nie ma. Naturalnie Zagajski na rok przyszedł będzie ostrożniejszy przy kontraktowaniu ludzi, chociaż w zeszłym roku więcej było kramu z dyzenterią.

- Czy to prawda, Adasiu, że chcesz zmienić chemika? - spytał Ignacy.

- Żeni się Laskowski i dostał posadę na Podolu.

- Mam dla ciebie idealnego kandydata.

- A ja otrzymałem już siedemnaście ofert z idealnymi rekomendacjami.

- W jakiej knajpie poznałeś swego protegowanego? - mruknął ojciec.

- Ja przeważnie w knajpach nie zajmuję się mężczyznami. Mego protegowanego zresztą zna i ojciec. To Józef Wojdak.

- Co, ten synowiec prałata? Twój eks-korepetytor?

- Ten sam.

- Przecie ojciec jego wziął po prałacie sukcesję. Muszą dobrze się mieć?

- Stary założył jakąś fabryczkę, gdzieś pod Łodzią. Drut robi czy blachę... nie wiem, ale lichy to idzie. Są trzy siostry do wydania. Józef potrzebuje posady.

- Hm, chłopak był porządny, spokojny, pracowity. Teraz może także socjalista, jak oni wszyscy!

- Jak będziesz w Warszawie, Adasiu, to ci go przyprowadzę. Ty się znasz na ludziach i od razu go rozgryziesz. Miał już posadę u Starowiejskiego. Możesz się dowiedzieć, jakie ma o nim zdanie.

Wstali od stołu. Ignacy poszedł za szwagrem do jego gabinetu na cygaro.

- Baby strasznie na ciebie obrażone! - rzekł śmiejąc się.

Jaworski podniósł oczy.

- Doprawdy? Nie uważałem! - odparł.

- To szkoda ich zachodu. Matka musiała się haniebnie zmęczyć milczeniem, a Anielka na próżno symulowała brak apetytu. Pojutrze wybierają się do Warszawy.

- Taak?

- Przecie matka mówiła to przy obiedzie.

- Nie słyszałem.

- Jesteś bardzo roztargniony, uważam. Pewnie ci do Stefy pilno! A wiesz, desperowała po tobie; była u mnie po wieści.

- Pewnie! Obiecałem jej karakułowy żakiet, a sezon zimowy u schyłku.

- Naprawdę ona ma dryg do ciebie. Chciałem pocieszyć... Trzymała się ostro.

- Nie jest znowu tak głupia, żeby pocieszać się tobą. Wie, że się dowiem. Widziałeś młodego Skibińskiego?

- A jakże. Graliśmy u Gerhardowej. Te tysiąc rubli, coś mi obiecał, jakbym już miał w kieszeni. Chce jeszcze za folwark piętnaście tysięcy; ale jeśli Nina się zgodzi jechać z nim za granicę, odda za dziesięć. Miej pieniądze w pogotowiu! Kiedy będziesz w Warszawie?

- Za parę tygodni. Ale jeśli Skibiński mi nie sprzeda do kwietnia, kupię Śmiechów Zaleskich, bo buraki muszą mieć gdzie plantować, a tamto mi równie do Zaniechowa przyległe.

Ignacy popatrzył na szwagra. Rozparty w fotelu, zapatrzony w dym cygara, nawet w tę chwilę sjeisty poobiedniej był aferzystą, roił o interesach. Znali się od dawna, obcowali z sobą

poufale, Ignacy często mu służył, znał interesy, stosunki, bawili się nawet razem i zawsze byli w zgodzie. Jaworski pożyczał mu większe sumy, dawał bez rachunku mniejsze, często używał w różnych sprawach jego pośrednictwa, słuchał jego zwierzeń i plotek o znajomych, sam opowiadał o ludziach.

W tej chwili tknęło go coś, nagle zastanowił się, zdał sobie sprawę, że ten kolega, szwagier, przyjaciel, którego znał od wielu lat, nigdy, nigdy nie opowiedział mu nic o sobie.

Znał życia jego fakty, nigdy nie usłyszał słowa wrażeń, uczuć, pobudek tych czynów.

Zapanowała chwila milczenia. Jaworski sięgnął na biurko, po blok, i nakreślił parę cyfr, potem, jakby uspokojony, rzekł:

- O sumę nie ma kwestii. W każdej chwili te dziesięć tysięcy są do dyspozycji u Smoczyńskiego.

Ignacy oparł się o biurko i wziął do ręki rewolwer.

- Czy to ten sam? - spytał.

- Mój.

- Tak do siebie palnąć! Brr!... Musi strasznie boleć.

- Nie. Kiedyś rocisnąłem palec w drzwiach wagonu, daleko było boleśniej.

- Ale tak, umyślnie.

- No, a mecenas Korewo. Miał raka, wiedział, że zgubiony, a poddał się operacji... Nie wytrzymał.

- Ba, ryzykował dla życia! Ale ryzykować dla śmierci! W każdym razie dla ciebie nie pora.

- Dlaczego?

- Bo z miłości za późno, a z przesytu za wcześnie.

- Ano, dlatego się rozmyślił i z pół drogi tu jeszcze wrócił.

- I rad jesteś?

- Rozumie się. Aleś mi jeszcze nie opowiedział, coś porabiał w karnawale. Nic dobrego się nie trafiło?

- Było parę panien aż z Podola. Ale posagi w ziemi, tymczasem renta. Nie było interesu.

Wiesz, kto na mnie leci? Gerhardowa.

Ignac, wobec swych spraw, zaniechał badania szwagra, a ten to wiedział i spytał żywo:

- Piękna jesień. Ale córki co powiedzą?

- Myślisz, że się ożenię? Po co? - zaśmiał się cynicznie Ignac.

Sekundę oczy Jaworskiego wyraziły krytykę, a usta wymówiły spokojnie:

- Starzy będą cię swatać.

- Dadzą mi spokój, gdy nie będę o pieniądze dokuczać; a przy tej kombinacji można będzie żyć. Baba ma milion i może się jeszcze podobać. Już mi ludzie zazdroszczą i szczekają.

- Julki się pozbędziesz?

- E, to mniejsza. Wpadła w oko huzarowi. Jakiś syn kupca, milioner. Załatwi się bez skandalu. Sto pociech mam obserwując, jak szelma łże, ukrywa się. Gotów mi ją wykraść.

Śmiał się Ignac, zaśmiał się Jaworski i dalej toczyła się rozmowa, przeplatana pieniężnymi sprawami i skandalami ulicy.

Potem przeszli do salonu, spędzili wieczór z rodziną. Na herbatę przyjechali Zakrzewscy, złożył się wint i dopiero po północy wrócił Jaworski do siebie.

Usiadł do biura i wydobył stary pugilares zmarłego robotnika.

Była w nim metryka Adama Karlińskiego sprzed trzydziestu pięciu lat, wypisana z ksiąg parafialnych kościoła wołyńskiego, w wołyńskiej diecezji, był paszport francuski Maurycego Gosse, był bilet wojskowy Stefana Jańczuka i matrykuła (legitymacja studencka) uniwersytetu w Zurychu na imię Edwarda Klonowskiego.

Oprócz tego paru rewolucyjnych proklamacyj po rosyjsku, karta zapisana cyframi i fotografia starej kobiety.

Któraż legitymacja była prawdziwa? Może żadna. Posiadacz pugilaresu nazywał się może jeszcze inaczej, a wszystkie te dokumenty osłaniały go może w życiu przed pościgiem władz i sądu, a teraz były mocno kompromitujące. Nie rozumiał wcale Jaworski, dlaczego je od umierającego otrzymał i przejrzawszy postanowił zniszczyć.

A potem raz jeszcze przejrzał, zamyślił się, odłożył metrykę i fotografię na powrót do pugilaresu, wrzucił w głąb szuflady, a resztę papierów zebrał i wsunął w piec pełen rozżarzonych węgli. Buchnęły po chwili płomieniem, pozostała ciemna kupa spalonego papieru; rozgarnął ją i piec zamknął. Sprawa była załatwiona wedle jego zwyczaju, prędko i stanowczo. Zostawił metrykę i fotografię na ewentualny wypadek zgłoszenia się owej ślepej matki, o której zmarły wspomniał, ale myśl jego krążyła około zagadkowego człowieka i odczuł potrzebę zobaczenia tej twarzy, którą ledwie dotychczas zauważył w masie robotniczej.

Baraki leżały na uboczu, czerniejąc wśród śniegu; noc była chmurna, wietrzna, ponura. Spotkał Jaworski stróża tylko, minął fabrykę, w której robota szła miarowym tętnem, i świecąc sobie elektryczną latarką, wszedł do baraków. Dzienna zmiana robotników spała. W sali panował zaduch brudnej odzieży i ciał; czerniały po pryczach formy ludzkie, zwalone jak kłody trudem na zwierzęcy spoczynek; rozlegało się chrapanie, stękanie, kaszel, świst i pisk niezdrowych oskrzeli, przepitych krtani, jakieś bełkotanie ciężkich zmor sennych.

Rozpalone piece jeszcze cięższym czyniły powietrze, a rozwieszona około nich kożucha i kaftany parowały zabójczą wonią.

Wstręt, a zarazem jakby litość odczuł Jaworski; ale zaduch dławiał go w gardle, prędko minął salę i owiał go chłód infirmerii.

Okno było otwarte i w przeciagu chybotąła świeczka w rogu pryczy. Dalej stała trumna i zmarły już w niej leżał.

Jakaś litościwa dusza umyła go i ubrała. Miał na sobie czystą koszulę, palto i buty z cholewami. Ręce mu złożono na piersi i wetknięto w nie papierowy święty obrazek. Izba, przesiąknięta karbolem i chlorkiem, bielą nagością ścian i pustką.

Jaworski nakierował latarkę i przyjrzał się twarzy zmarłego. Śmierć ją uspokoiła, dała wielką godność i jakby smutek. Rysy były ostre, przeraźliwie chude, ciemny zarost, zwichrzone włosy nad szerokim pięknym czołem, zapadłe policzki.

W tej chwili szelest się rozległ za ścianą i w oknie ukazała się głowa ludzka.

Jaworski drgnął, o krok się usunął.

- Kto tam? - zagadnął.

- To ja. Przepraszam jaśnie pana! - zachrobotał głos stary, głuchy, pokorny. - Ta ja, Icek kramarz.

- Co ty tu robisz po nocy? Czego chcesz?

- Ja szedł drogą... zobaczył, co tu się świeci. Zaszedł. Tu chore leżą, nie śpią nocami, ja do nich wstępuje pograć się, pogadać.

- Dziś zimno. Trup leży.

- A, a, a... Szostak. Aj, co to za mądry człowiek był, ale misziginie (żyd. wariat). Nu, to ja do kotłowni wstąpię... Poczekam rana. Zmęczył się!

Żyda tego znał każdy w okolicy i Jaworski go często widywał. Mały, suchy, siwy, pokorny, snuł się jak rok długi po dworach i wsiach, z workiem na plecach, sprzedając drobiazgi, kupując wszystko, co się unieść dało.

Oparł się o ramę okna i rozejrzał się po izbie, potem stęknął.

- Umarł i moje trzy ruble zabrał - rzekł.

- Nosileś mu pewnie wódkę.

- Nie, jaśnie panie. Icek kramarz takich geszefców nie robi. Zeszłego tygodnia ja tu wstąpił... on pożyczył u mnie pięć rubli, dał w zastaw pierścione. Powiada: "We wtorek wypłata, przyjdź, to ci oddam". Ot i wtorek, ot i wypłata! A za pierścionek dają mi tylko dwa ruble. A jasny pan pewnie nie obliczył nigdy, ile ja nóg zedrę, i gardła, i pleców, nim zarobię trzy ruble. Nu, co robić! Nie dam mu złego słowa. Umarł... Niech sobie odpoczywa.

- Pokaż pierścione! - rzekł Jaworski.

Żyd sięgnął w zanadrze, wyjął szmatkę i trzęsącymi się z chłodu i starości palcami wysupłał z niej złotą obrączkę.

Gładka była, jakby ślubna, ale wewnątrz nie było daty ni liter, a wyrżnięty napis: "Ubi tu Caius - ibi ego Caia".

Jaworski przeczytał, obrączkę wsunął do kieszeni kamizelki, a Żydowi podał pięć rubli. Potem, nie słuchając dziękczynień, wyszedł z izby przez kuchnię.

Gdy wracał do pałacu, widział przed sobą małą, zgarbioną postać kramarza, kulejącą w stronę zabudowań fabrycznych.

W gabinecie ujrzał Jaworski ze zdumieniem żonę.

- Co się stało? Zasnęła? - spytał.

- Nie. Spać nie mogłam... szukałam książki w salonie. Zobaczyłam, że się u ciebie świeci... zaniepokoiłam się, czyś nie chory.

- Byłam na podwórzu.

Anielka stanęła u biurka i, jakby zakłopotana, rzekła:

- Nie masz mi przecie za złe, że jadę do Warszawy?

- Cóż znowu? Przecie co roku bywasz tam zimą.

- No tak, i przecie mieszkam u rodziców, więc cię to bardzo nie kosztuje. Muszę jechać, rozumiesz. Te wszystkie przejścia okropnie mnie rozdenerwowały. Na newralgię i migreny muszę mieć masaż i elektryzację. Tutaj to by za wiele kosztowało i w domu jest wilgoć; zawsze mi tu gorzej.

Ależ naturalnie, jedź i rozerwij się. Ileż ci dać pieniędzy?

- Sama nie wiem. Nie mam rautowych tualet, a muszę bywać, żeby opinię uspokoić. Ty także powinieneś przyjechać, razem bywać też musimy.

- Zabawisz pewnie do Wielkanocy?

- Tak. Potem mamę trzeba zawieźć na południe.

- No, to dalsze koszty. A na Warszawę ile ci trzeba?

- Sama nie wiem. Kuracja, tualety wiosenne, kapelusze mam stare i niemodne.

- Wystarczy ci pięćset rubli?

- W dodatku do renty, którą ojciec mi daje, tak - rzekła dość oziębło.

- No, przecie renta twoja nigdy przez moją kasę nie przechodzi. Weź pięćset, a jak przyjadę do Warszawy, to mi powiesz, czy wystarcza.

Wzięła pieniądze, ożywiła się.

- Tutaj ci niczego brakować nie będzie; zostawię dyspozycję szczegółową Gołębiowskiej i Józefowi. Śpizarnia zaopatrzona, możesz przyjmować gości. Zostawię ci wszystkie klucze od sreber i piwnicy. Ale proszę cię, przyjedź prędko, zrób to dla mnie. Muszą nas ludzie widzieć razem.

- W końcu przyszłego tygodnia przyjadę. Muszę być przy transporcie cukru tutaj.

- Naturalnie, ale i ty potrzebujesz rozrywki. To straszne takie zakopanie w tej pustce.

Szła ku drzwiom i jeszcze się obejrzała.

- Ale, wiesz? Ojciec ma partię dla Ignasia.

- No? - spytał sięgając po księgę na biurku.

- Hrabianka, prawdziwa! Co to mężczyzna! Może wysoko sięgać!

Jaworski zrozumiał, że ona, kobieta, musiała się zadowolić prostym szlachcicem, ale brat może już mieć hrabiankę.

- Matka będzie rada! - rzekł uprzejmie.

- Spodziewam się. Wszyscy radzi będziemy.

- Ojciec chyba najmniej, bo to drogi interes i procentu nie da.

- Trudno, trzeba żyć i dla idei! - wymówiła z godnością i wyszła.

Jaworski zapisał w księdze:

“Osobiste”: 5 rb. - Anielce do Warszawy: 500 rubli.

Potem dobył obrączkę i jeszcze raz odczytał napis: “Ubi tu Caius - ibi ego Caia”.

Starorzymska przysięga oblubieńców: “Gdzie ty, Kajus, tam i ja, Kaja”.

Zdjął z palca własną obrączkę; były identycznie podobne i miały równie martwe litery bez treści. Z dziwnym uśmiechem pomieszał je w dłoniach i nie patrząc, która wsunął na palec, drugą rzucił do szuflady obojętnie.

Nazajutrz wyjechali wszyscy i Jaworski zajął się zwykłą pracą. Po południu na furgon włożono trumnę Szostaka i powieziono na cmentarz. Formalności były załatwione, ksiądz czekał u grobu.

Wbrew utartym frazesom, że za trumną nędzarza nikt nie idzie, na to widowisko wyległo z czworaków dworskich kobiet i dzieci co niemiara i poszli gapić się aż do mogiły.

Wyleciała też z baraków kucharka Jagusia.

Przez okno biura spojrział Jaworski na trumnę, na gawiedź, na Jagusię i przypomniał sobie chwilę zgonu i dyskant dziewczyny wyśpiewującej przeciągle:

O mój Jasinku, na rany Boga!

Słońce zachodzi, daleka droga!

A słońce zachodziło właśnie czerwono, krwawo - i odszedł Szostak w daleką drogę!

III

Zaraz po skończeniu kampanii cukrowniczej Jaworski odwiózł żonę i teściową do Nicei i zabawił tam parę tygodni. Za powrotem do kraju zajął się gospodarstwem w świeżo nabytym od Skibińskiego folwarku i remontem fabryki. Zdawał się być pochłonięty interesami, aż raptem pewnego wieczora dał rozporządzenie rządcy na dłuższy czas i wyjechał, nie mówiąc dokąd i na jak długo.

Kurs daleki był. Spędził w wagonie i na różnych węzłowych stacjach dwie noce i dzień. Wysiadł wreszcie na małej platformie wśród lasów i wynajął chłopską furę do Bobrowa.

Zaraz o dwa kroki od plantu [powierzchnia nasypu i pasy gruntu przylegające z obu stron do toru kolejowego] wnurzyli się w bory i w ciszę bezludzia.

Na świecie był koniec kwietnia i cała ziemia rozparzona była słońcem, parowała wonią, tętniła potężnym odrodzeniem.

- Nie rąbią tu u was lasów? - rzekł Jaworski do skulonego, milczącego chłopca.

- Kaziemne (ros. państwowy) - odparł lakonicznie.

- W Bobrowie dostanę czółno?

- A dokąd?

- Do Jaseł.

- Czemu? Dostanie. W Jasłach pan do batiuszki?

- Nie. Dalej. Do Tepeńca.

- Aha! Ja i myślał, że pan do dwora gość. Będzie pan w Tepeńcu na zachód słońca.

- A nie wiesz? Jest pan w Tepeńcu?

- A gdzie ma być? Teraz siewy. A to panu można teraz czółnem prawie pod sam dwór dopłynąć. Wielka woda w tym roku i do Jaseł nie trzeba skręcać; z Bobrowa rowami do jeziora, prosto! Pan tu pierwszy raz w naszych stronach?

- Nie, ale byłem dawno, zapomniałem.

- Z trzy ruble ja sam dowiozę pana czółnem do Tepeńca - rzekł po chwili chłop.

Jaworski się zgodził, a zmęczony podróżą w wagonie, wyciągnął się na sianie jak do snu, odczuwając wielką rozkosz ciszy.

Jechali wąskimi, krętymi drózkami jakby szczelinami w borze; wyjechali na groble długie a wąskie, wśród bezmiarów bagnisk; mijali piaszczyste wzgórza jałowe, pustki wrzosowisk i wygonów porośniętych łożą, szmaty zagonów, nie spotkali człowieka, aż wynurzyli się raptem nad rzeką rozlaną jak morze i wjechali w ulicę szarej wsi. Pod jedną z chat chłop przystanął, wszedł do środka; wyszedł po chwili z drugim i z babą.

- Pójdziemy, panie, do czółna! A może pan chce wstąpić do karczmy, wypić herbaty?

Jaworski nie czuł głodu i śpieszo mu było. Chłopi wysłali czółno szuwarem i wzięli za wiosła, a parli łódź, że jak ptak śmigąła. Im bliżej celu, tym Jaworskiego ogarniał większy niepokój i jakby lęk i wstyd, a przecie chęć przybycia jak najprędzej.

Ten brat, senior rodu, który go niegdyś traktował jak dziecko, potem krytykował ostro, z którym wreszcie rozeszli się w rozdrażnieniu i niechęci, a którego pomimo wszystko czczył i miał dla niego w głębi duszy wielką wiarę i tęsknotę braterstwa, ten brat imponował mu zawsze, choć z tym uczuciem się borykał, chociaż się buntował, choć poszli innymi drogami, inne mieli ideały i cele, choć wreszcie przez lat dwanaście nawet nie pisali do siebie.

Adam pierwszy się odezwał. Słów kilka o chęci widzenia i rozmowy. Odpowiedzi nie było długo. Zważył, czy będzie. Gdyby przyszła wcześniej, może by nie sięgnął po rewolwer.

A gdy ją otrzymał, nie było dnia, by o tej podróży nie myślał z utęsknieniem.

A teraz lęk czuł! Co powie i w ogóle czy co powie? Czy znajdzie tego, którego sobie przedstawiał, i jak będzie przyjęty? Boć przecie tamten zwyciężył. On, Adam, przychodził do Canossy.

W głowie kłębiły mu się myśli; układał spotkanie: co powie, co usłyszy; widział brata, jak go znał, człowieka form wyrafinowanych, estetę w każdym ruchu i czynie, który nigdy się nie śmiał, a ledwie się uśmiechał, ale który też nigdy nie wybuchał gniewem ani nawet głosu nie podnosił.

Tak zamyślony był, tak skupiony w swym wnętrzu, że ani widział drogi, ani czasu rachował. Jakby ze snu zbudzony drgnął, gdy czółno uderzyło o brzeg i chłop rzekł:

- Przyjechali, panie.

Zerwał się, rozejrzał, byli przed dzikim parkiem, którego chmielami osnute olchy i dęby pochylały się w nurty jeziora. Przecięta linia wiodła ku wzgórzom, na którym stał dom murowany, wielki, dachówką starą kryty.

Chłop wziął jego kuferek i chciał za nim iść ku dworowi, ale Jaworski zapłacił za kurs i odprawił czółno.

Gdy zniknęli, ruszył sam, umieściwszy kuferek pod drzewem.

Park szeroko się rozrósł, ale był opuszczony i nie utrzymywany w porządku. Aleje zarosłe zieleńmiem, gąszczem rozczochranym, zwały burzą strąconych drzew robiły wrażenie kęsa puszczy.

Tylko ścieżka, wydeptana od jeziora, znaczyła ślad życia i człowieka.

Przed domem wielki dziedziniec zarosły był też i nie uprawny. Ze zdziczałych klombów, z darni białeły narcyzy, czeremchy w bieli; murowany podjazd pod sklepiony środkowy ganek

zieleniał darnią; drzwi i okna pałacu były szczelnie zamknięte. Ścieżka szła do bocznego ganku w skrzydle, gdzie pamiętał, że były dawniej gościnne pokoje i kredens.

Z obu stron dziedzińca dwie murowane oficyny wyglądały też nie zamieszkałe.

Jakiś strach, groza nieszczęścia, ruiny, ścisnęła serce Adama. Dwór wyglądał jakby umarły. Nigdzie ani człowieka, ani zwierzęcia, ani życia. Obejrzał się, zawahał i poszedł ścieżką.

Nagle stanął. Na trawniku przed tym bocznym gankiem stała kobieta i kopała grzędę. Plecami była doń zwrócona, ale z kształtów wyglądała młodo, a z odzieży nie chłopką, więc zawołał:

- Panienko, czy zastałem pana Jaworskiego?

Obejrzała się żywo i spojrzeli na siebie.

Miała twarz ogorzałą od słońca i wiatru, uderzająco piękną, młodą, zdrową. Szczególnie piękne były oczy ciemne i głębokie, a bardzo bystre i jakby surowe. Objęła nimi całą postać obcego i odpowiedziała spokojnie:

- Pan Jaworski w polu, u roboty.

Spojrzała na słońce i dodała:

- Za godzinę wróci.

- Gdybym wiedział, gdzie go znajdę, poszedłbym - rzekł.

- Niech pan przejdzie za pałac, na prawo, tam świerkową aleją ku folwarkowi; tam jest.

Wskazała mu ręką i znowu kopała ziemię czarną, wilgotną, ciężką, nie zdradzając żadnego wysiłku lub zmęczenia.

- Dziękuję pani! - Uchylił kapelusza i ruszył za dom, gdzie park się dalej słał równie dziki i zostawiony woli natury. Tu się ścieżki dwoiły.

- Do źródła ta, na folwark ta - szepnął do siebie i zaraz myśl mu wróciła do niespodziewanego zjawiska-kobiety.

Kim była? Żoną i panią - nie, kochanką zapewne, pół służącą, pół gospodynią; częsta rzecz u starego kawalera i obywatela.

Uczuł niesmak i żal, jakby bolesny zawód i, już inaczej przedstawił sobie spotkanie, stosunek z bratem.

Znał, przypominał sobie tę drogę do folwarcznych budynków, które leżały osobno, poza rezydencją. Olbrzymia aleja stuletnich świerków prowadziła doń, a z obu stron ciągnął się sad, teraz biały od kwiecica owocowych drzew, aż odurzający wonią. Słońce chyliło się już, było cicho, ciepło, cudnie. Z wód wrzały zabie kapele, po gąszczach wywodziły słowiki, a była poza tym uroczystość bezludzia i jakaś boska piękność poezji.

Gdy się urwała kolumnada świerków, ujrzał Adam przed sobą szmat zoranej roli i jednego człowieka, który szedł bruzdą; opasany był płachtą i siał ziarno ruchem monotonnym, równym, szerokim, jakby ogarniającym w uścisk ku piersi.

Adam szedł ku niemu i, zanim poznał i zobaczył wyraźnie, przeczuł brata.

Wysoki był, szczupły, bez surduta, w białej koszuli i, obyczajem siewcy, z odkrytą głową.

Co krok był wyraźniejszy. Adam odnajdywał jego twarz o ostrych rysach, kanciaste czoło, spokojne, panujące sobie oczy.

Szedł ku słońcu, więc nie widział w blasku stojącego pod świerkiem, a że mu zabrakło ziarna w płachcie, poszedł do worka na miedzy.

Przystanął i zadumany słuchał melodii nadchodzącego wieczoru, tętnienia ziemi i powietrza.

Stał tak długą chwilę, cały w czerwieni słońca, gdy od folwarku tętent się rozległ i nadjechał konno człek w kurcie i długich butach, ekonom zapewne.

- Brony idą, proszę pana. Ja dosięję - rzekł.

Jaworski zdjął płachtę i rozmawiali chwilę.

Potem poszedł po swój surdut i czapkę leżące na drodze i Adam ku niemu się zbliżył.

- Antek! - zawołał.

Tamten oczy podniósł i rozradowanie przeszło mu lica, że w Adamie zabiło serce, zaśmiała się dusza na to nieme powitanie.

Podali sobie ręce i trzymali je chwilę w uścisku, patrząc na się.

- Długoś leżał? - rzekł starszy z odetchnieniem.

- Wiesz?

- Czytałem w gazecie.

- Bardzoś był oburzony?

- Nie. Byłem rad. Kto chce umrzeć, nierad z życia. Kto nierad z życia, może się wrócić od jakiegoś rozstaju, gdzie się opamięta, że błądzi.

Adam milczał, a po chwili rzekł:

- A ty? Co tu u ciebie? Jak?

- Pytasz o Tepeniec? Pracowałem dwanaście lat i pracować będę do końca. Nie ustąpiłem ani piędzi i nie ustąpię. Długów mam jeszcze trochę, ale już niegroźnych; stoję mocno.

- Żebyś wiedział, jakie miałem wyrzuty sumienia za ten dział, za tę rozterkę.

- Ja dotąd nie mogę przetrwać wstydu. Żeś ty pieniędzy żądał, byłeś w porządku z sobą. Twój cel, twoje marzenie to było. Ale że jam się targowałem... o monetę... to hańba! Nie miejże wyrzutów, nie uważaj się za winnego ani złego. Twój dział to był... wziąłeś. Stroną upokorzoną ja

jestem, więc nie wspominajmy tego. Przeszło jak zły sen. Nie żał mi lat, które tu w biedzie spędziłem... przesłużyłem je idei. A że zbankrutowana ta idea, nie ja winien.

- Jak to?

- Bom tu trwałeś... i zostanę... ostatni, a oni rzucili i precz poszli.

- Kto oni?

- Ostrowscy, Bujnowie, Szustowscy, Wojny... wszyscy oprócz mnie. Ale o tym potem. Chodźmy do domu. Jesteś, jesteście! To dobry, piękny dzień! Mów o sobie! Czytałem, żeś się ożenił; czytałem, żeś bogaty i znany; czytałem, żeś syna stracił; czytałem twoje fachowe referaty...

- I żem się zastrzelił ze zbytku szczęścia! - zaśmiał się Adam.

- Kto myślący i czujący nie brał za broń? Kto nie chciał wyzwolenia? Kto nie szalał z rozkoszy i z rozpaczy?

Szli obok siebie ku domowi w ciszy tak wielkiej, że omal słysząc było spadanie jabłoniowego kwiecia.

- Jaka cudna tu wiosna! - szepnął Adam.

Antoni odkrył głowę i przystanął.

- A żebyś tu przeżył listopad! Dopiero byś czuł różnicę!

- Może bym listopad zeszyły lżej tu przeżył niż tam.

- A jednak to tylko pozorny spokój! - rzekł Antoni zasluchany. - Wnurz się weń całą duszą, a rozeznasz tysiące wrzeń, tętn, dyszenie szau. To młodość, to wrzątek żądź, zachwyków, uwielbień, rozkoszy, dreszczów posiadania, uciechy tworzenia.

- - W tobie musi być spokój! - szepnął Adam.

- Spokój jesieni, ten prawdziwy!

- Albo spokój szczytów.

- Kędy lód kwiatem, a skała gruntem i kędy nic z dolin i nikt nie dotrze. Jeśli taki mam, czy mi zazdrościsz?

- Zazdroszczę.

- Nie. Masz mnie za lepszego, wyższego niż jestem. Bywałem na nizinach... znam ciężkie piaski i czarne błota... żyłem, nic ludzkiego nie minąłem.

- Wierzę; aleś przechodził dalej, nie ugrzązłeś, nie zaprzedałeś się tam w służbę, nie spodłałeś w niewoli, nie upodobałeś sobie i nie zostałeś. Jesteś wolny. O, zazdroszczę ci!

Twarz Antoniego powlekła się cieniem smętku.

- Wolny jestem, ale i bardzo samotny. Teraz mi już z tym dobrze, ale wiele to zgonów kosztuje.

- Może być, ale nie zgonu duszy.

- Jeśli tak mówisz, to dowód że twoja żyje.

Adam się szyderczo uśmiechnął.

- Postaram się opowiedzieć ci to życie. A ty, piszesz jeszcze cokolwiek? Szukałem po pismach, po księgarniach twego pseudonimu... na próżno!

- Nie, nie piszę. Takie te myśli moje były cudaczne wobec nowych prądów, że nie śmiałem się więcej odzywać. Może to, co mi się wydaje zdrowe, przyjemne i mądre, mnie tylko służy, nie innym ludziom. Po co im przedstawiać ideały, może przeżyte, może bezrozumne, a w każdym razie będące głosem wołającego na puszczy. Nie, nie piszę nic, ale czytam wszystko, co inni piszą... i żal mi ich.

- No ale skrzypiec nie zarzuciłeś?

- Nie.

- Pójdziem do krynicy i będziesz mi grał. Pamiętasz... wtedy, gdy byłem na wakacje i przyjechali Wołodźkowie z Wilna. Toć już temu lat dwadzieścia. Nie wiesz, co się z nimi dzieje?

- Mieszkają w Petersburgu. On ma wysoką posadę w ministerstwie. Mają dwoje dzieci.

- Jak ona ślicznie grała! Toć od tych wakacyj jużemy się mało co widzieli. Odbiłem się od domu.

- Stefka umarła, mąż jej z drugą się ożenił i służy w Tule. Kazimierz umarł w Irkucku, dwa lata temu. Zostało nas tylko dwóch.

- A po nas?

- Młodyś, żonaty. Dzieci twoje tu przyjdą.

- Jeśli chcesz dziedziców mieć, to na mnie nie rachuj.

- To w takim razie stracona placówka!

Wstrząsnął go dreszcz, jakby nie kwitnąca wiosna była wokoło, ale jesienne mgły; jakby nie płatki śnieżne leciały z drzew, ale ostatnie zmrożone liście; jakby nie zawodziły słowiki, ale szare korowody wron krakały pogrzebową pieśń.

Szli czas jakiś w milczeniu, aż się starszy opamiętał, opanował, przemógł i rzekł:

- Trzeba było tak robić... basta! Nie ma nad czym medytować. Chodźmy! Czeka na mnie pewnie stary Kuźma z raportem. Pójdziemy potem do krynicy. Pewnieś głodny?

- Trochę, od rana na czczo. Ale, Antku, masz bardzo piękną gospodynię!

- Tak, bardzo piękna! - powiedział spokojnie. - Trzy lata, jakem ją przywiózł z Paryża.

- Z Paryża!

- Tak, to córka wuja Lipińskiego.

- Nic o nim nie wiem.

- Ano, był ciotecznym bratem matki i wyemigrował. Ożenił się z Angielką, nauczycielką i całe życie spędził w Paryżu. Był to mól książkowy i uczony. Naturalnie nędzarz. W ostateczności odezwał się listownie do matki, o której śmierci nie wiedział, polecając jej swą bibliotekę i swój pogrzeb. Pojechałem w porę, bo już za koszty pogrzebu opisano książki. O córce nawet nie wspomniał. Zapłaciłem, zabrałem bibliotekę i ją. Mam córkę.

- Śliczna dziewczyna!

- I nie dziewczyna. Poznała jakiegoś demagoga z rewolucyjnej partii międzynarodowej. Pobrali się. Potem ją rzucił i zginął bez wieści. Pewnie zastrzelono go gdzie w strajku. Ano, poznała życie!

Szli znowu chwilę w milczeniu, zbliżyli się do domu.

- Nie zajmujesz całego? - rzekł Adam.

- Tylko to boczne skrzydło, cztery pokoje w korytarzu. Reszta stoi pustką; kasztelanowa tam chodzi w księżycowe noce i inni, co tam żyli i panowali. Zachowane sprzęty i ozdoby... wszystko... jakem dostał.

Na ścieżce od krynicy zamajaczyła w zmierzchu postać; poznał Adam kuzynkę.

- Przedstaw mnie! - rzekł do brata.

- To twój i mój brat, Atmo! - odezwał się Antoni.

- Atma! - powtórzył Adam zdumiony.

- Tak. Mam takie imię! - odpowiedziała z uśmiechem, stawiając na ziemi dzban pełen wody i podając mu rękę.

- Gdzie, kiedy jam to imię słyszał?

- Możesz studiował sanskryt, bo to znaczy "dusza"! - odparł Antoni.

- Nie, alem słyszał. Nie pamiętam kiedy, jak!

Kobieta wzięła dzban i podała Antoniemu.

- Zgrzanyś dobrze robotą. Wypij!

- Pięknie tam u krynicy! - rzekł Adam.

- Wszędzie pięknie! - odparła obejmując promiennymi oczami widok wokoło.

Gdy Antoni jej oddał dzban, z którego pił długo i chciwie, Adamowi wyrwało się bezwiednie:

- Daj i mnie!

I pił z jakąś lubością wodę chłodną, i wydała mu się inną smakiem od wszelkiego napoju.

A gdy oderwał usta od ciemnej gliny, spostrzegł utkwione w sobie oczy kobiety, spokojne, głębokie i jakby litościwe. I od wejrzenia tego poczuł w sobie drżenie i rzewność, i pociąg ufności do tej obcej przecie, a bardzo jakby swojej.

- Chodźcie, wieczerza czeka! - rzekła ruszając naprzód.

Na ganku siedziało paru chłopów i ekonom. Antoni pozostał, rozmawiając z nimi. Adam wszedł za Atmą do wnętrza domu.

Był to ciemny korytarz, z którego drzwi były do kilku pokoiów na obie strony.

Pierwszy na prawo zajmował Antoni. Była to wielka komnata z olbrzymim kominem i alkową w głębi, niegdyś sypialnia ich ojca. Małe niskie drzwiczki w bocznej ścianie pamiętał też Adam jako wejście do tak zwanego skarbcza, małej sklepionej komnatki, kędy był skład starych pamiątek, dokumentów i broni.

- Teraz tam najwięcej książek - rzekła Atma, prowadząc go dalej i objaśniając. - Tu obok mamy jadalnię i spędzamy zimowe wieczory. A ten ostatni pokój, na prawo, ty zajmiesz, a tam dalej... duchy panują - dodała z uśmiechem, wskazując starą makatą zawieszoną nad drzwiami. - A tu na lewo mój pokój i kuchnia, i to wszystko - zakończyła.

- Widziałaś może sama duchy? - spytał żartobliwie.

- I wiele razy! - odpowiedziała spokojnie i zaraz dodała: - A gdzie twoje rzeczy?

- Zostawiłem nad jeziorem. Zaraz je przyniosę.

- Makar je znajdzie. Stary Makar, pewnie go pamiętasz, lokaj waszego ojca, kronika żyjąca całej rodziny. Gospodarujemy z nim wspólnie w domu i on mnie pouczył o całej historii rodu.

- Pamiętam go, chociaż nie byłem w łaskach, bo jako najmłodszy wymagałem respektu, a stary mnie lekceważył. I wy tak odludnie, samotnie, ciasno życie? Nie przyjmujecie sąsiadów, nie bywacie?

- Nikogo, i nie mamy stosunków. Zimą wyjeżdżamy na kilka tygodni. Ja dopiero w tym roku mogłam dostać paszport zagraniczny. Tamte dwa lata Antek sam wyjeżdżał, ja zostawałam sama, z kasztelanową.

Przez okno zajrzał do komnaty przepyszny srebrny miesiąc i aż ćmił żółty blask świec. Atma otworzyła okno, kłęb woni pąków, liści, rosy ciepłej i czeremchy zalał pokój, i aż zatętniło od chóru żab i słowików.

- Zmęczonyś! - rzekł Antoni do brata, który, o stół oparty, oczy przymknął i umilkł.

- Nie wiem! Tak bym się nie ruszył! - szepnął.

Makar wszedł, stół sprzątnął, Atma zdmuchnęła świece. Pokój był cały w blasku srebrnym z nieba, w woni kwitnącej przyrody, w melodii bezludzia.

Potem rozległo się cichutko, brzęcząco parę tonów próbnych i przeciągły ton skrzypcowej skargi. Podniósł oczy Adam i ujrzał brata w oknie, jak zapatrzony w księżyc grał, a obok niego siedzącą na parapecie okna Atmę.

Wokoło jej jasnej głowy miesiąc czynił jakby srebrną glorię, miała oczy w niebo wzniesione, zamyślane, promienne i usta jej z cicha nuciły melodię muzyki.

- Atma! - szepnął raczej myślą niż dźwiękiem, a przecie obejrzała się nań i dotknęła go tymi oczami jak jakąś matczyną miłosną pieśczęcią.

I nagle przypomniał sobie, kiedy ją widział, kiedy z nią był, kiedy ją wołał!

IV

Cisza zbudziła Adama i chwilę nie mógł sobie przypomnieć, gdzie jest.

Spał w wielkim łożu pod baldachimem z wypłowiałego amarantowego adamaszku; ścianę pokrywał stary perski dywan zawieszony palmami, wianuszkami święconych na Boże Ciało ziół, różańcami, szkaplerzami i mnóstwem tym podobnych pamiątek starych dorocznych obyczajów kultu. Złocisty obraz Jasnogórskiej Królowej jarzył się w środku - tak daleko, tak dawno, tak długo tu królowała i cześć odbierała od tylu pokoleń szczepu rzuconego na dalszą rubież państwa.

Ten wizerunek przypomniawszy Adamowi wszystko. Dzieciństwo najpierwsze, gdy jego łóżeczko stało w tym pokoju matki, i pacierze odmawiane z nią, powtarzane słowa, na kolanach, przed tym obrazem.

Wszystko sobie przypomniawszy, nawet tę woń ziół zeszlęcych i domowego płótna i żywicy.

Przez szpary okienne słońce smugami leżało na posadzce, a cisza pełna była ptasiego wesela ze dworu.

Adam sięgnął po zegarek, ale pokazywał trzecią; zapomniał go z wieczora nakręcić. Zerwał się tedy i otworzył okiennicę.

A w tej chwili drzwi się otworzyły i wszedł Antoni.

- Wypałeś się? - rzekł.

- Musi być późno?

- Już po południu.

- Czemuś mnie nie zbudził?

- Po co? Człowiek śpi, ile mu potrzeba. Może chcesz się wykapać? Jam się zgrzał na polu, idę do jeziora.

- Bój się Boga! W kwietniu do jeziora?

- Jeśli ciepło... Ja się kąpię, ledwie lód spłynie.

- Masz rację. Idę. Człowiek jest cudaczne stworzenie. Nie lęka się kuli, a raptem boi się przeziębienia.

Poszli ścieżką ku jezioru, i Adam odczuł dziecinną przyjemność zanurzenia się w wodę chłodną, przejrzystą, rzeźwą, i wyszedł zeń rozgrzany, głodny i wesół.

Gdy wracali, dom stał przed nimi w całej okazałości i wyglądał inaczej niż wczoraj. Wszystkie drzwi, okiennice i okna były szeroko otwarte, a pod gankiem Makar stary kiwał na nich wzywając, by weszli.

- Chcesz? - spytał Antoni.

- Owszem. Tak mi dziwnie wielu rzeczy się chce... takich młodych, prostych, dawnych. Obejrzeć wszystkie kąty, poszukać gniazd po krzakach na wyspie, odnaleźć stare drzewa i dziecinne kryjówki, zastawić kosze na rybę, szukać raków po pieczarach nadbrzeżnych, jeść, pić, gwizdać... dzieckiem być. Hej, jak to dawno to dzieciństwo!

- Dawno? Wczoraj. Jeśli je odczuwasz, używaj.

- Ba! Od tego wczoraj do dziś upłynęło już życie!

- Zdaje ci się! Możesz go jeszcze nie zacząć... tym razem.

- Jak to? - spytał Adam.

Ale Antoni nie mógł odpowiedzieć, bo weszli do wielkiej sieni, dość mrocznej, i Makar mówić zaczął:

- A co, paniczku? Wszystko na swoim miejscu, wszystko w porządku. Ot łby łosie i dzików, i rogi jelenie... Pamięta je panicz? A ot jadalnia... Portrety pamięta panicz?... A ot sala.

Prowadził po komnatach wielkich, niskich, trochę ciemnych - i istotnie było wszystko w porządku zachowane, utrzymane z pietyzmem.

Adam wszystko pamiętał, odnajdywał: i meble stylowe, ciężkie, olbrzymie, i gobeliny, i obrazy, i piece ogromne z zielonawych kafli, i piękne brązowe kandelabry, i wenecki, bezcenny żyrandol w wielkiej sali. Wiekami zbierane dostatki, pamiątki, które teraz przedstawiały fundusz.

Głosy ich i kroki rozlegały się uroczystym echem; odkryli głowy i mówili z cicha z czcią dla przeszłości i tradycji, ale na duszach braci kładł się od tych ścian jakby ciężar. Antoni miał w oczach smętek i powagę, Adam tęsknotę za tą wiosną i życiem bijącym do głębi mrocznych komnat przez otwarte okna. Gdy się znaleźli znowu w słońcu, pod niebem, Adam odetchnął głęboko.

- Jakimi ofiarami i abnegacją potrafiłeś to tak utrzymać! - rzekł z podziwem patrząc na brata.

- Postanowiłem, ślubowałem i... kochałem. Żadna usługa ani ofiara. Nie mniej ty pracowałeś postanowiwszy zdobywać jak ja, by zachować... Jesteśmy równie rzetelni robotnicy.

Zza węgła domu ukazała się Atma z pękiem czeremchy i narcyzów w ręku, i zawołała ich do jadalni. Raczył się też ukazać i Makar, i zasiedli do obiadu.

Adam jadł z wilczym apetytem, a potem poszli we troje w dziki sad, ku krynicy. Długa do niej była ścieżka; szła przez zdziczałe szpalery i aleje, mijała mostki na porośniętych wodną i liliami kanałach, wiła się zygzakiem aż za ogród, w dziki już olchowy gąszcz, na skraj bezbrzeżnych sianozęci.

Atma szła pierwsza, Adam za nią, a wokół mała się, woniła, śpiewała radosna wiosną ziemia.

Weszli na śliskie kładki rzucone wśród łoż, chmielów, czeremch, kaliny i stanęli nad krynicą. Ujęta w wydrążony dębowy pień, przeźrocza, głęboka, była jak źrenica, w której błękit się przegładał. Tak modra była jak niebo i tak spokojna. Czasem, strącone skrzydełkiem ptaszym, opadały w nią złote pyły łożowych kwiatków i mignawszy na toni zsuwały się w ruczaj, który sączył się ze źródła, w gąszczu - do jeziora.

Stara, potężna, rosochata wierzba rosła u krynicy, a pod nią zwał drzewny tworzył jakby ławę, na której usiedli we troje i milczeli zapatrzeni, zasłuchani.

- Doczekamy wieczornego koncertu! - rzekł Antoni.

- Muzycy są już w komplecie! - odparła Atma. - Zawczoraj słyszałam, że i tenor-solista już robił próbę.

- Cudnie tu! - oddychając głęboko szepnął Adam. - Cudnie, bo nie ma ludzi.

- Niestety! - rzekła Atma.

- Co? Żałujesz, że nie ma ludzi?

- Nie! Boć nas tu jest troje. Mówię natomiast, bo ludzi mi żal. Właściwie, naturalnie trzeba im żyć ze sobą w gromadzie, a przecie tak im ze sobą źle, taki zgrzyt, jęk, niechęć tworzą wokół siebie.

- Jeszcze gorzej, gdy zostanie każdy sam ze sobą. Jedni się śmiertelnie nudzą, inni śmiertelnie męczą. I to jest życie! Pomyśleć, że się rodzimy na te kilkadziesiąt lat przemarnowanych, żeby umrzeć! Nie lepiej to drzewu, które prześni zimę, żeby tak odżyć na nowo?... tym łożom, żeby co wiosną kwitnąć? A człowiek tylko może starzeć, marnieć i zgnieć!

- Ale tak myśląc, jakże się nazywać panem stworzenia? Zresztą i liść tegoroczny zgnije, i kwiat tegoroczny obleci... a drzewo żyć będzie. A pan stworzenia... on jeden zgnije zupełnie? A ta potęga, co życie wieczyste wszystkiemu dała... względem człowieka zrobiła wyjątek, rzuciła go wśród trwania, na mgnienie jedno, aby kochał, cierpiał, tworzył, panował światu, - myślami szczyty i otchłanie ogarnął... i zgnął.

- A jednak tak jest!

- Tak jest? Dla kogo?

- Dla wszystkich ludzi!

- O których mówiłeś, że jedni z sobą się nudzą, a drudzy z sobą się męczą. Z kimże oni wtedy są, gdy są sami?

- Z tobą - uśmiechnął się podnosząc do niej oczy.

Ale jej twarz była jakby zmieniona, przeciągnięta skupieniem i bólem. Ogarnęła go oczami, które były jakby smugą błyskawic, że go od spojrzenia tego przejęła groza i potęga mocy i

upokorzenia. I wydała mu się nie młodą, piękną kobietą, ale jakimś symbolem, zjawiskiem, jak światy odwiecznej idei.

- Ci pierwsi jeszcze duszy nie czują, ci drudzy z nią w walce. Z nią jest dopiero życie. Ani jedni, ani drudzy nie rozumieją życia. Dużo ciał zedrą jak szat, zanim pojmą Prawo. I przeto mi ich żal!

Wpatrzony w nią nie pomyślał, żeby zaprzeczyć, dyskutować - nie rozumiał jej, a wierzył i spytał:

- Co jest Prawo?

- Bogiem wrócić do Boga.

- Przez to życie?

- Co jest życie? Jednym rokiem dla dębu jakoby. Chwilą, dniem roboczym, więzienną karą, ofiarą lub pokutą dobrowolną... dla każdego czymś innym, ale dla ducha zawsze tylko chwilą, w bardzo dalekiej drodze, w bardzo długiej pracy dla Prawa.

- I dla wszystkich męką.

- Zaklęty król w ropuchę to jest duch w ciało uwięziony. Zali może być szczęśliwy, zali mu może być dobrze?

- Może mu tylko być spokojnie, gdy zrozumie, co go zaklęło, za co lub dlaczego! - rzekł Antoni.

Teraz Adam wpatrzył się w brata, jakby go także pierwszy raz widział. Twarz to była, przez którą ciężko, głęboko i wielokrotnie przeszedł pług życia, ryjąc niezatarte bruzdy. Wszystko tam było: i trud fizyczny na skwarze lub mrozie, i troska o byt, i bezsenne noce w męce dusznej, i gorycz z dna pucharów, i szamotanie się w pętach, i dzikie, rozpaczne bunty. Rysy zaostrome i w sobie jakby skurczone, oczy przymknięte i jakby przygasłe, pajęcza sieć zmarszczek u czoła, siwy włos na skroniach, na ustach uśmiech mądrości, co wszystko rozumie i niczego się nie lęka. A ponad tą mozaiką życiowego pisma jedna jakby pozłota, jeden ton - zwycięskiego, niezachwianego już spokoju.

Patrzył przed siebie bardzo daleko, szeroko w błękit i rzekł po chwili:

- Prawo ducha jest: Bogiem wrócić do Boga a jest jeszcze drugie prawo dla ziemi: cierpieć. I jedynym tego życia nieszczęściem jest walka człowieka z tym prawem, bunt przeciw niemu, żądza, by tu nie cierpieć, szukanie szczęścia, strach przed bólem, przeklinanie i nienawiść dla tak zwanego złego losu. Jesteśmy jak dzieci w szkole, uparte, tępe, niechętne, bezrozumne. A życie minie jak chwila... egzaminuśmy nie zdali, lekcja nie pojęta, nie odrobiona... zostajemy w klasie... wracać trzeba... i znowu kuć, kuć... i znowu bez korzyści!

- A jeżeli ze zrozumieniem i korzyścią? Są przecie i dobrzy uczniowie. Ci już nie wrócą?

- Znasz takich, którzy by nic już ziemskiego nie kochali lub nie nienawidzili, nie pragnęli lub się nie lękali? Znasz życie bez winy, bez długu, bez obowiązku, wolne od wypłaty, od kary, od odrobku? Ja nie znam, przeto wrócić trzeba... obyż do wyższej klasy chociażby!

- To straszne! - szepnął Adam oczy na Atmę podnosząc, jakby od niej słowa chciał, złagodzenia wyroku.

- Nie, to nie straszne, gdy się zrozumie, rozróżni złudę od rzeczywistości, szatę od osoby, dom od mieszkańca.

Trzeba przede wszystkim wstąpić na górę: z góry rzeczy małe maleją, wielkie olbrzymieją; im wyżej, tym bardziej; bardzo wysoko małe zupełnie nikną, wielkie stają się bez kresu i granic.

I tam bardzo wysoko jest cisza, która daje moc słyszenia tego, co milczy - i wtedy jest w rzeczywistości ze sobą.

Na dole żyjemy w złudzie zmysłowej, w chaosie wrażeń, w ciele i z ciałem tylko - w chwili, która nam się zdaje latami - w fałszu pojęcia, że żyjemy, by użyć, by zebrać, by uniknąć bólu.

A wkoło nas śmierć kosi, a wkoło nas rodzą się nowe życia. Patrzymy obojętni na to, nie zastanawiamy się - fakt powszedni, codzienny!

Czasami coś się w nas odzywa, głos protestu, każemy mu milczeć; dlatego boimy się śmierci, dlatego nie znosimy ciszy, dlatego lękamy się gór. Kres życia przeraża nas dlatego tylko, że wtedy zostaniemy sam na sam ze sobą, z tym ja przedwiecznym, nieśmiertelnym, a poniewieranym, krzywdzonym, męczonym całe życie.

Groza śmierci jest tylko zrozumieniem źle przebytego życia.

- A jeśli, przeciwnie, idzie się do niej po spokój? Jeśli się zanadto słucha tego głosu, co protestuje?

- Płynie się wtedy pod prąd Prawa. Przed cierpieniem nie wolno uciekać. A głos prawdziwy nie mówi: Ustąp, gdy ci źle! Głos prawdziwy mówi: Postępuj, dźwigaj się, krzep! To, co mówi: Ustąp, to głos ziemi, złuda, wrzask buntu, kłamliwe echo harmonii szczytów!

- Niedościgłych! - dokończył zmęczonym szeptem.

Uśmiechnął się Antoni.

- Dościgniemy! Mamy czas: wieczność!

- Wieczność cierpienia. Jednego życia nie przeżyć! Tak się zda długie.

- Za małoś cierpiał. Nie masz miłych wspomnień?

- Nie, mam tylko gorzkie.

- Toś źle cierpiał.

- No wiesz. Ustąpiłem.

- Teraz nie ustąpi! Barki nadstaw, ramiona natęż, wolę i moc skup! Im gorzej, tym lepiej; im ciężej, tym silniej. Przychodzi ból jak głaz, przychodzi męka jak śmiertelna choroba, przychodzi rozpacz jak rana na wskroś, przychodzi niemoc jak kurcz, przychodzi nuda i bunt jak żywioł niszczący po sto razy wysiłek woli i mocy... nie ustąpi! Żadne marzone przez ludzi szczęście nie da ci tej radości triumfu, co dobrze przeżyta tak zwana niedola! Przede wszystkim ona cię jedna może wyprowadzić w górę, tam, kędy cisza mówi w milczeniu przestrzeni.

- Zazdroścę ci! - rzekł Adam. - Mnie się zdaje, że ja już cierpieć nawet nie umiem.

- Więc ustąpiłeś, uciekałeś przed czym?

- Nie wiem... Przed jakąś straszną nicością.

- Biedaku! Nie masz, co byś kochał! - szepnęła Atma.

- Co można kochać na ziemi? Nic i nikogo!

- Wszystko i wszystkich! - rzekła.

- Za co? Za to, że są źli lub głupi? Że się od jednych trzeba bronić, z innymi walczyć, od innych uciekać, a wszystkimi można tylko pogardzać lub nienawidzić ich. Wy tu słyszycie o ludziach tylko, więc możecie mówić o miłości bliźniego. Wejdźcie w tor życia, w tłum, obcuście z nimi... wtedy ich poznacie!

- A dlaczegoż oni mają dla ciebie być dobrzy, gdy nimi pogardzasz lub nienawidzisz ich? Czyś próbował kochać?

- Owszem... żeby być wyzyskanym, wydrwionym i zdradzonym. Próbowałem. Jedyne na ludzi sposób jest siła lub pieniądz. Lęk lub interes!

- Jeśli to sposób i stosowałeś go, dlaczegoś śmierci pożądał?

- Żebyście znali to moje życie! - rzekł apatycznie.

- Rozumiem je! - szepnęła Atma. - Nie widzisz w nim celu!

- Owszem, jest cel. Bogacenie. Nie jestem pasożytem ani próżniakiem, nie jestem lekkomyślnikiem ani przeciętnym burzujem. Pracowałem i pracuję systematycznie, jestem trzeźwy i obowiązkowy. Mam porządną opinię, kredyt, wiarę ludzką, uznanie, stanowisko solidne. Jestem tak zwanym porządnym człowiekiem. Od dziecka byłem ambitny i zawzięty, i miałem żelazną wolę. Postanowiłem się wybić i wybiłem. Jestem teraz bogaty i co dalej? Wiem, czuję, że rok za rokiem rosnąć będzie mój fundusz i na co? Mnie już nie ma! Ja już niczego nie pragnę, mnie nic nie bawi, mnie nic nie martwi, ja nic nie kocham, niczym się nie cieszę, niczego nie czekam ani się spodziewam. Nie potrafię być pijany ani wzruszony, nie potrafię wykrzesać ze siebie ani gniewu, ani wesołości, ani zajęcia czymkolwiek... To... życie?

- Chciałeś tu przyjechać! - rzekł Antoni.

- Chciałem. I dobrze mi jest, kiedy to wam mogę powiedzieć. Zrozumiecie. A tam... milczę.

- A rodzina?

- Jaka? Ach, żona! Ona ma matkę... no i suknie. Ile zażąda pieniędzy na podróże i stroje, dając; zresztą nic nie wiemy o sobie. Z teściem dużo obcujemy... mamy wspólne akcje cukrowni, robimy czasem na spółkę afery... wierzy w moje szczęście do interesów i jest ze mnie dumny. Szwagier służy mi za pieniądze jako agent lub wywiadowca; jak potrzeba, załatwia czasem dwuznaczne sprawy, stręczy mi kobiety. To... rodzina. Ano jest, rozumie się, i teściowa. Poza tym są tak zwani przyjaciele, którzy zazdroszczą lub się boją. To i wszystko.

- Nie masz ni jednej duszy.

- Zgubiłem nawet własną.

- Ani przypuszczasz, jak ona ciebie pilnuje!

Podniósł na Atmę oczy żalosne.

- Nie. Przemarnowałem lekcję. Powiedz, czy chociaż człowiek, co wraca na nowo kuć, ma jakąś pamięć poprzedniej pomyłki.

- Przed tobą jeszcze długa chwila. Jeszcze ty egzamin zdasz.

- Powiadasz, żeś próbował kochać - wtrącił Antoni. - Któż twą miłość wyzyskał, wydrwił, zdradził?

Adam się zamyślił. Życie przemknęło mu w pamięci. Czasy szkolne, młodość, małżeństwo, różne sylwetki kobiece, wspomnienia miłostek.

Różne były osoby, okoliczności - treść zawsze ta sama. Chwilowe podniecenie, pożądanie, zaspokojenie, chwilowy triumf - i przesyt.

Teraz, gdy na to patrzył z oddalenia, może z góry, zdały mu się te wypadki tak marne, tak przeżyte i prawie zapomniane, że po chwili milczenia rzekł:

- Nie pamiętam. Mam wrażenie, że te uczucia przeszedł; ale teraz, jak wszystko, pajęczyną jakąś się zasnuło, dymem, mgłą... stało się nicością.

- No, ale przecie rozumiesz, wiesz, co jest miłość.

Adam wiedział, co serce i dusza brata przeszła w życiu, wiedział jego miłość.

Spuścił głowę, przeszedł myślą to pojęcie uczucia i odparł głucho:

- Rozumiem, ale nie wiem.

- Widzisz. To jest twoja rzeczywista niedola!

Znowu zapanowało milczenie, pełne ptaszęcych radości, szmerów, tętnień, dyszenia wiosny. Zbliżał się zachód pogodny, chmurki poczęły się barwić różowo-bursztynowym tonem, gdzieś w gąszczach niecierpliwie odzywały się słowiki.

Antoni spojrzął na słońce i wstał.

- Muszę do siewu zajrzeć. Wrócę tu do was za godzinę - rzekł, serdecznym spojrzeniem obejmując brata. - Atma ci to lepiej ode mnie wyłoży. Przecie ja tylko jej uczeń... I bardzo mi było źle żyć, zanim jej tu nie było. Mówcie! Przyniosę tu skrzypce.

Gdy odszedł, Adam się odezwał:

- A przecie jak ja mu teraz zazdroszczę! Jak bym chciał być nim!

- Mylisz się. Każdy jest na właściwej drodze, każdy ma los dostosowany do duszy. Tylko po swej drodze trzeba iść, tylko swój los trzeba kształtować, gdy się zrozumie cel. On jest abstrakcją, ty jesteś czynem; przynieśliście to ze sobą, spadek poprzednich żywotów.

- Tyś stamtąd przyniosła mądrość.

- Zrozumiałam tylko Prawo i chciałabym je przeżyć... raz ostatni, tutaj.

- Kto ci mistrzem był?

- Znalazłam się od razu na tej dobrej drodze. Ojciec, jak wiesz, był uczonym. Studiował wschodnie języki. Był sekretarzem i bibliotekarzem francuskiego magnata, zwiedził z nim Indie i Chiny; za powrotem robił mu wyciągi z dzieł tam nabytych, katalogował bardzo cenną bibliotekę. Matki prawie nie pamiętam... była Angielką; miałam trzy lata, gdy zmarła nagle na zapalenie płuc. Wyhodowałam się i wychowałam w tej wielkiej bibliotece; była mi gniazdem, ojczyzną, światem. Jako dziecinną zabawę przerysowywałam niezdarne arabskie liter wschodnich, potem nauczyłam się je rozpoznawać, czytać, potem składać wyrazy. Cieszyło to ojca, pomagał, tłumaczył; tak niepostrzeżenie stałam się jego pracy towarzyszką, jego wiedzy uczennicą. Nie oddał mnie do żadnej pensji, nie byłam w żadnej szkole ani wśród ludzi. Praktycznie mówiąc, nic nie umiem; tu dopiero uczyłam się rachunków i poznałam przyrodę, i zobaczyłam, jak wygląda ziemia, praca. Długo też nie rozumiałam życia, ale właściwie tego, co tak się wśród ludzi nazywa. Ale z tych ksiąg mądrości starej jak świat rozumiałam ewolucję materii i ducha, budynek wiedzy, który ludzkość tworzyła od zarania swego i tworzy bezustannie, i wędrówkę iskry Bożej wcielonej w formę fizyczną, wyzwalającej się z niej przez śmierć do rzeczywistego życia i wracającej na powrót w kształt, aby płacić za przeszłość, zarabiać na przyszłość.

Adam chciał spytać, jak przyszło na nią to "życie" i jak je odczuła, ale nie śmiał. A ona, zapatrzona w gąszcz krzewów, wstała, przechyliła się przez krynice i oswobodziła wplątana między zeschłe trzciny gałąź kwitnącej czeremszyny. Uśmiechnęła się do rośliny; pieszczotliwym ruchem uczyniła jej miejsce ku słońcu i szepnęła jakby do żywej, drogiej istoty:

- Ciesz się, rośnij zdrowo, śliczności!

- Ojciec twój dawno umarł? - spytał Adam.

- Przed siedmiu laty. Na dwa lata przedtem umarł jego chlebodawca. Majątek przeszedł na synowca, ojciec stracił posiadłość. Otrzymał legat w testamencie: prawo wybrania z biblioteki stu

dzieł. Z księgami tymi osiedliśmy w małym mieszkaniu, a żyliśmy z kilku tysięcy franków kapitału matki. Ojciec chorzał i rozstania ze swą biblioteką nie mógł znieść. Jakby się w nim porwały jakieś nici życia. A duch też się oderwał od ziemi i te dwa lata ostatnie pełne były zaświatowych wizyj. Dokończyłam wtedy nauki, zostawił mnie bezpieczną, zostawił mi taki fundusz, że się żadnej ruiny nie lękam. Wierzę, że on już tu wracać nie ma po co!

- I nie rozstawaliście się nigdy ze sobą?

- Nie. Nawet zameżna nie opuściłam go. Mąż mój był studentem. Hrabia go zgodził do pomocy ojcu w uporządkowaniu katalogu ksiąg. Miał razem pracować, zapalił się i do treści dzieł, chciał je studiować, ale nie mógł zrozumieć i wrócił do swych idei, zupełnie innych. Był z tych, którzy jeszcze duszę własną mają za wroga. Biedak!

- Żal ci go?

- Serdecznie. Kto nienawidzi, nawet złe, ten jest bezmiernie nieszczęśliwy. A on był cały nienawiścią.

- Musiał ciebie kochać!

W oczach jej mignęło i brwi się skurczyły.

- Dla mnie to już nie jest miłością! - odparła spokojnie, jakby ze smutkiem.

- Kochałaś go przecie ty, jeśliś została żoną.

Zamyśliła się, milczała długo.

- Zapewne to spotkanie nasze i ślub i związek były potrzebne. Przypadków nie ma na świecie i los nie popełnia pomyłek; chociaż tego faktu nie rozumiem. Nie było harmonii, nie było korzyści, żadnego wpływu, oddziaływania. Może kiedyś spotkamy się i pojmiemy.

- Kochałaś, żeby cierpieć.

Nie odpowiedziała na to nic. Cała jej uwaga skierowana była na pszczołę obierającą z kotków wierzbowych pył złoty. Trąciła gałązkę, a gdy owad zleciał, śledziła go w powietrzu.

- Zapóźni się i nie doleci do barci przed rosą wieczorną - szepnęła.

- Wiesz, Atmo! Ty zanadto kochasz wszystko, żeby kochać coś lub kogoś jednego! - rzekł jakby z zawodem, z żalem. - I nie wierzę, żebyś mogła cierpieć... i nie wiem, po co tu jesteś w takim razie, ty już człowieka z krwi i kości nie potrafisz zrozumieć.

Popatrzyła nań swym przejmującym wejrzeniem, które, zda się, podczas gdy ucho słuchało słów, przejmowało myśli aż z głębi duszy.

- To cię razi i zniechęca do mnie. Jestem młoda i piękna. Oburza cię, że nie jestem tylko zwierzęciem: za cel życia nie uznaję rozkoszy, wiążącej człowieka dokoła urodzeń i śmierci. Nie rozumiesz, że poza płciowym związkiem może być miłość, poza stratą lub zdradą w tym kochaniu może być cierpienie. Więc jeśliś ty tak nie kochał, jak twierdzisz, dlaczegoś cierpiał? Rozkoszy ci

nie brakło, strat nie ponosiłeś. Powinieneś być szczęśliwy. Nie cierpi tedy twe ciało i krew, ale cierpi to nieśmiertelne, nie mające co by miłować, czemu się ofiarować. To, co ty przechodzisz, dla mnie już dawno minęło. A po co tu jestem? Zanim to wcielenie minie, dowiemy się oboje. Nie wraca tu ten tylko, kto ziemskiego już nic czuć nie może. Jeśli tu jestem, mam miejsce, mam pracę i mam prawo szczęścia i bólu... jestem potrzebna.

- Nie zrozumiałaś mnie - zaprzeczył.

- Owszem. I to, coś powiedział, i to, coś myślał. Teraz ci żal wybuchu, przykro ci, żeś mnie uraził. Masz do mnie pociąg, upodobanie i... wstręt.

- Atmo! - zachnął się.

- Nie obruszaj się! Ja widzę i wiem.

- Jak tę gałąź czeremchy zduszoną przez suche badyle, jak tę zapóźnioną pszczołę?...

- Tak.

- Więc i dla mnie będziesz tak staranną, troskliwą i miłosierną?

- Żebyś był rośliną, wiedziałabym, że ci trzeba tylko słońca i swobodnego rozrostu; żebyś był owadem pracowitym, przypominałabym, że zamrze od zimnej rosy, gdy się w robocie zapamięta. Aleś ty już człowiekiem, istotą z wolną wolą i z przeszłością duszy. Masz zaciągnięte długi, obowiązki do spełnienia, do spłacenia. To, co ci się wydaje wstrętnym, może być korzystnym. Mogę ci wskazać drogę, mogę ci powiedzieć Prawo... ale być z tobą, nie wiem, czy będę.

- A jednak byłaś ze mną, jam cię już znał.

- Niezawodnie.

- Pamiętasz? Wytlumacz mi zatem, jak to było?

- Co takiego?

- Jakem cię zabił... miałem widzenie, obraz. Gdym się obudził, znowu na ziemi, nie pamiętałem nic. Gdy Antek cię nazwał, doznałem wstrząśnienia... znałem to imię, dziwne, którego nikt tu nie ma. A potem, gdy grał wczoraj, przypominałem wszystko. Byłem za światem i ty byłaś ze mną... I byłaś kimś, kogom zhańbił i sponiewierał... I był nade mną sąd, i wstawiłaś się za mną... i kazano mi wrócić... gdym przerażony staczał się w jakąś otchłań, zawołałem na cię z rozpaczą... i dałaś mi rękę, i rzekłaś: "Ja z tobą!..." I uspokoiłem się. Pamiętasz?

- Nie - odparła powoli. - Ale jeśli tak było, to zapewne będę z tobą.

Umilkli jakby ogarnięci uroczystością wielkiego misterium, jakby wsłuchani w nową ciszę szczytów. Położył dłoń na jej ręce, ale nie patrzył na nią. W błękit oczy utkwiał i miał pod powiekami łzy, a w myśli słowa hymnu ukojenia, oderwania zupełnego od rzeczywistości.

- Co mam czynić, duszo? - szepnął po chwili.

- Miłować, dawać, czynić dobrze.

- A jeśli nie zdołam?

- To staraj się mniej nienawidzić, mniej pożądać i chciej dobra! Trojako się pracuje: myślą, mową i czynem. Zaczątkiem jest myśl; jest jakby ziarnem, z którego wzrośnie kwiat słowa i owoc czynu. Co teraz zasiejesz myślą, w następnym życiu zbierzesz w czynie; więc myśli pilnuj, myśl kieruj w górę! Znaczący był słabości natury ludzkiej ten, który rzekł: in magnis voluisse sat est (łac. w rzeczach wielkich wystarczy chcieć. Propercjusz). Człowiek tak rzadko nawet chce czegoś wielkiego. Karłem żyje, karłem umiera, karłem na powrót się wciela.

Na ziemię zstępował wieczór: zorze zachodu zbladły, ciepło dnia parowało wonią, po krzaczkach ptaki kończyły dzienne rozprawy, a słowiki rozpoczynały pieśni. Gdzieś w dali ozwały się skrzywy żurawi studziennych, drewnianych wierzej obór, ryk bydła, tupot wracającej z pastwiska stadniny, potem przeciągła pieśń kobieca, świergot fujarki - i wszystko, co było pracą dnia, trudem życia, rozplynęło się w ciszy. Na ziemię schodził poemat wiosennej nocy, odrodzenia wiekuistego życia. Z dala, od dworu przypląwały teraz urywane tony skrzypiec. Stroił je Antoni i zarazem rozmawiał z kimś, i w czystym powietrzu daleko szły głosy.

- Nieboszczka szyła w krosnach, nici jedwabiu były na posadzce, a pan przy kantorku w zielonym gabinecie coś pisał niedawno, bo kurzu ani krzty nie znalazłem! - mówił Makar.

- Lepiej by im było, żeby odeszli! - ozwał się Antoni.

- Jak przeznaczone, tyle będą. A zawsze dobrze, że się nie tułają, nie straszą, nie płoszą ich obcy. W Bogdaniszczach co z pałacu zrobił ten nowy pan Niemiec? browar... to chłopcy co noc widzą, jak nieboszczka chorążyna po ogrodzie chodzi, aż na trakt, do figury, co ją znieśli i ręce łamie, i jęczy. Nasi u siebie. A, myśli pan, żywym panom Wojnom, co Bogdaniszczę sprzedali, będzie gdzie na świecie u siebie? Ot, za życia będą się włóczyć jak pokutnik. A ot my zostali.

- Ostatni! - rzekł Antoni - bo podobno Horby sprzedane.

- Nie będzie im dobrze nigdzie na świecie... takim - uparcie powtórzył Makar. - A nam jest dobrze.

- Dobrze! - potwierdziła Atma uśmiechając się do starego, który stanął nad krynica i naczepnął dzban wody.

Kiwnął jej głową.

- Samowar nastawię, kolację przyrządzę i hukać będę, jak będzie gotowe. Niech się panowie nocką ciepłą nalubują!

Gdy stary odszedł, Adam spytał:

- O duchach pałacowych mówił? Wierzy w nie święcie?

- Całe szczęście, jeśli są. Wkrótce z nimi tylko w tym kraju obcować będziemy - odparł Antoni siadając obok niego i skrzypce strojąc. - Ostatnie polskie sąsiedztwo tracimy.

Zaczął grać. Na ziemię schodziła noc, cicha, gwiezdna, ciepła. W wielkiej ciszy melodia obejmowała ich dusze, roztaczała skrzydła i niosła w ciemny lazur niebios, ku wschodzącemu księżycowi.

Coś swojskiego, bardzo smutnego grał Antoni.

- Szopen? - szepnął Adam do Atmy:

Skinęła głową i cicho zaczęła mówić:

Z gór, gdzie dźwigali strasznych krzyżów brzemię,
widzieli z dala obiecaną ziemię.

Widzieli światło niebieskich promieni,
ku którym w dole ciągnęło ich plemię.

A sami do tych nie wejdą przestrzeni!

Do godów życia nigdy nie zasiędną
i może nawet zapomniani będą!...

Ucichły skrzypce, a oni jeszcze siedzieli wsłuchani, skupieni, smutni.

- Tyś osiadł w sercu kraju - rzekł Antoni. - Mów tam i powtarzaj, by strzegli serca tego, bo rubieże, kresy nikną, stygną, zamierają. Za mało krwi serce przesyła tutaj. Jesteśmy jak te placówki stracone i ginące jedna po drugiej. Dawniej rozpaczałem, na to patrząc, czując bezużyteczność trwania tu i pracy; a teraz, chociaż rozumiem marność jednego życia i obowiązek cierpienia jako nauki, nie mogę patrzeć bez żalu na zniszczenie, gdy dzikość i głupota ogarnie naszą placówkę. Nie mogę patrzeć na rąbanie w pień sadów i parków, ruinę budowli starych, pamiątek i znaków, spieniężanie wszystkiego, żeby ten pieniądz stąd wydarty bezmyślnie stracić, a zostawić natomiast pustkę i nędzę. Nie razi mnie tyle ludzkość, gdy nie postępuje... ile ludzkość, gdy błądzi.

Ile wysiłków fałszywych, ile męki upornej, ślepej, ile szafu głupiego, a wszystko, żeby po wiekach się opamiętać, wracać, odrabiać i znowu błądzić.

- Czybyś w czymkolwiek zmienił swą drogę, gdybyś ją na nowo rozpoczynał? - spytał Adam.

- Nie. Dobrze było, bardzo ciężko. Dotrzymałem, com postanowił. Kochałem tę ziemię całym stopniowaniem uczuć: zrazu najciaśniej - dla siebie i rodu; potem szerzej - dla ojczyzny; teraz ją kocham dla niej samej, dla jej duszy, którą rozumiem, czuję, z którą się zrosłem przez wspólne cierpienie. Dęby, co stoją, wiedzą, jakem cierpiał, gdym z potrzeby, z biedy musiał

niektóre ściąć kazać i sprzedać. Grusze polne po miedzach wiedzą i pamiętają te grady, któreśmy wspólnie znieśli, na zburzone zboże patrząc, i te szrony szkodliwe, i te susze zgubne, i te nawałnice deszczowe w żniwa. Pamiętają bociany i ja pożary gumien parokrotne i dźwiganie nowych dachów z popiołów. Pamiętają moje pracowite byki głodne przednówki i rozumieją moją o siebie troskę. Zna mnie każdy zalew jeziora i każdy zakąt sianozęci, i ja je znam. Teraz takeśmy z tą ziemią jedno, że nie wiem, czy ona jest moją, czy ja jestem jej, i myślę, że te duchy, które Makar widuje, tak samo się zżyły z nią i trwają w tym ślubie, nie mogą się oderwać. Dobrze tu, bo bardzo ciężko; i teraz, gdy za siebie patrzę, widzę, że wszystko, co się zdaje na razie nieszczęściem, jest tylko szczeblem do góry. Zdawało mi się nieszczęściem, klęską losu, gdy wola ojca, a znałeś jego despotyzm, sprowadziła mnie z salonów i środowiska wielkiego świata do tego bezludzia i dziczy, do podrzędnego stanowiska jego sługi. Byłem w rozpacz po stracie kariery, swobody, towarzystwa, stosunków. Zdawało mi się nieszczęściem, gdym oddał swe serce na marne, kobiecie, która ani go chciała, ani rozumiała, ani moją być mogła. Zdawały mi się nieszczęściem klęski żywiołowe i materialne położenie - zawsze ciężkie, czasami prawie bez wyjścia. Zdawało mi się nieszczęściem osamotnienie, brak rodziny i przyjaciela, trud monotony, a prawie bezowocny, rok za rokiem - zda się bez końca. A wszystko to było przecie... szczęściem.

- Boś umiał iść w górę! - rzekła Atma. - Boś zrozumiał, co złuda, a co rzeczywistość.

- Staralem się zrazu tylko nie okazywać swych buntów tak bardzo niskiego powodu, ordynarności wybuchów gniewu i tak zwanych scen. Miałem wstręt do ordynarności, a kult dla form wytwornych, spokoju i ciszy. Dlatego ustąpił woli ojca... przez marną próżność czy słabość, w każdym razie Atmo, nie aby iść w górę. Potem, gdym został, ogarnęła mnie pycha i zawziętość; pycha najciaśniejsza, rodowa, zawziętość najniższa: utrzymania mienia dla siebie tylko. To był okres najgorszy: rachowałem! Nie rozróżniałem wtedy, Atmo, złudy od rzeczywistości, byłem pysznym, próżnym samolubem... i może bym, ciągle rachując, dorachował się, jak ci wszyscy, co stąd odeszli, że ziemia jest złym umieszczeniem kapitału... i może bym ją, jak oni, sprzedał. Ale mi wtedy przyszła tak zwana nieszczęśliwa miłość. Miałem już nędzę materialną, zerwane stosunki z rodziną, niesnaski z sąsiadami, moc odziedziczonych po ojcu zagmatwanych spraw sądowych z chłopami, w domu pustkę, w sercu gorycz i kwas. Należała mi się od losu jakaś równowaga, pociecha, pokrzepienie, trochę woni, trochę blasków, trochę wesela. Przyszło wtedy uczucie, wszechpotężne, zapamiętałe, a tak umieszczone, że stało się tą ostatnią kroplą męki, cierpienia, upokorzenia i klęski mej doli. Należało wtedy albo zginąć najhaniebniej, jakieś ty próbował, albo wszystką rzeczywistość zmienić w złudę, ze złudy zrobić rzeczywistość. I wtedy, na spodzie bólu będąc, spojrzałem w siebie, wokoło siebie, w górę... i zrozumiałem, że mi tam trzeba być. I

poszedłem! I zabrałem tam ze sobą i tę ziemię, i tę robotę, i swą duszę, i ją. I dobrze jest, bo było bardzo ciężko! W nagrodę dostałem do domu Atmę.

- Chciałbym kiedyś móc to samo powiedzieć - rzekł Adam.

- Spróbuj! Z początku zdaje się to niemożliwym, głupim, nielogicznym, szaleństwem. Spróbuj zrazu chwilę w dzień myśla, postanowieniem, potem czynem małym, łatwym, wreszcie to się stanie życiem.

- Życ marzeniem, złudą jakby rzeczywistością?

- Nie; spróbuj być Bogiem.

- Jak to?

- Miej w sobie siłę, mądrość i miłość, a objawiaj ją w połączeniu, które stanowi dobro!

- Wierz mi, z życiem jak z kroplą wody. Weź ją pod mikroskop: będzie stekiem wstrętnych, pozerających się i pozeranych, ginących i rodzących się potworów; spójrz na nią przez słońce: zobaczysz tęczę i brylant. Wszystko zależy od sposobu traktowania, od punktu widzenia. Być dobrym, to tylko patrzeć na wszystko przez słońce.

- To niemożliwe, to doktryna, którą można stosować może do wszystkiego i wszędzie, tylko nie do ludzi i wśród ludzi. Wtedy to tamta pierwsza kropla. A ja, niestety, tam żyć muszę. Żeby tu z wami mógł być!

- I to leży w twojej mocy, i stanie się. Gdy stąd odjedziesz, do swych obowiązków... zostaniesz ty tutaj, my pójdziemy z tobą. Będziemy już połączeni, ściślej nawet niż ci, z którymi tam będziesz mówić, spotykać się, na których tam będziesz patrzeć. Dla myśli, dla ducha nie ma odległości, przestrzeni. Odczuwać, oddziaływać nie przestaniemy, gdy związek zawarty.

- Będziesz czuwać nade mną, Atmo? - spytał.

Zwróciła na niego oczy jakby nasycone błękitem, w który się wpatrywała, zwróciła ku niemu myśl jakby odbiegłą w dal i odparła po długiej chwili zamyślenia czy szukania słów:

- Nie spotykają się ludzie na próżno. Każdy człowiek, którego poznajemy w życiu, jest nam, my jemu wierzycielem lub dłużnikiem. Czym właściwie, życie wskaże. Żeby nowych krzywd nie popełnić, nowych zobowiązań ciężkich nie zaciągnąć, a stare spłacać jak najprędzej... kochać trzeba każdego. Wtedy się nie zbłądzi.

Twarz jej przybrała znowu wyraz powagi potężnej uroczystości majestatu idei, potem oczy rozbłysły łagodnie, usta się uśmiechnęły litośnie.

- Będę czuwać nad tobą! - rzekła kładąc mu dłoń na rękę. - Żal mi cię... daleko ci jeszcze do drogi!

Była już noc zupełna. Rozegrały się słowiki, żaby, tysiące błotnych ptaków, pulsowały, zda się, wszystkie soki w roślinach, dygotało źdźbło każde.

- Pieśń nad pieśniami! - szepnął Antoni.

Skupieni, poważni, a radością ziemi przecie radośni, słuchali cisi...

Na posiedzeniu dorocznym akcjonariuszów cukierni "Zbylczyce" administrator Adam Jaworski, po przedstawieniu rocznego sprawozdania, podał parę wniosków, proponując wyasygnowanie sum dla przebudowy baraków roboczych oraz poprawy bytu służby i oficjalistów. Zebrani zmęczeni już byli długą sesją, zadowoleni z procentów od akcyj, zresztą głodni, więc prawie bez dyskusji udzielili żadaną sumę.

Ale po obiedzie i rozprawie ozwały się krytyki, zdziwienie i debaty, jaki miał powód Jaworski, a raczej jaki w tym interes, i zdecydowano, że ponieważ najbliższa cegielnia była w jego majątku chodziło mu o zbyt cegły po dobrej cenie. Pogadano trochę o tym, naodgrażano się, że trzeba ściślej pilnować administracji i kontrolować ceny materiałów, nawyrzekano na synekury i protekcje w zarządzie i rozjechano się do domów.

Adam wrócił też na wieś, ale nie do Zbylczyc. Dojeżdżał tam tylko co dzień, do biura, a zamieszkał w swym własnym folwarku, w którym dotychczas bywał tylko jako kontroler rządu.

Właściwie nie znał tej ziemi. Kupił ją i traktował jako interes, zajmowały go dochody i rozchody tylko. Teraz urządził sobie na mieszkanie parę pokoi w opuszczonym dworze, osadził ogrodnika, zajął się parkanami i drzewami - chciał być u siebie. Nikt mu nie przeszkadzał, bo żona z teściową bawiły u wód, prezes był w Karlsbadzie, a Ignas szukał kędyś po świecie bogatej dziedziczki.

W okolicy rozeszły się wieści, że Jaworscy się rozwodzą i że on, korzystając z nieobecności teścia, ściąga, co może, do własnego majątku, ale tych plotek on nie słyszał, a ze znajomych nikt go o powód zmiany rezydencji nie śmiał pytać.

Pewnego dnia, gdy wcześniej rano przyjechał konno do fabryki i obejrzawszy robotę nowych budynków wstąpił do biura, zastał tam nieznanego młodego mężczyznę, który mu się przedstawił jako Józef Wojdak, kandydat na chemika.

W przeddzień właśnie pracownik, umówiony na tę posadę, przysłał mu list, że pozostał na dawnym miejscu, więc Jaworski rozpoczął egzamin nowo zgłaszającego się, obserwując go przy tym uważnie.

Powierzchnowość była sympatyczna. Złożył bardzo pochlebne świadectwa i rekomendacje, z odpowiedzi znać było, że fach swój dobrze posiadał, wymagania miał umiarkowane. Przypomniał sobie wtedy Jaworski, że już o nim coś słyszał od Ignaca, i spytał, czy znał młodego Tauberta.

Wtedy Wojdak na sekundę się zmieszał; oczy jego stalowe, zimne, utkwily w pytającym, gdy odpowiadał powoli, ostrożnie:

- Właściwie... trudno to nazwać znajomością. Państwo Taubert mieli wieś w Tomaszowskiem, a mój stryj był tam proboszczem przez lat kilka. Bywałem u stryja na wakacjach, byłem parę razy zaproszony do dworu, aleśmy stali tak daleko... socjalnie.

- Jak pan to rozumie?

Nikły uśmiech przemknął po twarzy badanego.

- Zupełnie prosto. Nie mieliśmy wspólnych prac ani stosunków.

- Mam nadzieję, że jeśli pan tu posadę obejmie, nie będzie pan tego zdania stosował do mnie, na przykład. Pracę będziemy mieli wspólną i stosunki pragnąłbym zachować przyjazne.

Wojdak ukłonił się w milczeniu i poczerwieniał.

Zdało się Jaworskiemu, że go tym sobie zjednał.

Przeszli do szczegółów umowy, do warunków drobniejszych i po godzinie Wojdak się pożegnał, z tym że za tydzień przyjedzie już na stałe.

Przyjechał wcześniej o dzień i zabrał się do roboty. Był niesłychanie pilny, pracowity, w stosunku z kolegami gładki i uprzejmy, towarzysko wyrobiony, gotów każdemu dogodzić, usłużyć, wyreczyć, względem Jaworskiego uprzedzająco giętki, zgadujący, zda się, myśli.

Pierwej te doskonałości właśnie wzbudziłyby nieufność i podejrzenie, ale teraz Jaworski postanowił ludzi kochać i wierzyć, więc cieszył się Wojdakiem, tym bardziej, że to był pierwszy nowy człowiek, który mu w życiu wchodził, a pamiętał słowa Atmy, że ludzie się nie spotykają przypadkiem, że czymś są dla siebie.

Zrozumiał, czuł, że spotkał przyjaciela, i odtąd zwykle względem oficjalistów urzędowo tylko grzeczny i stanowczy - tego pierwszego traktował jak kolegę. Rozmawiali ze sobą o sprawach społecznych, o położeniu i obowiązkach pracy i kapitału, o rozwiązaniu sporów i kwestyj klasowych, o zmianach i poprawie stosunków.

Wojdak rozumiał to wszystko i zdanie miał mniej stronne, gdyż ojciec jego sam posiadał fabrykę, dużą cegielnię pod Łodzią, a on musiał służyć i dzieciństwo miał ubogie i ciężkie.

Urzednicy fabryki, wyżsi oficjaliści, znajomi, sąsiedzi, nawet służba, zauważyli w Jaworskim zmianę: wydawał się młodszy, był weselszy, w interesach i stosunkach względniejszy i miększy.

On sam określał stan swej duszy w listach do Atmy, które pisywał co dzień wieczorem:

“Mam wrażenie człowieka, który spędził czas pewien w górach; ma płuca jeszcze pełne czystego powietrza, oczy pełne szerokich widoków. Lub czasem mam uczucie rekonwalescenta po ciężkiej chorobie - bezmierną rozkosz zdrowia, pragnienie życia. Cieszy mnie wszystko i mam bezgraniczną życzliwość dla całego świata. Rozumiem szczęście!”

Otoczający go inaczej tłumaczyli zmianę usposobienia.

- Musiał zrobić jakiś świetny interes - mówili jedni.
- Szczęśliwy, że nie ma nad karkiem Taubertów.
- Ma nową kochankę.
- Zachorował na popularność. Do czegoś mu to potrzebne.
- Tajemnicza jakaś gra. Trzeba się mieć na baczności.

Takie były zdania i uwagi, pozornie różne, a tak w gruncie jednolite.

Ludzie potrafią mówić o wszystkim, tylko o bliźnim nie potrafią mówić; bliźniego się tylko obmawia. Jedyną w tym pociechą jest, że obmawiany nie dowie się prawie nigdy, jakim jest w ustach “przyjaciół”, i dlatego i Jaworski mógł co wieczór pisać do Atmy: “Świat jest piękny, ludzie są dobrzy - będę dobry!”

Pierwszym tchnieniem dusznych nizin był Ignac.

Przyjechał niespodziewanie - zgrany, zhulany, bez grosza, ze zwykłym zamiarem “naciągnięcia” szwagra.

Nie znalazł go w fabryce, rozmówił się z Wojdakiem i wieczorem pojechał do Zacisza Jaworskiego.

- Co to? Chcesz się nareszcie dobrać do posagu Anielki? Targujesz jakie dobra?
- Ja? - zdumiał się zupełnie szczerze Adam.
- Ano, żeś ten skandal urządził?
- Jaki znów skandal?
- Żeś się ze Zbylczyc wyniósł.
- Co to ma do posagu Anielki, że chcę być u siebie?

- No, no, no! Gadaj to dudkom! Znadto się dobrze znamy. Rozumiem twoją grę. Musisz mieć wielką aferę w projekcie; zamiast pożyczać u obcych, wolisz mieć kapitał żony w swym rozporządzeniu. Powiesz starym, jak wrócą: “Dajecie kapitał - wracam do Zbylczyc, nie dajecie - siedzę tu u siebie, a wy się udławacie pieniędzmi i skandalem”.

- Dlaczegoż ma być skandal? Anielka tu ze mną zamieszka.

- Anielka! Bez mamy! Mama bez starego! Stary u ciebie!

Ignac począł się śmiać, aż się za boki trzymał.

- Słuchaj, nie zwracaj mi gitary! - rzekł, gdy się uspokoił.

Jaworskiego myśl zeszała naprawdę na ziemię, pierwszy raz od powrotu z rodzinnego domu, i umilkł; miał wrażenie, że upadł z wysoka, i bał się poruszyć, żeby się nie przekonać, jak boli potłuczenie.

A Ignac, triumfujący tym milczeniem, prawil:

- Ha, no! Gra ryzykowna, ale żeś bajecznie szczęśliwy, może ci się i uda. Tylko trzymaj się twardo! Niech stary oddaje posag. Ależ będą hece!

I śmiał się, śmiechem złośliwego satyra.

- Ja bym nie miał odwagi. Nie! Jeszcze stary... pół biedy, ale mama!

Pod wpływem pierwszego impulsu Jaworski chciał mówić, zakołatać do tej duszy, wyjaśnić swe zamiary, wyjaśnić myśli, ale przypomniał sobie słowa indyjskiego mistrza: "niech mędrzec nie mąci głowy głupca" i milczał dalej, szukając, czym by uwagę Ignaca odwrócić od siebie, znaleźć przedmiot potocznej rozmowy.

- Twój protegowany, Wojdak, jest w Zbylczycach - rzekł.

- Widziałem go. Ciekawy jestem, czy będzie pisał sonety do Anielki. Nie masz pojęcia, jaką miałem uciechę z tego amoru z plebani. Pisał wiersze, nosił kwiaty, nie jadł, spacerował o księżycu pod płotem dworskiego ogrodu, zaglądając z daleka w jej okno.

- A Anielka?

- Nie bądźże przypadkiem zazdrosny! Anielka tyle na to reagowała, co słup telegrafu na miłosną depeszę.

- Powinieneś być, w każdym razie, opowiedzieć mi to wcześniej.

- Po co? - ruszył Ignac ramionami.

- A jeżeli on te uczucia zachował?

- Wątpię, żeby był dotąd tak głupi. Było to lat temu dwanaście. Czy kto pamięta, w kim się kochał temu dwanaście tygodni?

Ziewnął, rozwalił się na otomanie.

- Ja tu u ciebie zostanę na noc - oznajmił. - Nie wiesz, kiedy się familia zwlecze?

- Za parę tygodni prawdopodobnie.

- Przyjadę wtedy ekstra, żeby ci dopomóc.

- W czym, u licha!?! - oburzył się Jaworski. - Żadnych awantur nie będzie. Chciałbym, żeby Anielka tu ze mną zamieszkała...

- Ciekawy jestem, po co ci ten ambaras. Masz idealny dom i choć trochę swobody, i leziesz w chrzan. No, naturalnie, ona i matka wezmą cię z taką propozycją za kata, a ojciec za wariata. Musi być awantura.

- Nie. Jeśli odmówią, wrócę do Zbylczyc.

- A tu zostawisz sobie ten dom urządzone. Aha! Zrozumiałem! To bardzo cienko obmyślane i urządzone. Znalazłeś coś ekstra? Prawda? A może czarna Stefa? Co?

Jaworski wstał i otworzył okno. Do pokoju, pełnego dymu cygar, wszedł prąd czystego powietrza i zapachu lip z ogrodu.

- Cóż ta panna z Podola? Żenisz się? - spytał.

- Nie ma głupich! Okazało się, że tam córki biorą czternastą część funduszu. Bardzo to dobre prawo dla sióstr, ale złe dla żony. Dostałbym dwadzieścia tysięcy. Kiepskiej gorzelnicy nie ma za co postawić.

- A panna?

- Cóż panna! Nie uważałem. To żaden towar. Kochanką nie będzie, żenić się nie ma interesu. Chcesz, żebym taką oglądał! Słuchaj no, głodny jestem i koniaku bym wypił. Jutro pojedę do Stasia na karty, a pojutrze do Warszawy. A ty? Dawno tam byłeś?

- Dawno.

- No więc gdzie ją trzymasz?

- Dajże mi święty spokój!

- Nie chcesz gadać, to nie. W każdym razie liczy na mnie, jak familia wróci. Wygodnie ci będzie mieć mnie wtedy do pomocy i za parawan.

Jaworski i tę ofiarność przyjaźni zbył milczeniem.

Ignac zjadł, przespał się, wziął od niego paręset rubli, które przegrał nazajutrz w karty, wziął jeszcze sto na drogę i pojechał do Warszawy - i tegoż wieczora Adam pisał do Atmy:

“Mam płuca jakby odymione, mam duszę jakby zimną mgłą jesieni osnutą. Boję się, że życia zwichniętego nie naprostuję, obowiązków dawnych nie zdołam przypasować do pojęć prawdy i dobra. A przecie chcę być dobrym, chcę wytrwać! Bądź ty ze mną!”

Gdy otrzymał wieść o przyjeździe żony i teściowej, pojechał do Warszawy. Spotkał panie na dworcu. Wyrzucał sobie teraz, jako ciężkie przewinienie, swe małżeństwo dla interesu, kłamane przysięgi wiary i miłości, obojętność i opuszczenie kobiety sobie poślubionej. Miał teraz duszę pełną dobrej woli, gotowość ofiarną być najlepszym towarzyszem i mężem. Wydawała mu się łatwą i możliwą zmiana życia i stosunków. W tym usposobieniu wszedł do wagonu, szukając oczami żony.

W progu spotkał inną kobietę, tak piękną i tak elegancką, że wzrok na niej zatrzymał, i ona nań spojrziała, dłużej niż wypadało, bo gdy się usunął, by jej zrobić miejsce, już ją zapamiętał.

Teraz z kolei wychyliła się z wagonu Taubertowa, wołając tragarza, a zobaczywszy zięcia, nie okazała wielkiej radości, tylko podając mu majestatycznie rękę do pocałunku, rzekła:

- Podobno w Warszawie panuje szkarlatyna?

- Nie wiem.

- Ty nigdy nic nie wiesz! - mruknęła.

- Gdzież Anielka? - spytał niecierpliwie.

- Czy mama wzięła torebkę? - usłyszał głos żony z przedziału i nareszcie ją odnalazł, tak zajęta zbieraniem rzeczy i umocowywaniem roztrzęsionego pudła z kapeluszami, że nawet oczu na niego nie podniosła.

- Ach, to ty! - rzekła spokojnie. - Wiesz, miałyśmy okropną biedę z rewizją na granicy. Kazali nam płacić cło za gotowe bluzki. Wyobraź sobie!

- Jakże ci Wiesbaden posłużył? Pokaż się, jak wyglądasz? - rzekł serdecznie.

- Miałyśmy bardzo miłe towarzystwo, sama arystokracja. Ale droga strasznie męcząca i ta rewizja. Mamo! Gdzie mama? Ach! Boże! Pudełko mi pognietli. Do czego podobne muszą być kapelusze!

- Nie męcz się! Załatwię ci wszystko. Powóz czeka. Niech panie siadają! Musisz być zmęczona drogą...

Chciał jej podać ramię na peronie, ale teściowa objuczyła go tobołkami, a sama z córką poszła naprzód.

Gdy wsiadali do powozu, panie ukłoniły się lekko kobiecie, którą zauważył w wagonie.

- Kto to taki? - spytał.

- Ach, znajomość z wagonu. Bardzo była dla nas uprzejma na granicy - rzekła Anielka.

- Wygląda na szpiega! - syknęła Taubertowa. - Bardzo podejrzane te jej stosunki na komorze.

- Polka?

- Nie. Mówiłyśmy tylko po francusku.

Za przybyciem do mieszkania panie zajęły się toaletą, wypoczywały, rozpakowywały stroje, wcale się o Jaworskiego nie troszcząc. W nim gał ofiarny zapach, najlepsze postanowienia i zamiary, a budziło się rozdrażnienie, bunt, lub opadało bezmierne zniechęcenie. Nie wierzył w skutek dobry, ale postanowił rozmówić się z żoną stanowczo o dalszym życiu.

Dwa dni na próżno czekał sposobności, na trzeci wreszcie Taubertowa poszła do dentysty, małżonkowie zostali sami.

- Odebrałaś mój list o nabyciu Zacisza? - zagał.

- Odebrałam. Mama mówi, żeś przepłacił po trzysta rubli na włóce.

- Mniejsza. Nie o to idzie. Ale czyś się ucieszyła?

- Ja? Ano, pewnie - rzekła obojętnie.

- Mamy swój własny dom, własną ziemię!

- A po cóż ci to? Przecie domu nie potrzebujesz?

- Jak to? Kupiłem dlatego, żebyśmy tam zamieszkali.

- My? Mama się na to nigdy nie zgodzi.

- Ano, to zostanie z ojcem w Zbylczycach!

Przerażenie odmalowało się na apatycznej twarzy Anielki. Obejrzała się na drzwi, jakby szukając matki.

- A ja? - wybąkała.

- Pisałem ci przecie: mamy dom. Rozumie się, że w nim zamieszkamy, że będziesz w nim panią i gospodynią.

- Boże mój! Dlaczego mamy to robić? Dla rodziców będzie to straszny cios!

- Ale ty, ty! Nie wolałabyś być u siebie? Nie rozumiesz, że i dla mnie te dotychczasowe warunki mogą być krępujące i uciążliwe?

- Ależ dlaczego? Masz przecie zupełną swobodę, jesteś traktowany jak syn. Masz rodzinę!

- Znajdujesz, że mi nic nie brak, gdy mam mnóstwo roboty, wikt i opierunek. Nawet u Żydów zameżne dzieci nie zostają całe życie przy rodzicach.

- Moja rodzina nie jest żydowską! - oburzyła się.

- Więc nie wiem, w jakim szczepie ludzie dorośli, sobie poślubieni, mają tkwić przy rodzicach, kiedy mają własny dom i obowiązki.

- A jakichże ja obowiązków nie wypełniam?

- Żadnych, i co gorsze, że się do żadnych nie poczuwasz. Kupiłem majątek dlatego właśnie, że muszę ci dać pole do pracy i jakiś cel w życiu. Myślę, że ci przecie nie wystarcza takie wegetowanie próżniacze, że musisz mieć przesyt i nudę z tego bezcelowego podróżowania i strojenia się.

- Nazywasz bezcelowym podróżowaniem, jeśli wyjadę czasami dla kuracji własnej lub dla towarzystwa mamy, która oprócz mnie nie ma żadnej opieki; a jeśli się ubieram przyzwoicie, to robię to dla ciebie. Nie mogę być szurgotem i abnegatką. Zresztą ubieram się i jeżdżę za swoje pieniądze.

Tu zaczęła się trząść i szlochać, łamiąc ręce rozpacznie.

- Anielko, zastanów się! O co, dlaczego tak się wzruszasz? Czym cię dotknąłem? Przecie nie możesz brać mi za złe, że chciałbym z tobą żyć, pracować jak wszyscy ludzie żonaci, mieć własny dom.

Pochylił się, chciał ją ująć za rękę. Usunęła się, wołając wśród łkań:

- Chcesz mnie zabić, zadręczyć... Nie masz serca, litości! Ach, ja nieszczęśliwa!

Wstał zniecierpliwiony.

- A więc zostań! Nie zmuszam cię ani żądam ofiar. Będzie, jak chciałaś!

Wyszedł z pokoju, z domu na miasto, załatwił parę interesów, pojechał na kolej - wprost do Zacisza, przygotowany na walkę.

Cisza trwała jednak cały tydzień, aż wreszcie pewnego dnia, gdy pracował w biurze fabryki, zjawiał się stary Taubert.

Przywitali się, rozmówili o bieżących sprawach jak dwóch solidnych współników, a gdy się temat wyczerpał, teść rzekł:

- Anielkę zostawiłem w Warszawie ciężko chorą.

- Taak? Więc nie posłużyła jej kuracja?

- No, szczególnie ty jej zaszkodziłeś. Jest okropnie rozdenerwowana. Płacze bezustannie, nie sypia, nie ma apetytu.

- Skądże moja w tym wina.

- Podobno zrobiłeś jej okropną scenę. Wymagałeś, żeby zajmowała się u ciebie nadzorem nad udojem mleka i chowem trzody i drobiu. Zabroniłeś jej widywania matki, zarzucałeś marnotrawstwo i lekkie zachowanie w towarzystwie, no i zwymyślałeś ją... od mechesów. [spryciarz, cwaniak.]

- Ani jedno nie jest prawdą. Chciałem, żeby zamieszkała ze mną, u mnie; odmówiła... ustąpiłem. Zamieszkał u siebie... sam.

- Chcesz zatem skandalem ją zmusić do twej fantazji. Chcesz nas pozbawić dobrego imienia. Za wszystko, cośmy dla ciebie uczynili, czym dla ciebie byliśmy! Anielka tego nie przeżyje! Ha, no trudno! Jesteś mężem! Masz prawo i władzę. Musimy ustąpić, ochronić dziecko przed pęgiem opinii.

Rozłożył desperacko ręce, stęknął i opuścił pokój jako ofiarny szlachetny ojciec i głowa rodu.

W parę dni potem Adam został wezwany do Warszawy alarmującą depeszą: "Anielka ciężko chora, przyjazd rychły konieczny".

Znalazł dom pełen doktorów, grobowych min, płaczów, spazmów teściowej i różnych kuzynek, ogólną panikę.

Wola jego i postanowienie rozbiły się wobec tego. Gdy go wpuszczono do chorej, ustąpił zupełnie, przeprosił nawet, obiecał, że zostanie wszystko jak dawniej, że jej nic nie nakazuje, nic nie żąda.

Po długich, długich ceregielach dała się przebłagać, uspokoić, obiecała, że zapomni to przejście, że wpłynie na rodziców, by także mu wybaczyli, wrócili do łask. Nadmieniła jednakże, że powinien i ich przeprosić, ale może czując przez dyplomację kobiecą, że struny nie należy przeciągać, nacisku na ten warunek nie kładła.

Okazało się, że choroba jej miała powód tak zwany "moralny", bo po tym zwycięstwie zaczęła bardzo prędko przychodzić do siebie - i po tygodniu szwaczki i modniarki zajęły miejsce

doktorów i pielęgniarek, dom wrócił do zwykłego trybu życia, i po dwóch tygodniach, gdy Adam odjeżdżał, otrzymał łaskawą wiadomość, że może oczekiwać rodziny za dni parę w Zbylczycach.

W przeddzień tedy tego przyjazdu pożegnał swą efemeryczną sielankę w Zaciszu.

Lato się skończyło - był wieczór już chłodny, cichy, jakby konający, z nieba obrywały się gwiazdy. Ni ptaków słycać było, ni owadów, ni pulsowania wiosennych soków.

Długo w noc siedział Adam na schodach ganku starego dworu, objęty bezmiernym smutkiem i apatią. Znowu życie leżało przed nim bez barwy, bez zainteresowania głębszego, bez celu. Czuł, że skazany jest na donoszenie go jak kary za coś przeszłego, bez nadziei czynu dobrego w myśl Prawa.

Spętany był tysiącem nici pozornie słabych jak pajęczyny, a mocnych jak stal, ciężkich jak ołów. Na stole w pokoju paliła się lampa, białął arkusz papieru, na którym chciał pisać do Atmy - i nie mógł.

Zgarbiony, z obwisłymi ramionami, czując nudę dławiącą za gardło, wstręt do tego jutra, patrzył na ćmy zlatujące się do płomienia, ginące w żarze i nawet im zazdrościł złudy, sam niczego nie pragnąc w tej chwili.

Jakże daleką była krynica braterska i ta siła życia, którą tam pił!...

VI

Zrzuciły lasy ostatnie liście, szrony listopadowe zżarły wszelką zieleń traw i nieba nie widać było za chmurami w dzień ni gwiazd za nimi w nocy. W długi zimowy sen i rozmyślanie zapadało wszystko prócz człowieka, dla którego nie było już na ziemi spoczynku ni spokoju.

Po bezdennie rozgrzanych drogach, z czarnych pól setki wozów, koni i ludzi zwoziło do cukrowni buraki. Fabryka szła całą siłą, dzień i noc - dzień i noc pracował Adam Jaworski, niestrudzony, silny, spokojny jak główny motor fabryczny.

Gdy wieczorem przychodził do rodziny, bawił krótko, tyle tylko, by połknąć posiłek, wysłuchać narzekania teściowej na służbę, teścia marzeń i nadziei na dywidendy z akcji, i wracał do biura, gdy Anielka siadała do fortepianu.

Był to nowy gust, wedle niego bardzo nieszczęśliwy. Grała bez życia, bez duszy i bez techniki, ale Taubertowie byli tym zachwyceni. Na muzykę tę i resztę wieczora przychodził też z fabryki, parę razy na tydzień, Wojdak, który też dokazał sztuki zjednania sobie całej rodziny.

Jaworski podziwiał giętkość tego człowieka i bajeczną wielostronność charakteru. Wzorowy jako urzędnik, zamiłowany w swym fachu, potrafił interesować się małostkowymi sprawami Taubertowej, obmyślać z Taubertem projekty nowych dochodów lub oszczędności, rozmawiać z Anielką o modach, ploteczkach i grać z nią na cztery ręce na fortepianie.

Podziwiał go Jaworski i przyznawał mu nad sobą wyższość.

Jego duszę osnuły znowu chmury nudy, zniechęcenia, apatii, beznadziejności szarej i ciężkiej jak listopadowe niebo.

W mgłach tych, w tumanie gęstym i zimnym zniknęła ścieżka w górę, którą tak widział jasną i wyraźną w księżycowym błękitcie kwietniowej nocy w Tepeńcu, przerwały się listy do Atmy; bo i co miał pisać? Czy o szachrajstwach dostawców buraków i codziennej z nimi walce o grosz? Czy o opieszałości i lekceważeniu obowiązków przez urzędników fabrycznych, których traktować zaczął względnie i dobrotliwie? Czy o coraz nowych wymaganiach i buntach robotników od czasu, gdy się zajął wygodą i pofolgował w ostrym traktowaniu? Czy o sztywnym, przymuszonym, prawie niechętnym stosunku w rodzinie? Czy o swym osamotnieniu i pustce życia?

Nie pisał; starał się nie myśleć, zapamiętał się w pracy fizycznej i rachunkach.

Było mu znośnie, gdy od świtu był w polu konno, gdy przemarzył i przemókł, gdy miał w nocy wiele cyfr i suchej urzędowej korespondencji. Wtedy zasypiał ciężko i nie myślał.

W takim czasie i usposobieniu wypadła mu podróż do Petersburga w interesach fabryki. Wstąpił do Warszawy, tam wsiadł do kurierskiego pociągu, przygotowany na długotrwałe nudy

wagonu. Ale przy trzecim już dzwonku do przedziału wpadł oficer huzarów, za nim elegancka dama, zamienili pospieszny uścisk i gdy pociąg ruszył, Jaworski miał towarzyszkę podróży.

Było mu to obojętne, raczej niemiłe; minęły godziny, nie spojrzął w jej stronę, zajęty czytaniem gazet, ona także, wtulona w kąt czytała książkę.

Wreszcie zmorzył go sen, ukołysał monotony ruch i gorąco wagonu - począł drzemać.

Roilo mu się, pół sen, pół majaczenie, jakieś długie ulice puste, jakieś miasto wymarłe czy uśpione, gdzie on czegoś szukał, błędząc z zaułka w zaułek, wstępując na jakieś schody, schodząc do jakichś piwnic i męcząc się, by sobie przypomnieć nazwę czy miejsce, którego potrzebuje.

A wtem posłyszał, że go ktoś woła, a raczej, że mu coś wołają, jakby głos z dala go doganiał, i zdyszany tę nazwę sobie przypomniał.

Stanął, nadśluchiwał, głos był za nim, zawrócił; słyszał znowu za sobą; gdy dążył w górę, głos dochodził spod ziemi, gdy zstępował, dochodził go dźwięk za ścianą, wysoko, wreszcie na jakichś schodach się potknął, uderzył głową o stopień i obudził się. Głos, dźwięk brzmiał i na jawie, ale nie było to wołanie do niego, to kobieta w drugim kącie wagonu, skulona z głową w dłoniach, łkała.

Pierwszym odruchem Adam się zerwał.

- Co pani? - spytał przerażony.

Przeraziła się też i ona, wzdrygnęła się, wyprostowała i spojrzeli na siebie.

Oczy jej pełne łez i bezmiernej żalości patrzyły nań z osłupieniem i trwogą, wtuliła się, jakby przed widmem, w kąt.

- Przepraszam panią! - szepnął cofając się na swe miejsce w poczuciu swego nietaktu.

Patrzyła na niego wciąż i przemówiła wreszcie. Głos miała dziwny: głuchy a przejmujący.

- Byłam pewna, że pana spotkam, że będziemy ze sobą. Znam pana od dawna. Pięć lat. Pan mnie zauważył dopiero tego lata, gdy pan spotykał żonę swą na dworcu. A może i wtedy nie zapamiętał?

- Rzeczywiście. Przypominam sobie.

- Ja pana znam od pięciu lat. Byliśmy w dwóch sąsiednich łóżkach na "Manon". Byłam z mężem i bratem, pan z żoną i teściową.

Umilkła, wpatrzyła się w okno, w oczach jej znikła rzewność łez, pociemniały, pogłębiły się wyrazem ponurości i zacięcia.

Był tak zmieszany dziwną rozmową, że pomimo światowego obycia nie wiedział co odpowiedzieć.

- Pani pozwoli się przedstawić! - bąknął wreszcie.

- Po co? - Zwróciła nań oczy posepne. - Wiem, że pan jest Adam Jaworski, Polak, obywatel i przemysłowiec, żonaty z panną Taubert. Pan chce wiedzieć, kto ja? Nic z tego, co pan, a nazywam się Lena. To dosyć.

W źrenicach jej zamigotała panterza drapieżność, zza warg błysnęły zęby.

- To dosyć! - powtórzyła prawie z nienawiścią. Przeznaczenie musi być spełnione.

Wtuliła się znowu w ciemny kąt wagonu, przymknęła oczy. Rysy jej kurczyły się, drżały, miały ruchliwość fal dotykanych słońcem lub mrokiem. Nierówno, jak w męce, pracowała pierś, a ręce splecione na kolanach dygotały.

Wpatrzył się w nią jak oczarowany, czując, że się z nim dzieje coś niepojętego, że poczyna też drzeć, dyszeć, cierpieć; że go coś rwie, ciągnie, woła.

Wstał, zbliżył się do niej. Otworzyła oczy przepastne, beznadziejnie znów smutne; zamienili wzrokiem pytanie, na odpowiedź podniosła się, pochyliła jak rubinową czarę wina pragnącemu - podała mu swe usta.

Przemówiła nieprędko potem, głosem swym głuchym i przejmującym, powoli, wyraz po wyrazie, jakby się dopiero uczyła mowy.

- Byłeś w głębi łoży, sam profilem do mnie zwrócony. Widziałam tylko kąt twego czoła i ciemną głębię oczu, i szczęki zacięte. Patrzyłeś i nie widziałeś, słuchałeś, a nie słyszałeś. Pomyślałam: cierpi jak ja, sam jest jak ja, należymy do siebie. Zawołałam cię duszą, wołą, pragnieniem: spójrz! Nie spojrzaleś, zmarszczyłeś tylko brwi; rzekłam tedy: opierasz się, a przecież będziesz musiał. A potem spotkałam cię w cukierni. Byłeś z dwoma panami, oni się śmieli, obserwując kobiety; śmiałeś się i ty, ustami, kurczem mięśni, tylko oczy miałeś bez blasku i życia. Ci dwaj odeszli, ty zostałeś nad filiżanką czarnej kawy, śmiertelnie znudzony. Spojrzaleś parę razy na zegar, czekałeś na kobietę, która się spóźniała. Gdy przyszła, nie zabłysły ci oczy, przyjąłeś ją tym samym zgasłym spojrzeniem i poszedłeś z nią. A ja nawet nie czułam zazdrości, poszłam za wami do bramy jej mieszkania i powtórzyłam mą wołę: nie czujesz mnie, a przecie ja będę! Spotykałam cię potem wiele razy, na ulicy, w sklepach, na wentach [kiermasz dobroczynny] i koncertach, byłam dla ciebie częścią tłumu, ty dla mnie jednostką wśród nicości, mówiłam do ciebie myślą, wołą naprężoną jak struny harfy: przyjdź, musisz! I rzekłam ci to, w twe posepne oczy, wtedy na dworcu, i byłam już pewna, że będziemy swoi! I ze szczęścia płakałam teraz!

- Ktoś ty? - szepnął wpatrzony w nią.

- Twoje wesele, pieśń, kwiat, lato, życie! Nie rozumiesz? Nie czujesz? Nie chcesz żyć?

- Czy potrafisz już?

Ogarnęła go ramiony, ukołysała szeptem, zatonęli w szarym mroku długiej nocy zimowej, wśród której, przez czarność i pustkę ziemi, pociąg ku dalekiej pędził północy.

A w tymże listopadzie długie były wieczornice w Tepeńcu. Co dzień Makar o zmroku rozpałał ogień na kominie, przynosił zapas drewna i wsuwał się do kuchni, gdzie na spólkę z wnuczkiem Iwasiem wiązali sieci i więcierze pletli.

W jadalni Atma przędła na kołowrotku, nucąc z cicha. Antoni pisał lub czytał w biurze.

Na jesieni rzekł do Atmy:

- Nie chciałabyś trochę pojechać w świat, do słońca?

- Nie. Tam tylu ludzi, a tu tak cicho. A zresztą nie odczujemy radości wiosny bez tego smętku... A ty nie pojedziesz do Petersburga?

- Powinien bym, czasami tęsknię nieznośnie. Ale się lękam. Ja jej nic dać nie mogę, nic oszczędzić, nic pomóc. Tutaj w marzeniu mam ją taką, jaką chcę, jaką - wierzę - że kiedyś będzie moja, dla mnie. A tam zobaczę, jaką jest - jej życie, jej otoczenie - będę cierpieć, buntować się, udawać. Nie, nie pojedę. Nie mogę!

Gdy milczała, spytał po chwili:

- Nie pochwalasz mi tego?

- Ty wiesz, jak i ile ci cierpieć trzeba. Będziesz musiał pojechać po tamten ból, bo to twoje przeznaczenie. A teraz, gdy tęsknisz, mów o niej, jaką ma być, mów do niej duszą całą - marzeniem, pragnieniem - doleci tam - i cośkolwiek ona przyjmie. Będzie jej lżej, będzie jej jaśniej.

Teraz on umilkł.

- Nie wierzysz w to? - spytała.

- Nie! - odparł gorzko. - Ni głos mój, ni serce, ni myśli, nic do uszu jej, ni pojęcia nie dochodzi. Może to jest najstraszniejszym cierpieniem moim.

- A przecie twoja to dusza. Zdaje ci się, że nic od ciebie nie bierze, a cofnij jej siebie, mord popelnisz. Ona jest taka biedna, ona jest taka okaleczona życiem, że tylko twoja moc, twoje miłowanie chroni ją od rozpacz. Nie rozumie cię, nie pójdzie za tobą, ale wie, że ty jesteś, i to jest jej siłą. A wierz mi, więcej ona ma do zniesienia, do przetrwania niż ty.

- Skąd to wiesz? Nie znasz jej.

Zapatrzyła się przed siebie - swymi "widzącymi" oczami, które stawały się smutne, żałosne i beźmiernie litościwe.

- Tak ją widzę całą, tę duszę maluchną, biedną, słabą, trwożliwą. Tak mi jej żal serdecznie. Jakie to wylękle i znękane, jakie bez woli, pełne trosk marnych, skrzepowane wszystkim, łańcuchem, sznurem, nawet pajęczyną. Nie może się cieszyć, nie może chcieć, nie może walczyć, nigdy nawet nie pozwalała sobie roić o czymś dobrym, szczęśliwym, tak jest fatalistycznie przeświadczona, że jej może być tylko źle. Lęka się, troska i udaje to swoje życie.

- Taką jest. Widzisz ją. Więc widzisz też, czym ja jestem dla niej. Ja i to wiem. Jestem dla niej lękiem i wstydem. Po tom dał wszystko najszczytniejsze, najświętsze, całe bóstwo mej duszy.

- To daj jeszcze ostatni ból, upokorzenia! Kiedyś, gdy zrozumie, coś dał, będziesz miał jej kult. Niegdyś sponiewierałeś ty może jej kult, musi mieć prawo teraz ciebie poniewierać.

W czerwony żar komina Antoni utkwiał oczy pociemniałe dojmującym bólem i wybuchnął goryczą:

- Gdy mi rzekła, że ją kompromituję wobec ludzi, poczerwieniałem jak od policzka, ale nie wyobrażałem sobie, by coś mogło tak zabołeć, jak gdy mi rzekła, że nie może się za mnie modlić, bo jestem jej grzechem. Jakiż jest ten jej Bóg?

- Jest dla każdego takim, jaką jest dusza. To biedne, małe, lękliwe jej "ja" nie może innego mieć. Ale ty do tego Boga wołasz o nią, dla niej?

- W każdej chwili skupienia, w każdym głosie co do niego ślę!

- Tedy doleci twój głos kędy trzeba.

Oboje podnieśli oczy w dal i bez słów, myślą jedną ślali w przestrzeń, ku tej dalekiej otuchę, serce, mądrość swych dusz.

I często w te długie wieczornice, gdy Antoni wśród czytania brał głowę w dłonie i nieruchomiał w rozmyślanii, odzywała się Atma:

- Antku, zagraj!

Na kominie żar dogasł, cichł kołowrotek, pieśnią kończył się ich przedumany wieczór.

Pewnego dnia w końcu listopada Antoni wrócił późno z uciążliwej roboty na dalekich łąkach przy dzieleniu stogów siana. O zmroku opadła go śnieżna zamieć i długo błądził, zanim do domu trafił. Zmęczony, przeziębły, wyciągnął się po wieczery na ławie u komina i zasnął rozmarzony ciepłem, ukołysany mruzeniem kołowrotka.

- Jakby mi baśnie gwarzył! - rzekł zamykając oczy.

Atma przedła dalej - na dworze szalała śnieżyca.

Ile tak czasu upłynęło, nie zdawała sobie sprawy kobieta, gdy naraz podniosła głowę jakby też ze snu zbudzona.

Oczy jej utkwiliły w oknie, przestała nic snuć, twarz jej przybrała wyraz wyteżonej uwagi. Za oknem tumanami przewalał się śnieg, wył wicher. Co widziała w przestrzeni, co słyszała w tej dzikiej pieśni zimy? Długo tak nieruchomo trwała, aż nagle drgnęła, przechyliła się, dotknęła śpiącego.

Poruszył się, ale nie obudził. Głosem sennym rzekł tylko powoli.

- Niech pani się nie troska. Będę na czas!

Atma nie budziła go więcej, zadumała się splótwszy na kolanach ręce; twarz miała jakby osnutą smutkiem i niepokojem, raz wraz podnosiła oczy do okna, nadśluchiwała.

Wreszcie Antoni się ocknął i zerwał.

- Śniłeś co? - spytała.

Zastanowił się, pomyślał.

- Może być, ale nie pamiętam - odparł.

- Jedź do Petersburga, jesteś tam potrzebny.

- Niestety jakie u niej? - zagadnął przejęty.

- Potrzebny jesteś jej i jemu.

- Komu jemu?

- Adamowi.

- To jedź i ty!

- Nie. Mnie nie czas. Ty jedź zaraz! We śnie widziałeś, słyszałeś, mówiłeś z nią. Jedź!

Spojrzał na zegarek, wyszedł na korytarz wołając Makara. Atma wstała też, by mu rzeczy upakować; nie mówili więcej ze sobą.

Po trzech dniach ciężkiej podróży Antoni dotarł do Petersburga, przebrał się w hotelu i o zmroku meldował się lokajowi w bardzo eleganckim przedpokoju.

- Pan wyjechał onegdaj do Moskwy. Pani jest.

Na tacy sługus poniósł kartę. Antoni czekał dość długo. Wreszcie szelest jedwabi i na progu stanęła kobieta czterdziestoletnia, bardzo elegancka i strojna, witając go uprzejmym:

- Co za gość rzadki i miły! Nie chciałam oczom wierzyć, czytając kartę. Witam pana.

Wprowadziła go do salonu, przedstawiła paru damom, i znalazł się na szablonowym "fajfie". [podwieczorek.] Co chwila zmieniali się goście, rozmawiano o nowinkach stolicy, o ludziach i rzeczach już mu zupełnie obcych i prawie niezrozumiałych. Pani domu nie zwracała nań uwagi zajęta światowym obowiązkiem, uprzejma, ożywiona, śmiejąca.

I on ani razu na nią nie spojrzał, rozmawiał jak wszyscy, raz wraz oglądając się za dziećmi. Ale ani Maryni, ani Władka nie było w salonie. Po półgodzinie wstał, aby się pożegnać: zmrożony, przybity, ale z maską doskonałej światowej swobody na twarzy i uspokojony, że "jej" nie spotkał żaden cios.

Gdy pochylony całował jej rękę, poczuł, że dłoń ta była zimna jak lód i drżała; wtedy podniósł oczy i spotkali się sekundę wzrokiem. Musiał zrozumieć, co mu rzekła, bo odparł:

- Jestem.

Zagryzła usta, przesunęła szybko dłonią po oczach.

- Jutro rano będę w Ermitażu! - rzekła wracając do salonu.

Zamknęły się za nim drzwi. Poszedł przed siebie bez celu, dygocząc z wrażenia, z bólu.

Nie był w tej chwili ani filozofem, ani mędrcom, był człowiekiem, który po ziemsku, dojmująco cierpiał.

Nawet się nie starał rezonować, walczyć, dał się unosić fali goryczy i rozpaczy.

Dwanaście lat temu rozmiłował się do zapamiętania w tej kobiecie, szalał za nią i czcił, pożądał i życie by jej dał.

Była żoną innego, matką cudzych mu dzieci, gospodynią nie jego domu, obcy mu był jej świat i towarzystwo, obce sprawy i kłopoty, i zajęcia.

Wszystkim mu była i niczym być nie mogła. Znali się dawno. Gdy Antoni był studentem w Petersburgu, bywał u nich, gdyż jej mąż był dalekim krewnym Jaworskich.

Ona była młodziutką kobietą, mąż dużo starszy, wojskowy, inżynier, typ urzędnika, biurokraty.

Po skończeniu kursów dzięki jego protekcji Antoni otrzymał posadę w ministerium i w dalszym ciągu odwiedzał ich niekiedy. Dwoje dzieci znał od niemowlęctwa, z panią Anną grywali: ona na fortepianie, on na skrzypcach, ale zresztą nic nie wiedzieli o sobie ani się zajmowali sobą bliżej.

Gdy Antoni na żądanie ojca poszedł na ciężką służbę do Tepeńca, zerwały się stosunki na lat parę, aż pewnego lata inżynier, już pułkownik, wysoka figura, zajechał w ich strony na jakąś rewizję kanałów i na zaproszenie starego Jaworskiego pani Anna z dziećmi spędziła u nich wakacje. Od tego lata Antoni rachował swe życie, swą mękę, swe nieszczęsne szczęście, swą gorzką rozkosz, swe upajające cierpienie!

Parę tygodni rajskiego upojenia i zapomnienia o świecie i rzeczywistości, potem lata szarpania, buntów, rozpaczy, tęsknoty, marzeń, otchłani i szczytów, burz i beznadziejnej martwoty, aż ukoiliła go mądrość Atmy, aż poddał się Prawu.

Od kilku ostatnich lat widywali się rzadziej, pisywali niekiedy do siebie listy uprzejmie towarzyskie; on ją zabrał ze sobą "do nieba" jak mówił; ona, bóstwem jego będąc, w zetknięciu, w rozmowie, w życiu dawała mu tak straszny ból i gorycz, że po każdym widzeniu bywał jak odrętwiały z rozpaczy, jakby śmiertelnie pobity i konający.

Całą swą mocą dźwigała go Atma, aż zapominał rzeczywistości, odnajdywał swe marzenia.

Teraz miał już znowu okres ziemskiego cierpienia. Nierozdzielne, gdy z nią był - pożądanie, rozkosz jej widoku, czar głosu i spojrzenia, i zarazem prawie wstręt, bunt, rozdrażnienie. Drażniło go i odrzucało wszystko, banalność domu, otoczenia, towarzystwa, jej zachowanie powierzchownie swobodne, jej niewolniczość dla świata i formułek.

Na dworze była już noc i śnieg padał. Idąc bez celu, Antoni znalazł się na pustych ulicach i wreszcie zauważył, że przed nim od dość dawna szła para ludzi. Kochankowie zapewne - jak on z cierpienia, tak oni ze szczęśliwości nie odczuwający niepogody, nie pamiętni czasu i miejsca. Szli do siebie przytuleni, głowa przy głowie, szepcząc. Stanęli wreszcie przed jakąś bramą, zaczęli się żegnać. Antoni zatrzymał się opodal przez delikatność. Z jakąś gorzką zawiścią i smutkiem patrzył na ostatni uścisk, długi pocałunek, głuchy szept rozstania i stał jeszcze, gdy mężczyzna zawrócił; natknął się prawie na niego.

- Adam! - wyrwało mu się mimo woli.

Tamten drgnął, sekundę patrzył nań nieobecny myślą i duszą, aż oprzytomniał, poznał.

- Ty! - zdumiał się.

I nic więcej nie rzekli. Uścisnęli się, poszli razem.

- Gdzie mieszkasz? - spytał wreszcie Adam.

Antoni wymienił nazwę hotelu.

- Przeprowadzę cię (daw. - odprowadzę).

Znowu milczeli.

- Dawno tutaj?

- Dziś przyjechałem. Zapewne jutro wyjadę. A ty?

- Ja? - zamyślił się. - Naprawdę nie wiem! Którego dziś mamy?

- Dwudziesty trzeci.

- Ano, to jestem już dziesięć dni.

Teraz Antoni, zauważył, jak bardzo się zmienił. Oczy miał pogłębione, pełne życia i ognia, rysy miękkie, na ustach uśmiech, w całej postaci jakby rozprężenie i młodzieńcza żywość.

Biedak! pomyślał z serdecznym współczuciem, a głośno rzekł:

- Dziesięć dni. Niedługo. Dobrze, że się zabawiasz.

- Ja się nie bawię. Ja raz pierwszy w życiu jestem nareszcie szczęśliwy.

- RAd jestem. To koniecznie przeżyć trzeba.

- Antek, rozumiesz mnie, nie potępisz?

- Za co? Ja bym za takie dziesięć dni życia dał. Przychodzi czas sercu kwitnąć jak jabłoni wiosną. Dziesięć dni - wydziedziczony i kaleka, kto takich nie miał.

- Oby błogosławiona była za moją szczęśliwość! - szepnął Adam z głębi duszy.

Szli jakiś czas w uroczystym skupieniu.

- Przyjechałeś tu do pani Anny? - spytał Adam.

- Nie wiem. Wyprawiła mnie Atma mówiąc, że jestem tu komuś potrzebny.

- Jak to? Nie mówiła komu?

- Nie. To się okaże. Ona się nigdy nie myli.

Adam umilkł, wzdrygnął się, jakby go niewidzialna zgroza zadławiła za gardło. Doszli do hotelu i pożegnali się umówiwszy nazajutrz spotkanie.

Po bezsennej prawie nocy Antoni poszedł do muzeum i spędził tam prawie samotny parę godzin. Opóźniał się jak zwykle, chciał już odejść, gdy wreszcie ukazała się strojna, roztargniona, rozglądając się nie za nim, ale czy jej tu nie widzi kto znajomy. W bezustannej trwodze o opinię i kompromitację, w bezustannej niewolniczej służbie światu i formom. Podała mu rękę, ale cofnęła szybko, gdy chciał pocałować.

- Mam tylko chwilę, ledwie się wyrwałam. Pan wie, że męża nie ma.

- Domyślam się, gdyż wczoraj nie był na przyjęciu. Czy mogę czym pani służyć?

- Mam tyle zgryzoty z Władkiem. Zakochał się, chce się żenić wbrew naszej woli z jakąś studentką.

- Ma lata, nauki skończył. Chce żyć dla siebie.

- Panu łatwo mówić, ale mnie - stracić dziecko! Marynia też dorasta. Pan nie rozumie, co to zostać w pustym domu, samej.

- Nie rozumiem, bo mój dom zawsze pusty. Ale w normalnym świata porządku gniazda rodzinne muszą pustoszeć. Wszak dzieci się nie chowa dla siebie ani je utrzymywać przy sobie się godzi.

- Ach, filozofia pana to dla mnie herezje. Niechby pan lepiej Władkowi do rozumu nagadał. Gdydzieci w domu nie będzie, ja się w grób położę. Nie zostanie mi nic w życiu.

Spojrzała na zegarek w bransolecie...

- Pani się spieszy. Proszę się mną nie krępować.

- Mam się zejść z Marynią u krawcowej, ale ona się pewnie spóźni od dentysty. Jakże tam u pana w Tepeńcu urodzaje? Cóż kuzynka? Myślę, że pobierzecie się w końcu.

- Więc pani oprócz kłopotu z Władkiem nie ma tymczasem innych, w których bym mógł pomóc.

- Mój Boże, pan wie, że jestem i muszę być sama, a najmniej od pana mogę przyjąć pomoc. Mam córkę; dla niej, dla jej opinii i przyszłości muszę się wystrzegać cienia pozoru. Pan to uznaje, nie ma mi tego, nie może mieć za złe.

Sekundę w oczach jej błysnęło i trochę krwi zaróżowiło skronie, ale dodała prędko:

- Władek ma dwadzieścia trzy lata. Czyż to wiek do żeniaczki? Niech mu pan nagada!

Uśmiechnął się mimo woli z gorzką ironią.

- W jakimże wieku kodeks światowy pozwala ludziom kochać?

- Ach, jeśli to pan traktuje humorystycznie, nie ma o czym mówić. Kochać jest zawsze absurdem lub grzechem.

Wstała wystraszona wejściem jakichś zwiedzających i podała mu etykietalnie rękę.

- Bardzo mi było miło spotkać pana! - rzekła głośno, po francusku.

- Znajomi? - spytał szeptem.

- Nie jestem pewna, ale tyle tu osób wie, kto jestem, wolę być ostrożną. Do miłego widzenia, może pan przyjdzie na obiad. Mąż wraca pojutrze, dzieci się ucieszą panem. Proszę!

Skłonił się w milczeniu, a gdy odeszła, usiadł w kącie i pozostał nieruchomy, wpatrzony tępo przed siebie w próżnię.

Nie, to nie jej był potrzebny! Nie! Adamowi też nie. Omyliła się tedy Atma; mógł wracać najpierwszym pociągiem.

Owładnął sobą i poszedł do restauracji, gdzie się mieli zejść z bratem, ale na próżno go oczekiwał i wreszcie ruszył do jego hotelu, chcąc mu zostawić słowo pożegnania i jechać do domu.

Zdziwił się, gdy mu służba powiedziała numer i że go zastanie w mieszkaniu. Zapukał; nie otrzymując odpowiedzi pocisnął klamkę i zajrzał. Adam siedział u stołu, a raczej pół ciałem na nim leżał, na rozłożonym arkuszu gazety. Zawołał nań Antoni, nie poruszył się, tedy zaniepokojony dotknął jego ramienia.

Wzdrygnął się, poderwał, wyprostował. Antoniemu tchu zabrakło ze zgrozy, tak był zmieniony.

- Co ci? Co się stało? - wyjąkał.

Adam chciał coś rzec - nie wydał głosu, dotknął gardła, poruszył ustami i wskazał mu wielkimi literami drukowany nagłówek artykułu w gazecie. "Straszny wypadek".

Antoni przeczytał:

"Dziś w nocy bawiąca chwilowo w Petersburgu żona pułkownika Z. z Warszawy po powrocie z teatru uległa strasznemu wypadkowi. Wskutek nieuwagi zatlił się jej szlafrok od spirytusowej maszynki. Nieszczęsna straciła przytomność - wybiegła na balkon i rzuciła się zeń na podwórze z wysokości drugiego piętra, ponosząc śmierć natychmiastową".

Coś było więcej - cały artykuł, ale Antoni już nie widział liter; zrozumiał wszystko i objąwszy brata za szyję, trząśł się cały z wrażenia.

Nie omyliła się Atma, był komuś potrzebny. Wreszcie Adam głowę podniósł.

- Dziesięć dni - rzekł głucho - i koniec!

- Byłeś tam, sprawdziłeś wieść?

- Byłem, widziałem. Powiedziała mi wczoraj przy rozstaniu: czekam cię o jedenastej; byłem o jedenastej, u zwłok, bezkształtnych, zmiażdżonych. Moje dziesięć dni nie takie jak były twoje.

- Lepsze. Pozostaną ci zawsze jasne w pamięci, bo ci je śmierć uchowa w całym blasku. Ból ciosu zblizni się z czasem, zblękitnieje w oddali, a ona, tam, wolna już, wyzwolona, szczęśliwsza, niżby was nie zgon, ale życie rozłączyło. Życie, świat, ludzkie prawa - te katuja, więżą, zabijają; śmierć toć tylko złuda niedoli, a naprawdę to wolność dopiero.

- Prawda, mogę i ja tam być zaraz!

- Nie masz prawa!

- Mnie tak strasznie boli!

- Gdyby żyła, posłubiłbyś ból do końca wieku. Stokroć gorszy, stokroć bardziej piekący. Odeszła cię twoja własna, miłująca, a gdyby żyła jeszcze, za dni kilka, kilkanaście musiałoby nastąpić rozstanie. Odeszłaby od ciebie do męża, do obowiązków, do rodziny, do stosunków. Błogosław śmierć, co wam oszczędziła tamtego losu. Grom, co zabija w sekundę, szczęściem jest w porównaniu do raka lub suchot. Ja dziś, też o jedenastej, byłem, widziałem tę, którą kocham. Żyje, zdrowa, a nie wiem, kto z nas, ty czy ja, bardziej cierpi w tej chwili. Ta twoja, umarła, słyszy cię, widzi, rozumie, jest z tobą duchem, już wolna. Moja, żywa, nazywa uczucie grzechem lub absurdem, zapraszała mnie na obiad, gdy mąż wróci, po półtorarocznym niewidzeniu, zabawiła ze mną kwadrans, bo spieszyła do krawcowej, i mówiła mi, że się zapewne ożenię z Atmą.

- Atma wiedziała! - szepnął Adam. - Jak mi strasznie źle! O Boże! Ty masz pewnie rację, oboje mądrzy jesteście, ale ja nie mogę myśleć, mnie tak boli rozpacznie. Mnie tak czarno! Ja nie chcę już nic, mnie wszystko jedno!

Zwinął się, skurczył, znieruchomiał, czasami tylko wstrząsnął nim dreszcz lub głucho zajęczał.

Przebył nad nim Antoni dni parę ciężkich, zanim zdołał opamiętać, dźwignąć, trochę uspokoić. Załatwił jego urzędowe sprawy, dał mu spokój i samotność w przetrwaniu cierpienia, powoli namówił do powrotu, do pracy.

Ostatniego dnia poszli we dwóch na cmentarz daleki i obcy, ośnieżony i pusty.

Adam już się opanował, jakby przywykał do maski, do sceny życia.

Gdy wracali, mówił "o niej".

- Raz ostatni! - rzekł spokojnie. - I z jednym tobą. Muszę wracać i milczeć, już zawsze!

Na jednej z ulic Antoni podniósł oczy na oświetlone okna pierwszego piętra.

- Baliczek czy raucik! - zauważył.

- Nie byłeś tam tymi dniami?

- Nie. Po co? Nie jestem tam potrzebny.

- Ja nie jestem nigdzie, nikomu potrzebny. Ty wracasz do źródła, ja do kałuży. Jak tu źle, źle, źle!

- Trzeba się starać nie wrócić więcej.
- Mówisz to bez przekonania, bez wiary, bez zapału.

Antoni obejrzał się na oświetlone okna.

- Bo "to" tak blisko; a Atma tak daleko - szepnął. - W męce byliśmy obydwaj, zasłabiliśmy na razie. Uchodźmy stąd! Pojadę z tobą do Warszawy, oddam cię pracy w opiekę, sam wrócę do marzenia.

- Przyjdę do was prędko. Tam mi będzie za ciężko teraz. Co za pustka straszna!

Ale pustka stała się jeszcze straszniejszą, gdy rozstali się w Warszawie. Jak maszyna Adam zajął się interesami, rad przynajmniej, że sam był w mieszkaniu Taubertów i w samotności mógł nie udawać, zdejmować światową maskę. Ale już na drugi dzień zjawił się Ignac.

- Zobaczyłem przechodząc, że się w oknach świeci, myślałem, że familia zjechała. Ale oni się tam bawią.

Począł się śmiać cynicznie.

- Ależ i ty użyłeś stolicy. Na zmianę Anielki ty będziesz się wkrótce kurować i bady (z niem. - uzdrowiska) odwiedzać, a w Zbylczycach Wojdak cię zastąpi. Tęgi chłop. A wiesz, że stary dyrektora wypędził.

- Co? Dyrektora Zarembę? Twój ojciec?

- Ano; Wojdak ma objąć jego posiadłość.

- Et, plotki! Ojciec twój nie ma prawa wywalania urzędników i Zaremba nie ustąpi, bo mi jest dogodny.

- Zobaczysz. Zresztą i ty na zmianie skorzystasz. Wojdak zdolniejszy od Zaremby, ma bajeczny spryt i rzutkość.

Adam odczuł gniew i rozdrażnienie.

- Póki jestem administratorem fabryki, ja rządę. Na przyszły rok akcjonariusze mogą mnie usunąć, a tymczasem ja jeden mam prawo usuwać i decydować.

- Powiedz to staremu i babom!

- Babom, a cóż one mają do zarządu fabryki?

- Zobaczysz - zaśmiał się Ignac.

Adam ramionami ruszył, ale czuł wrzenie w sobie i zbliżającą się awanturę.

Nazajutrz przyjechał do Zbylczyc wczesnym rankiem i poszedł wprost do biura w fabryce.

Zastał wszystko i wszystkich na miejscu, tylko w laboratorium jakiegoś obcego młodzika.

- Pan tutaj skąd jest? - spytał.

- Zastępuję pana Wojdaka. Jestem Woźnicki.

- Kto pana tu zainstalował?

- Pan Wojdak wziął mnie na praktykę.

Adam nic więcej nie rzekł, poszedł do biura, kazał poprosić do siebie dyrektora.

Po chwili Zaremba się ukazał.

- Kto przyjął do pomocy chemikowi tego młodego człowieka.

Zaremba rozłożył ręce.

- Pan Taubert. Zresztą bardzo słusznie, bo pan Wojdak wcale się swą robotą nie zajmuje, nie ma czasu.

- Jak to? Nie ma czasu?

- Mając tyle funkcji trudno wystarczyć.

- Proszę pana. Jesteśmy w biurze, nie w cukierni lub w salonie. Pan jest odpowiedzialny za porządek w fabryce.

- A tak, do roku. Otrzymałem przecie dymisję. Ale chociaż jeszcze jestem na posadzie, nic już nie znaczę. Rząd idzie z pałacu.

- Gdzież jest w tej chwili pan Wojdak?

- Wyjechał za interesami, podobno do Kijowa. Pan Taubert wysłał. A gdyby i był, toby chemią się nie zajmował. Jest przecie głównym kontrolerem nas wszystkich.

- Kto panu udzielał dymisji? Nie rozumiem nic?

- Właściwie ja sam w tych warunkach dłużej pozostać nie mogę.

- Miał pan jakieś zajście z panem Taubertem? Co się stało?

- Od jesieni mam ciągle zajścia - o wagę buraków, o melas, o wyłoki, o rachunki, o najem, o dostawy, o wszystko. W fabryce szpiegostwo, donosy, plotki, z administracją dóbr ciągle spory, awantury, wśród urzędników ferment i niechęć. Na rok przyszły zostanie tu Wojdak i jego kreatury. Wydatek cukru zły, fabryka ogłoszona za stary grat, akcje spadają. O to właśnie chodzi.

Adam spojrział na niego i milczał. A Zaremba dodał po chwili ciszej:

- Chodzi też o zmianę administratora.

- Więc pan stanowczo ustępuje z posady? - rzekł zimno Adam, odzyskując wobec katastrofy całą swą równowagę i urzędowy spokój.

- W takim błocie uczciwy i porządny człowiek nie może zostać? - wybuchnął dyrektor. - Być pod władzą pana Wojdaka! Nie! Zresztą pan się sam przekona. Tu się dzieją ohydne rzeczy!

Adam zabrał się do gruntownej kontroli roboty i rachunków, i coraz bardziej zajęcie go pochłaniało. Nie znalazł nigdzie jednak potwierdzenia dowodzeń Zaremby. Wydatek był średni, maszyny w porządku, rachunki normalne. Wydawało mu się tylko, że urzędnicy byli jacyś osowiali, kasjer jakby zmieszany, magazynier wystraszony. Coś było w powietrzu niezwykłego, niepokojącego.

Tak mu czas zeszedł do południa i wtedy dopiero poszedł do pałacu.

Właściwie dlaczego oni tu siedzą, a nie w Warszawie? - pomyślał z niechęcią.

Co by dał za to, by poza pracą być samym.

Wspomnienia były za świeże, za bolesne; przymus towarzyski nad siły ciężki.

Zastał rodzinę już zebraną w jadalni, miny jak zwykle oficjalnie nudne.

- Ależ siedziałeś w tym Petersburgu! - rzekł stary.

- Mało co dłużej niż zamierzałem.

- Załatwiłeś wszystko pomyślnie?

- Tak. Wszystko! - odparł.

- A tu tymczasem ładny odkryłem pasztet. Wiesz? Zaremba brał łapówki od dostawcy buraków.

- Ma ojciec na to dowody?

- Jakże. Na piśmie.

- Poproszę o nie do sprawdzenia.

- Jak to, nie wierzysz ojcu? - oburzyła się Anielka.

- Owszem, ale jako administrator muszę mieć w ręku dowody.

- Będziesz je miał. W każdym razie omyliłeś się grubo na Zarembie, a trzymasz go cztery lata. Naturalnie, byli w zмовie z kasjerem i magazynierem. Ta trójka okradła grubo akcjonariuszów.

- Któż wreszcie to odkrył?

- Wojdak.

- Bardzo bystry! Ale zdziwiłem się, że opuszcza swą robotę podczas kampanii.

- Nie mógł czekać na twój powrót. Ojciec jego umarł.

- Mówiono mi, że go ojciec wysłał do Kijowa i że ojciec umówił tego zastępcę.

- Brednie! Zastępcę on sam płaci. Nie obciąża to fabryki, mogłem zatem upoważnić.

- Biedak! Tak ciężko jest dotknięty stratą ojca. Że on w ogóle wystarcza! - rzekła

Taubertowa.

- Czemu?

- Przecie ma też własne ciężkie interesy i rodzinę do utrzymania. Trzy siostry, brat młodszy, stara matka. Jak on ich wszystkich kocha, jak o nich dba!

Nigdy nie słyszał Adam tylu pochwał z ust teściowej. Uśmiechnął się.

- Ignac tym razem wynalazł brylant - rzekł.

- Tak, to jest nieoceniony człowiek! - wymówił uroczyście Taubert.

- Nie tęsknisz za Warszawą? - zwrócił się Adam do żony.

- Ojciec nie może wyjechać z powodu porębu, więc dotrzymujemy mu towarzystwa.
- Doskonale wyglądasz. Służy ci wieś.

Anielka zarumieniła się. Oboje rodzice spojrzeli na nią z zadowoleniem.

- Istotnie. Nabrała kolorów. Udała się nam letnia kuracja! - rzekła Taubertowa.
- Będą dziś Gawrońscy i młody Zaleski. Zbierze się partia do winta - dodał z zadowoleniem stary.

Adam wyszedł do siebie na cygaro i resztę dnia spędził w biurze. Pracował z największym przymusem, ale gdy na chwilę przestawał rachować, czuł tak straszny ból, bunt, rozpacz, taką drapieżną chęć zemsty nielogicznej, takie rozdrażnienie i nienawiść, że całą siłą woli hamował się, wracał do cyfr, do myśli o interesach - byle nie zostać ze sobą. Wieczorem lokaj z pałacu wezwał go do gości. Gdy szedł przez podwórze, spotkał wędrownego kramarza Icka, który jakby nań czatował.

- Proszę jaśnie pana, ja wczoraj był w miasteczku, to mnie jakaś uboga dała list, co by jaśnie panu doręczyć.

- Co za uboga?
- Jakaś taka stara. To ona pewnie prosi o wsparcie.

Adam wsunął list do kieszeni i po chwili o nim zapomniał. Takich próśb o wsparcie odbierał tyle, że gdyby je wszystkie spełnił, po roku sam by żebrać musiał.

W pałacu czekano nań z wintem. Rozpoczęła się gra i pogawędka zwykła na wsi, o cenach zboża, o koniach, o plotkach, o polityce. W salonie obok bawiły się panie domu z panią Gawrońską, potem rozległ się fortepian i śpiew. Młody Zaleski omylił się w grze, napadł nań partner.

- To wina żony pana i jej śpiewu - tłumaczył zwracając się do Adama.

Ten dopiero wtedy zwrócił uwagę i przysłuchał się. Rzeczywiście Anielka śpiewała inaczej, żywiej, z większym zrozumieniem.

- Dużo śpiewa w tym roku. Poczciwa, została tu dla mnie i z nudy na wsi zajęła się muzyką - rzekł Taubert.

Adam ciągle wygrywał. Gdy skończono, zapłacili mu wszyscy i Gawroński rzekł wesoło:

- Pieniądze idą do pieniędzy. Pan ma we wszystkim bajeczne szczęście. Podobno zarobi pan na Zaciszu dziesięć tysięcy. W pół roku za ledwie, to świetnie.

- Jak to? Sprzedajesz Zacisze? - zdumiał się Taubert.
- A po cóż mi ono?
- No proszę, a któż targuje? I pomyśleć, że ja mogłem to kupić od Skibińskiego.

- Zostaną zawsze pieniądze w rodzinie! - pocieszał go żartobliwie Gawroński, ale stary się zasępił, zmartwiła go ta wiadomość.

Adam odczuł złośliwą przyjemność. Wszystkie przebyte ostatnimi czasy wrażenia stały mu się jednym uczuciem - nienawiści i rozdrażnienia, żądry, by cierpiał każdy wokoło niego.

Gdy wracał do swego gabinetu, znalazł list ostrzegający o zachwianiu się fabryki maszyn, której akcyj posiadał Taubert na kilkanaście tysięcy. Ze złym uśmiechem list zniszczył, ze złym uśmiechem napisał polecenie do swego radcy prawnego - decyzję na sprzedaż Zacisza, a potem zrobił rachunek swego majątku.

Posiadał w ziemi i w kapitałach dwakroć sto tysięcy, podwoił tedy fundusz w przeciągu dziesięciu lat. Zaczął rozmyślać, układać projekt, jak by z tą siłą Taubertowi dokuczyć. Myśl ta czyniła mu rozkosz.

Nazajutrz w biurze ze szczególną przyjemnością źle traktował każdą sprawę, ostro urzędników.

O południu wszedł do laboratorium i znalazł przy robocie już Wojdaka.

Miał krepe u surduta i wyglądał źle, mizernie, z jakimś mętym wyrazem oczu.

- A, wrócił pan przecie! - przywitał go.

- Tak, wprost z pogrzebu ojca, i będę pana prosił o zwolnienie mnie z posady wobec konieczności zajęcia się sprawami rodzinnymi.

- Otrzymał pan spadek?

- Matkę niedołązną, czworo rodzeństwa i ruinę.

- Słyszałem, że ojciec pana miał fabrykę.

- Niestety, już piątą z rzędu, warsztaty żelazne obciążone długami. Właściwie w tej chwili naszego w tym nic nie ma oprócz firmy.

- Mój teść będzie bardzo nierad stracić tu pana. Podobno odkrył pan grube malwersacje?

- Czy miałem je zamilczeć?

- W każdym razie ujawnić je mnie jako administratorowi. Ale o to mniejsza. W każdym razie o mnie się tu wszystko musi oprzeć.

Pod zimnymi jego oczami Wojdak swoje spuścił.

- Przedstawię panu dowody. Kiedy będę się mógł uwolnić?

- Będę musiał pana poprosić o pozostanie do przyszłego tygodnia, do posiedzenia Rady.

Czy zastępca, przez pana tu sprowadzony, będzie mógł objąć posadę, o tym się tymczasem przekonam. O dowody malwersacyj zaraz poproszę.

- Oryginały złożyłem w ręce pana Tauberta.

- Jakże mianowicie?

- Listy Kubika-dostawcy i świadectwo Hersza Lundena, że pośredniczył między magazynierem i plantatorami.

- Kubik jest specjalista od szachrajstw w dostawach i ma co rok sprawy o złą wagę, a Lundenowi pan Zaremba nie przyjął latem wapna. Zresztą sprawdzimy tę rzecz - zakończył wychodząc.

Wieczorem zażądał od teścia owych dokumentów i zajął się śledztwem. W fabryce powstał sądny dzień, okazały się różne brudne sprawy, wypęzły na jaw masy plotek, zawiści, intryg. Taubert triumfował, o byle co krytykując zięcia, zwałając nań całą odpowiedzialność, wymawiając opieszałość.

Przyjechał na to Ignac z Warszawy i uczynił dywersję, bo ogłosił na wstępie:

- Ojciec żołądkuje się o głupie sto korcy buraków, co tu ukradli, a nie wie, że Jacentowo kaput.

- Co? - wyjąkał Taubert.

- Ano, ogłosili upadłość.

- Boże wielki! Mieliśmy tam ile? - jęknęła stara.

- To nie może być! To łgarstwo! Zaraz wyślę depeszę.

- A po co? Kiedy Smoczyński właśnie depeszę przysłał. Dali mi ją na stacji!

- Dwadzieścia dwa tysiące! - mruczał Taubert czytając depeszę.

- Ach Boże, Boże! - biadała stara.

Wyciągnięty w fotelu poprzez dym papierosa Jaworski patrzył na nich, po kolei na każde. Ignac bezpieczny, spokojny, usta do gwizdania złożył myśląc zapewne: Gerhardowej to nie tknie. Prezes chodził po pokoju zgarbiony, nagle zżółkły na twarzy. Taubertowa z załamanymi rękami bliska była apopleksji, tylko Anielka nie przestała wyszywać haftu na serwecie i zdawała się nie słyszeć. Na obojętność tę zwrócił uwagę Jaworski - jak w ogóle na żonę od dawna raz pierwszy. Pochylona, zamyślona, coś jakby uśmiech miała na twarzy. Zatrzymał na niej spojrzenie; ona je poczuła, bo podniosła oczy i prędko je znowu spuściła.

Taubert spojrział na zegarek, zadzwonił na lokaja.

- Konie na pociąg! - zadysponował wychodząc.

Podniósł się też Jaworski.

- Skorzystam i ja z tych koni. Pojutrze posiedzenie Rady. Zostaniesz tu długo? - spytał szwagra.

- Ano do twego powrotu. Kiedy?

- W piątek wrócę po południu.

Niewiele mówili ze sobą teść z zięciem w czasie tej drogi i mało się widzieli w Warszawie, każdy zajęty własnymi sprawami. Jaworski trapiący męką rozdrażnienia, niezdolny znieść beczynnej samotności ani szablonowego towarzystwa, poszedł wieczorem do kabaretu, potem z jakąś przygodną znajomością pół nocy spędził w gabinecie, dużo pijąc, i w usposobieniu dzikim wrócił do domu. Czuł, że nie zaśnie; rzucił się w fotel, wstrząsany dreszczem, dysząc z gorączki oczy jego padły na białą plamę koperty na biurze.

Był to jakiś list, który rano znalazł w kieszeni i rzucił, czymś innym zajęty.

Sięgnął po niego i otworzył. Z początku zdziwił się, że litery widział czerwone, potem, że pismo było koślawe, nieudolne lub podrobione, wreszcie zaczął czytać:

“Jeśli pan chce się dowiedzieć, co i gdzie Panu naprawdę kradną, kto uczciwy, a kto gałgan - niech pan wróci niespodzianie do swego domu własnego, między godziną jedenastą a pierwszą w nocy. Wtedy pan zrozumie, dlaczego niewinni są szkalowani i cierpią!”

Nie było podpisu i na razie wcale treści nie rozumiał. Odczytał kilkakroć, wydało mu się tak głupie, tak idiotyczne, że zmiął papier i wrzucił do kosza. Ale myśl pozostała i wracała uparcie, i z nią zasnął nad ranem.

Nazajutrz odbyło się posiedzenie Rady akcjonariuszów, dość burzliwe wobec złego procentu cukru. Czuć było ferment przeciw zarządowi, czepiano się o byle co. Wokoło siebie czuł Jaworski chłód i niechęć, a nie zdawał sobie sprawy, że uczucia te od siebie też dawał ludziom, dla których dotąd życzliwie pracował.

Opuścił zebranie pierwszy, na ulicy spojrzął na zegarek i postanowił wracać do domu. I znowu przemknęła mu myśl: Będę między jedenastą a pierwszą w nocy i pewnie stróża nie zastanę na stanowisku, bo miałem wrócić jutro. Na ziemię spadło dużo śniegu, a gdy przybył na swoją stację, zastał tylko parę chłopskich sanek.

Najął jedne i gdy się znalazł w pustce pól, przypomniał sobie chłopski wózek, którym wiosną jechał do Tepeńca. Było i teraz pusto i cicho, tylko... jakże inaczej.

U bramy odprawił chłopca i rozpoczął niespodzianą lustrację. Fabryka jak zwykle szła, stróż był na stanowisku - wszystko w porządku.

Skierował się tedy do mieszkalnego domu, przez park, na boczny swój ganek.

Zdziwiło go światło w buduarze Anielki, różowe, słabe od wiszącej ampli.

Na obyczajach Taubertów była to niezwykła godzina do czuwania.

Wszedł na ganek i znowu się zdziwił znajdując drzwi nie zaryglowane. W korytarzu było ciemno, pociśnął guzik elektrycznej latarki i skierował się wprost w głąb do jadalni.

Kto tam? - rozległ się głos Ignaca z bocznego pokoju.

Bez odpowiedzi poszedł dalej, minął jadalnię, salon, kroki jego tłumił dywan, i stanął na progu buduaru.

Pośrodku pokoju stali Anielka i Wojdak. Trzymali się za ręce ku sobie pochyleni, coś mówiąc zapewne, ale on ich tylko widział, nie wierząc oczom. I nagle poczuł na ramieniu dotknięcie, światło świecy, i głos Ignaca, i głuchy krzyk kobiety. Zawrócił się, spojrzał na szwagra, a ten na wpół ubrany kończył:

- Zasiedzieliśmy się, byłem u siebie po cygaro, myślałem, że złodzieje chodzą po domu.

Jaworski słowa nie rzekł, obejrzał się. Wojdak stał już sam, śmiertelnie blady.

Tedy Jaworski zawrócił, minął z powrotem salon i jadalnię, na korytarzu otworzył drzwi swego gabinetu, ruchem i oczami zawołał Wojdaka, a gdy ten wszedł, przed Ignacem drzwi zamknął i zarygłował.

Potem zapalił świece na biurku i rzekł:

- Masz mi pan co do opowiedzenia?

Wojdak był wciąż blady jak ściana, ale już panował nad sobą i patrzył śmiało.

- Mam! - rzekł twardo. - Kochałem ją, kocham, w śmierć i po śmierci kochać nie przestanę.

- A tę śmierć widzi pan przed sobą?

- Widzę. Z pana ręki czy ze swojej, wszystko mi jedno. Pożegnałem ją na zawsze. Jestem na pana rozkazy.

- Jak na złodzieja... bardzo szlachetny gust! - roześmiał się szyderczo Jaworski.

Wojdak skoczył, podniósł rękę do piersi.

- A pan takim złodziejem nigdy nie był! - wybuchnął.

- Zdaje mi się, że pan chce dysputować ze mną!

- Nie, ale nie zniosę obelg. Jeślim zawinił, zapłacę!

- Czym?

- Krwią i życiem wedle światowych obyczajów! Czekam pańskiej dyspozycji.

- Pojedynku pan się spodziewa?

- Wolałbym prędszy i mniej rozgłośniejszy koniec.

- Na przykład?

- Świece się dopalają, ta moja, tamta pańska. Czyja pierwsza zgaśnie, ten się usunie z życia cicho, samotnie, nie obryzgując swą krwią ani skandalem bliskich i drogich.

- Zgoda. Za kwadrans los rozstrzygnie.

Zapanowało milczenie. Jaworski ruchem wskazał mu fotel; sam usiadł, oczy przymknął, starał się ogarnąć myślą to niesłychane przejście.

Chwilami zdawało mu się wszystko zmorą, majaczeniem gorączkowym czy pijackim, to znów ogarniała go wściekłość upokorzenia, próżności, nienawiść dla kobiety, która go zdradzała, żądza zemsty i potem nadchodziła fala ohydy, wstrętu, obrzydzenia prawie fizycznego.

Całą historię ostatnich miesięcy miał jasno przed sobą. Pośrednictwo Ignaca, starania Wojdaka, opętanie rodziny kwestią materialną, rzekomym poświęceniem, staraniem o ich grosz, usłużność, wkręcanie się na stanowisko domownika, a potem już swobodny romans. Zresztą może Taubertowie o wszystkim wiedzieli - matka szczególnie.

Zresztą może to trwało już od lat całych, już wtedy, gdy proponował żonie zamieszkanie w Zaciszu, już wtedy, gdy spędzały z matką miesiące za granicą. On przecie musiał pracować na jej zbytek, podróże, stroje, przyjemności; był przecie tylko mężem.

Wzdrygnął się na nagły szelest, otworzył oczy.

Wojdak wstał z krzesła, na biurze paliła się ostatnim tchnieniem tylko jedna świeca, Jaworskiego.

- Los wydał wyrok! - rzekł Wojdak głucho i twardo. - Jutro już nie będzie mnie na niczyjej drodze ani na ziemi. Zostawię matkę i rodzeństwo w ruinie i wstydzie, odejdę tak, aby przynajmniej nie można było powiedzieć, że tchórz i podły. I tej, którą kocham, sprawię ból, bo nic innego dać nie mogę, ale ludzkim prawom i sprawiedliwości stanie się zadość. Pan tę kobietę kupił, zapłacił, dokument dozgonny został podpisany. Jest pan jej prawnym posiadaczem i władcą. Mówię jak skazany na śmierć, swobodnie. Nie kupił pan i nie zapłacił za jej duszę, za jej serce, za jej myśl. To moje, i o to ja kiedyś pozwę pana na inny sąd, i wtedy będzie inny wyrok. Teraz żegnam pana!

Przez sekundę oczy Jaworskiego pociemniały od jakiejś grozy, ale wtem zalała je krew, ogarnęła go wściekłość. Powstał, zdawało się, że skoczy policzkować.

- Precz - zawołał dziko - bo cię tu ubiję, bezczelny!

W tej chwili ostatni blask świecy zatoczył się, strzelił w górę i zgasł. Rozległ się skrzyp drzwi, kroki, pokój i dom cały ogarnęła ciemność i cisza. Wyczerpany ostatecznie Jaworski osunął się w fotel i stracił świadomość - nawet myśli.

Był późny zimowy świt, gdy znowu rozległy się kroki na korytarzu i wszedł służący.

- Proszę pana, depesza - rzekł z cicha.

Jaworski się ocknął, powstał z trudem, tak go bolały członki, ciężka głowa.

- Podaj światło! - rozkazał.

Lokaj wniósł lampę i wtedy Adam otworzył depeszę, spojrzał na podpis: Atma.

Zaczął się trząść jak w febrze, musiał papier położyć na stole, tak mu dygotały ręce, musiał oczy przetrzeć, bo mieszały się litery, i odczytał:

“Bądź dobry, abyśmy razem być mogli”.

I nagle zerwał się nie rozumiejąc, nie zdając sobie sprawy, co czyni. Wypadł na korytarz, na podwórze, do mieszkalnego domu fabrycznej administracji.

- Pan Wojdak u siebie? - spytał stróża.

- W nocy wyjechał najętą furą do kolei. Powiedział, że rano wróci.

Adam oparł się o ścianę, całą siłą woli się opanował, zawrócił do domu.

Gdy się znalazł z powrotem w swym gabinecie, oparł głowę o rozłożoną na biurze depeszę i zdrętwiał słysząc jakby szum wody, w której tonął nie mając ni sił, ni woli, by się ratować.

VII

Była znowu wczesna wiosna. Rozpoczęły się roboty w polu, pęczniały pąki na drzewach, wracały ptaki z wyrajów, ludzie ruszali się różnie. W Zbylczycach ucichły maszyny w fabryce, pracowano przy remoncie. W domu był tylko Jaworski.

Pani Taubert z córką od Nowego Roku bawiły za granicą, prezes w Warszawie, nawet Ignac nie odwiedzał szwagra.

Ten pracował jak zwykle, jak co rok z sumiennością maszyny i z maszynowym spokojem.

Po nieszczęśliwym wypadku z Wojdakiem, który przechodząc zimą przez plant kolejowy, pośliznął się, upadł i został zmiażdżony przez przelatujący pociąg kurierski, nowy chemik objął posadę, nowy dyrektor zastąpić miał od lipca Zarembę, nowy był magazynier i zmianowy. Miał tedy Jaworski sporo zajęcia z tego powodu i dotąd nie mógł na wypoczynek wyjechać ani często odwiedzać sąsiadów.

Dnie spędzał w biurze, wieczory w pustym domu. Zresztą innych lat było prawie tak samo. I tak samo jak zwykle pewnej nocy lampa oświetlała gabinet i przy biurze Jaworski pisał. List to był:

“Bracie, gdy to czytać będziecie, pójďte do krynicy, gdzieście mnie zeszłej wiosny uczyli Mądrości i Prawa, i wysłuchajcie mnie raz ostatni. W tym życiu już się nie spotkamy.

Nie jestem już tak bezrozumny, bym zabijał ciało myśląc, że duszę zabiję. Ale też nie mogę dalej tak żyjąc - ją mordować ani jestem w stanie w stosunkach i warunkach dotychczasowych czekać kresu. Cuchnę sobie jak trup, duszę się w męce, jestem w szponach zmory jak potępieniec. Co zmyje ze mnie krew człowieczą, którą jestem obryzany jak zbrodniarz, co mnie obroni przed głosem oskarżyciela, który mi mówi: chciałeś w życiu tylko sławy, tylko użycia, tylko zbytku, tylko złota i władzy.

Kłamałeś szlachetność, uczciwość, miłość, przyjaźń - sam zdrajca wiarołomca, złodziej, uczyniłeś sąd, wydałeś wyrok nad żoną, zabiłeś człowieka, który ośmielił się ją pokochać, gdyś ty ją lekceważył i opuścił.

Teraz tak idąc, tak żyjąc - jestem bez mocy, by winy naprawić. Nie wrócę zmarłemu życia, nie śmiem spojrzeć na żonę, nie mam przyjaciela, cięży mi jak kamień pieniądz.

Muszę wszystkiego odejść, wszystkiego się wyzbyć, nie istnieć tutaj, nawet was nie mieć.

Już interesy swe uregulowałem, już się wyzwoliłem z wahania i bojaźni, już czuję, że kędy idę - dobrze idę.

Zachowajcie me miejsce wśród was, niech waszą moc czuję duchem; na ciężką idę pokutę, na drogę, z której wrócić nie będę mógł - co by się nie stało, co bym nie znosił.

Większą część funduszu przepisałem na ciebie, bracie, niech wróci do ojcowizny i idei, której stróżujesz; resztę niech Atma użyje na jakąś sprawę dobrą; ja z sobą biorę tylko waszą naukę, swoją zhańbioną duszę, i swą wolę i postanowienie, by choć u kresu jedno z Wami być i odnaleźć Was z tamtej strony. Wiem, że nie zmartwi, a ucieszy Was ta ostatnia tutaj wieść o mnie, bo gdy to piszę, schodzi na mnie i od wielu czasów raz pierwszy jakby otucha i nadzieja - i moc w mej słabości. Żegnajcie i bądźcie błogosławieni”.

Podpisał i zamknął list w kopertę, a potem począł ostatecznie porządkować w biurze.

Palił jedne papiery, składał inne, przechodząc po kolei szuflady, długo w noc paliła się lampa w gabinecie.

Zwykłym trybem zeszedł dzień następny, wieczorem Jaworski kazał przygotować konie na nocny pociąg i sam upakował swe rzeczy do ręcznego kuferka.

Zapowiedział, że wyjeżdża na dni parę do Warszawy w interesach fabrycznych i rzeczywiście z teściem mówił tylko o sprawach pieniężnych.

Taubert zagadnął go, czy prawdą jest, że sprzedał kilka swych akcji cukrowni.

- Ostotnie, sprzedałem. Potrzebuję gotówki.

- Masz na widoku jaki interes? - ciekawie jął badać stary.

- Może być. Dziś wieczorem jadę do Petersburga.

- Słuchaj no! Jeśli to z intendancją, przyjmij mnie do spółki!

- Za powrotem odpowiem.

- Tak, tak. Znam ciebie. Nie lubisz zbytnej szczerości i masz rację. Jedź, a pamiętaj o mnie!

Rozpromieniał Taubert i od dawna nie był dla zięcia tak serdeczny. Rozmawiali swobodnie do późnego wieczoru, wreszcie Jaworski na zegar spojrzął i wstał.

- Co ty masz za zegarek obskurny? - rzekł Taubert.

- Oddałem swój do reperacji.

Pożegnali się i Jaworski ruszył na kolej. Po drodze zatrzymał się w jakiejś obskurnej golarni, kazał ogolić zarost, ostrzyć włosy przy skórce i przystrzyć wąsy. Na dworcu nacisnął kapelusz na oczy, podniósł kołnierz paltota, sam kupił bilet i bez pomocy tragarza zajął miejsce w przedziale pierwszej klasy, gdzie na drugiej kanapie już wyciągnął się do snu nieznajomy wojskowy.

Była noc chmurna, deszcz mżył; pociąg ruszył.

Po ostemplowaniu biletów Jaworski się też położył i zdawał się spać.

Gdy upewniło go zupełnie chrapanie towarzysza, podniósł się, przyciemnił zupełnie światło, rozpakował kuferka. Wydobył zeń niewielki pakiet owinięty w ciemną bawełnianą chustkę i wytarty, stary pugilares. Ze swego pugilaresu włożył weń sto rubli, a swoje papiery przełożył do

kufierka. Potem zdjął swe cienkie, eleganckie obuwie jakby do snu i naciągnął wydobyte z pakietu dobrze już znoszone buty z cholewami, wreszcie i kapelusz swój założył za siatką, a nacisnął na głowę wytarty, rudy filc.

I wtedy, w kąć wtulony, czekał.

Gdy sygnał parowozu oznajmił zbliżenie stacji, wyszedł na korytarz i wyskoczył na plant w stronę przeciwną platformie.

Miał w ręku zawiniątko w chustce, wokoło była ciemność, stacyjka malutka, o sto kroków w bok czerniały jakieś zarośla.

Jaworski potknął się parę razy na szynach, wyminął jakiś budynek, i znalazł się pod osłoną wielkich drzew. Żywej duszy nie było nigdzie z tej strony; rozległ się dzwonek, gwizd - pociąg ruszył.

Trochę ludzi rozpełzło się z platformy, paru stróżów przeszło migając latarkami i zapanowała martwa cisza.

Wtedy Jaworski poszedł ku owym zaroślom.

Był to borek sosnowy podszyty jałowcem.

Pod tą osłoną Jaworski się przebrał w kolorową bawełnianą koszulę bez kołnierza, w marynarkę mocno znoszoną i brudną i także spodnie.

Pugilares wsunął za koszulę, na piersi, a swoją odzież zawiązał w chustkę i rozejrzawszy się w ciemności, przejęty chłodem i wilgocią poszedł szukając drogi.

Wiedział mniej więcej godzinę i nazwę stacji, wiedział, w jakiej jest okolicy - więcej nic.

Po niedługim błędzeniu znalazł szlak jezdny, mocno wyboisty, i puścił się nim - od plantu w głąb kraju.

Zawadzał mu węzełek szmat, więc gdy trafił na groblę i ujrzał wodę w rowie, obciążył pakiet ziemią i zatopił przy krzaku łoży.

Teraz nie miał już nic i był nikim.

Deszcz nie przestawał padać i po jakimś czasie licha jego odzież przemokła na wylot, czuł wilgoć na ciele, przyspieszył kroku. Gdzieś przed nim kogut zapiał, zaszczekał pies; zbliżał się do ludzkich siedzib.

Jakoż gdy się z lasu wydostał, ujrzał czarne kontury chat, płoty, parę wielkich krzyżów przydrożnych i znalazł się w ulicy wioskowej.

Chaty jeszcze spały, ale świeciło się w domostwie większym, widocznie dawnej karczynie.

Zatrzymał się i zajrzał przez brudną szybę.

Ujrzał wielką izbę, oświetloną nędzną lampką na rogu stołu, przy którym siedziało drzemiąc dwóch Żydów, a jeden coś pisał kredą po stole.

Na podłodze izby pokotem, jeden obok drugiego, spało kilkunastu chłopów.

Chrapanie ich i świszczące oddechy słyhać było aż na ulicy, spali jak drewno, w odzieży, z której parowała wilgoć.

Jaworski się wzdrygnął wstrętem, gdy drzwi otworzył i próg przestąpił. Nikt się nie poruszył, więc odezwał się w stronę piszącego Żyda:

- Można tu dostać nocleg na sianie?

- Ja nietutejszy - odparł Żyd. - Gospodarze śpią w alkierzu. A wy kto?

- Robotnik. Z Białegostoku. Jaka to wieś?

- Horby.

- A te ludzie? Tutejsze?

- To moje flisaki z Wołynia. Wracają do domu.

- Prowadzicie drzewo wodą?

- Aha. Rzeka tu o krok. Może się najmiecie na dwa tygodnie. Płacę cztery ruble i charcz (wikt)!

Jaworski nic nie odparł. Usiadł na ławie przy oknie, w którym brakło szyby, zapalił papierosa. Miał dziwne wrażenie - nie czuł siebie. Mózg jego i nerwy przemęczone nad miarę ostatnimi czasy, zda się, odmówiły czynu, zmartwiały po czynie.

Nic nie myślał, nie czuł, tylko jakiś nieokreślony, bezbrzeżny spokój, jakby dalej nic czynić nie miał, jakby spełnił jakąś konieczność, skończył jakieś zadanie i na coś czekał, co już od niego nie zależało.

Nie spał, ale i jawy nie czuł, oczy miał otwarte, ale nic nie widział, nie dusił go zaduch izby, nie słyszał chrapania i stękań śpiących, widział jedno, że wybrnął z męki.

Żyd ostatni zasnął, lampka dogasała kopcąc, za oknem czynił się brzask, gdy na drodze rozległ się tętent konia, stukanie w szybę i głos gromki.

- Meir, Meir!

Żydzi zerwali się, poruszyło się paru chłopów, a głos wołał dalej:

- Wiecie nowinę? Most pod kurierem się zawalił!

Jaworski się zerwał.

- Most! Jak to? Dziś? A pociąg?

- Dziś w nocy. Pociąg w rzece, po ludzi jadę.

Tętent się oddalił. W izbie zawrzało. Zerwali się chłopci, z alkierza ukazała się cała rodzina gospodarza. Jaworski wyszedł na ulicę wioskową. Już i tam ruch się czynił, konny budził, wołał, chłopci już powtarzali jeden drugiemu nowinę. Nie upłynęło pół godziny, już gromada młodych parobczaków zebrała się i ruszyła kłusem przez pola.

Jaworski ruszył też za nimi, napędzili go inni, znalazł się w kompanii i biegł razem. Minęli na przełaj pola, przebrnęli grząską olszynę, wydostali się na garb piaszczysty, którym plant kolei biegł. Za tym garbem były łąki przerzniete wysokim nasypem, a potem była rzeka i most. Most był jeszcze wczoraj - teraz sterczały przyczółki z obu stron, w środku przepaść, a na jej dnie czarna toń wodna, tak spokojna, jakby nic nie zniszczyła, nic nie pochłonęła.

Na przyczółku stały dwa wagony; reszta pociągu z całym wiązaniem mostu leżała na dnie.

Gromada ludzi czerniała przy wagonach, na przeciwnym brzegu poczynało się także mrowie. Świst parowozu spędził z plantu biegnących, minął ich; był tylko jeden wagon, inżynierski. Wśród zgiełku, zamętu, natłoku wciąż przybywających ludzi, rozkazów, wrzasku, Jaworski jeden nie okazywał ani ciekawości, ani grozy. Przekonał się, że nie był w żadnym z pozostałych wagonów, stanął nad rzeką, patrzył w nurty. Zrozumiał, że los przyjął jego zamiar, że mu przeznaczone było tak żyć, jak postanowił, że to, w czym był dotąd, leżało na dnie, że Adam Jaworski umarł, skończył!

A wtem go ktoś potrącił.

- Ty czego tu? - krzyknął człekw kolejowej czapce.

- Robić przyszedłem.

- Siadaj na drezinę i machaj! Masz tu depeszę, oddaj naczelnikowi! Przywieziesz majstrów.

Ty siadaj z nim! - krzyknął na dróżnika.

Ruszyli, we dwóch pchając wagonik.

- Ot chryja będzie! - rzekł dróżnik. - A ja jakbym przeczuwał. Mówiłem wczoraj Marasowi, co w budce przy moście siedzi. Woda raptem ruszyła, aby mostu nie zniosła. Ot i jest. Maras przepadł. Wygonią go z wilczym biletem.

- Duży był pociąg?

- Nie. Wiadomo, kurier.

- Ile zginęło ludzi, nie wiadomo?

- Sztuk ze dwadzieścia. Bo w tych dwóch wagonach trochę zostało. Konduktor też jeden w ostatnim wagonie był.

- A z tamtych nikt się nie uratował?

- Skąd? I Jezu! Pewnie nie miał czasu żaden krzyknąć. Toć noc. Bogate państwo, spali wygodnie.

- Będą wydobywać z rzeki?

- Juści. Roboty będzie huk, pieniędzy szmat ludzie zarobią. Wy kto?

- Z Białegostoku idę, roboty szukam.

- Byle kogo drogowy nie weźmie. Rekomendację trzeba mieć, znajomość.

- Rozumie się. Dziesięć rubli dam za rekomendację.

- A co umiecie robić?

- Monterem przy fabrykach bywałem, na maszynach się znam.

- Papiery macie? Jak nazwisko?

- Karliński. Papiery mam.

- Drogowy też zechce wkupu. Teraz warto dać i dobrze, bo w takiej robocie dobrze płacą, nie patrzą na rubla.

- Dam z chęcią.

- No to ja was wieczorem zaprowadzę do zapisu.

- Jak przyjmą zapłacę wam z podziękowaniem.

- I wypijem parę szkieł?

- Zafunduję i wódkę!

- No, to widzę, że rozum masz.

Do stacji było kilka wiorst. Gdy przybyli, Jaworski nie czuł ramion z wysiłku, ale zaciął tylko zęby i wolę, i po krótkim odpoczynku parł już sam wagonik z powrotem. Dróżnik został, a na drezynę siadło trzech cieśli kacapów.

- Nu, brat, kataj! - rozkazali mu i rozwalili się beczynn timer.

Jaworski pracował zajadle, drezyna warczała w pędzie.

Jeden z kacapów popatrzał na niego.

- Ty, brat, robisz jak jaki inżynier. Jak ty tak będziesz robić, to ty za tydzień nie chleb, ale piasek żreć będziesz. Ot ty tak rób, po muzycku (z ros. po chłopsku).

Wyciągnął swe olbrzymie łapy, wyprężył ramiona niedźwiedzie i bez wysiłku, jakby się bawił, pędził wagonik.

Jaworski otarł pot i odetchnął.

- Ty pewnie w traktierze [garkuchnia] służył! - zaśmiał się drugi cieśla.

- I tam darmo chleba nie dadzą.

- A gdzie darmo karmią, ty nie był?

- Nie trafiło się! - odparł.

Zaśmiali się grubo kacapy i zaczęli mu pomagać półzartem. Jechali radzi, czując dobry zarobek. Katastrofa, ofiary nie obchodziły ich nic, nawet nie mówili o tym.

Gdy przybyli na miejsce, zabrali narzędzia i poszli do komenderującego inżyniera i po chwili już zaczęli robotę około tymczasowego pontonu, który miał umożliwić komunikację z przeciwnym brzegiem.

Chłopi już sypali prowizoryczny nasyp ku rzece, w bok. Łodzi, tratwę, było już pełno, klecono szałas, palono ognie - wszędzie wrzała robota.

Jaworski oddał inżynierowi przywiezione ze stacji papiery i usiadł na skraju nasypu, aby czekać na dróżnika.

Ale po chwili z dołu od wybrzeża rozległo się wołanie kacapa cieśli.

- E, ty, traktiernik białoreki, podaj ćwieki z drezyny!

Usłuchał. Cieśla odbił skrzynkę i rzekł:

- Nu, topora nie masz?

- Nie.

- To stań z Miszką deski rznąć. Żywo!

Ani się spostrzegł Jaworski, jak go cieśle wzięli sobie na czwartego. Po godzinie roboty już bez komendy wiedział co robić. Majster, wymyślający i kułakujący nawet robotników chłopów, jemu nie cisnął ani razu przekleństwa.

Ale dłonie miał starte ze skóry, a ramiona mdlejące ze zmęczenia i myślał ze zgrozą, że lada chwila ustanie. A przecie wytrwał do wieczora, ale gdy cieśle zaprzestali roboty, w oczach mu było ciemno, w głowie miał zawrót i usiadł nad wodą niezdolny się poruszyć.

- Nu, co ty! - burknął cieśla. - Jeszcze trzeba barak sklecić, powieczerać, do naczalstwa po wygody iść - po charcze, po wódkę. Ty czego siadł?

- Ustałem. Zostanę tutaj.

- Aha, talerze w restauracji podawać lżej! - zaśmiali się.

- Co robić? Przywyknę i do topora.

Gdy odeszli, położył się na ziemi, skrwawione ręce, zbolące ramiona do niej przycisnął i wypoczywał jak pociągowe zwierzę, bez myśli, ale bez żadnej dusznej troski i męki.

Długo tak leżał. Wokoło gwar cichł. Chłopi-robotnicy odeszli na noc do domów, na rzece opustoszała, mgłami była pokryta jak płachtą. Z błot i mokradeł wstawały roje komarów i rozlegały się chóry ptaków, raz ciszę przerwał gwizd lokomotywy pociągu roboczego, zastukały siekiery przy barakach, trzask walonego drzewa na ogień, urwana zwrotka artielnej [spółdzielczej] pieśni i wreszcie ozwało się wołanie:

- Karliński! Karliński!

Jaworski się zerwał.

- Jestem! - odpowiedział.

- Nu, żywo do zapisu, na drożnego!

Poszedł, mozolnie dźwigając się na świeży nasyp.

Majster drogowy zajął na biuro budę wypędzonego dróżnika, inżynier, służba kolejowa mieszkała w wagonie. Ruch tam jeszcze był, kręcili się ludzie, rozchodziła się woń potraw, szczerkało szkło. Majster, przygotowany przez dróżnika, ledwie spojrzął na paszport, zapisał, zręcznie pięć rubli zgarnął i rzekł:

- Własow, cieśla, chce ciebie pod rękę.
- Dobrze. Pójdę do nich, tylko narzędzi nie mam. Można kupić?
- Można. Ot Łusisz ci wyda.

Wyszli z dróżnikiem. Jaworski dał mu obiecane dziesięć rubli, dostał topór, świder, dłuto i wtedy poczuł okropny głód. Ostatnimi czasy mało co jadł, a już dobę nie miał nic w ustach. Zrobiło mu się słabo.

- A jeść gdzie tu dostać? - spytał.
 - Żyd już szafas rozbił. Dostaniesz jeść. I wódkę ma! - dodał ciszej.
- Poszli w bok plantu, do budy skleconej pół na pół z drzewa i darni.
- Zastali już tam cieśli nad wódką i kilkunastu robotników z linii.
- A co? Odszedł ty? Nu, pij! - zawołał Własow nalewając mu kieliszek.
 - Zjem co pierwej. Ugoszczę dróżnika.
 - Nu, ładno. Siadaj przy nas. Zapisali ciebie do nas, tak będzie kompania.

Zasiedli przy stole z desek i dostał Jaworski chleba czarnego, śledzia, kiszonych ogórków i wódki.

Pili cieśle i dróżnik, on jadł chleb, zrazu z trudem, tak miał zaciśnięte gardło, potem z upodobaniem, z przyjemnością. Wreszcie wypił kieliszek wódki, rozgrzał się, orzeźwił, zaczął mówić z Miską o narzędziach, o robocie, o zarobkach i siedzieli tak społem dość długo, zmęczeni, radzi się nie ruszać - bez troski żadnej, pewni jutrzejszej pracy i zapłaty, nie dbali o świat cały i jego sprawy.

- Byle zdrowie w ciele i rubel w kieszeni, to morze po kolana! - mówił Miska.

[Morze po kolana (porzekadło ros.) - (a reszta to) pestka.]

Wreszcie Własow wstał, przeciągnął się.

- Nu, dzieci, spać! - zakomenderował.

Poszli do baraku. Sklecony był z desek na piasku, wewnątrz nie było nic, tylko ich narzędzia i kożuchy do nakrycia. Rozpalili ognisko od komarów i pokładli się na ziemi. Położył się też Jaworski, pewny, że nie zaśnie z bólu członków i palenia zdartych dłoni. Ale po chwili przestał czuć, cierpieć, niepokoić się, czy jutro zdoła wstać. Zasnął jak drewno.

VIII

Blisko linii i mostu wrzało od roboty ludzkiego mrowia; kilka razy na dzień przychodziły pociągi - pasażerowie musieli przechodzić rzekę po tymczasowym pomoście, przyładowywano bagaże, przenoszono ręczne tobołki, przeprawiano pocztę - ciągły był ruch i wrzawa, ale o kilkaset kroków dalej w bok była już pustka i cisza sosnowych zarośli i nadrzecznych łąk.

Odpoczynek był rzadki. Robota szła w jasne noce i nawet w niedzielę, zarobek był dobry. Jaworski przetrwał najgorszy początek, mękę mięśni do fizycznej pracy nienawykłych, przeżył gorączkę, febrę, kurcze żołądka i nie poddał się.

Co rano myślał, że się z ziemi nie dźwignie, a wstawał i szedł, co dzień miał pokusę odejść, szukać innej pracy, ale zostawał. Na twarzy i karku spaliła mu się i pękała, na dłoniach zgrubiała i znieczuliła skóra, licha odzież podarła się i powycierała, ale z jakąś zawziętością upartą znosił. Mało mówił, o nic się nie upominał ani targował, od towarzyszy nie odstawał. Wzywał się w to życie, uczył ich gwary, wyróżniał się chyba swym spokojem, gotowością, by każdemu pomóc i dogodzić, i bystrością w objęciu całej roboty.

Robotników przybyło. Przyszli murarze, maszyniści, kotlarze i ślusarze, dźwigano nowy most. Jaworski trzymał się swych cieśli, ale wieczorem czerń cała spotykała się w baraku, u Lejby, gdzie był już i sklep, i gdzie pito do bezpamięci.

Bywały nocami burdy i krwawe rozprawy, muzyka na harmoniach i rozpusta dzika, złodziejstwa i rozboje.

I tam Jaworski szedł, i wśród tłuszczy tej spożywał wieczerzę, i siedząc w kącie obserwował.

Zaczepiano go parę razy, wciągano gwałtem w skandal i awanturę, ale wtedy ujmował się za nim olbrzymi Własow, zajadły Miszka, a on sam miał wobec napastników zimny spokój pogromcy, który zwykł panować. Była tylko jedna plaga i męka, z którą ani się mógł żyć, ani ścierpieć - powietrze i brud baraku - była to najstraszniejsza pokuta.

Brak bielizny, pościeli, toaletowych przyborów, robactwo, zaduch doprowadzało go do rozpacz, do buntów, do przeklinania doli, a na to rady nie było, usunąć się od tego nie mógł. Towarzysze tak żyli, nie odczuwali przykrości, a on był przecie jednym z nich.

I tak już drwili z niego, że się strzygł i golił, że zmieniał co tydzień koszulę, że się kąpał w rzece. Oni się obchodzili doskonale bez tych wymysłów.

Pewnej soboty rano Własow oznajmił:

- Nu, dzieci, po południu bastujem i jazda do miasta!

- Ba, albo skończym co inżynier przykazał - odparł Jaworski.

- Głupi ty, Karluszk! To niech on sam robi w Zielone Świąta. Nam trzeba do łaźni, do cerkwi i na zabawę. Dopiero we wtorek wrócimy. Wszyscy bastują!

- Do miasta trzeba! - rzekł Tirs, drugi cieśla. - Może z domu list jest.

- A ja swojej babie pieniędzy pošlę! - mruknął Miszka.

Robota szła licho, mówili o zabawie, o sprawunkach, o rodzinach w dalekiej Pskowskiej Guberni, o stosunkach domowych.

- A twoja żona gdzie? - zagadnął Miszka.

- Moja? Nie mam - odparł Jaworski.

- To po co pierścień nosisz? Złoty, można sprzedać. I dzieci nie ma?

- Nie.

- Ot szczęście. Co zarobisz, wszystko twoje. U mnie bo pięcioro, i baba, i stara matka. Siedem dusz zimuj. Nu, pošlę im pięć rubli; ty list napiszesz.

- Dobrze.

- To i nam - zawołali drudzy. O południu rzucili robotę, oblegli kasę, potem platformy wracającego, balastowego pociągu i pod wieczór rozpierzchli się po małej, powiatowej mieścinie żądni zabawy i użycia.

Jaworski poszedł do pocztowego biura i odebrał pakiet gazet, potem kupił trochę bielizny, buty, odzież na zmianę i chciał zjeść w restauracji kolację.

Ale go wyproszono z lokalu dość ostro i wtedy spojrzął po sobie, i mimo woli się uśmiechnął. Był stanowczo wykreślony spośród "porządnych" ludzi i "towarzystwa". Barak, warsztat, ulica, szynk to był jego świat.

Wrócił na dworzec, przesiedział kilka godzin w sali trzeciej klasy i wreszcie wprosił się do jakiegoś pociągu, i o świcie wrócił do mostu.

Pusto było i głucho, kto się nie oddalił na święta, ten spał.

On zeszedł nad rzekę i poszedł brzegiem, daleko, w pustkę sianożęci, wynalazł kryjówkę w łożach i pewny samotności rozerwał pakiet gazet. Stare były, z czasów kolejowej katastrofy. Pierwsza, co mu wpadła w oczy, była żałobna klepsydra "Za duszę ś. p. Adama Jaworskiego odbędzie się żałobne nabożeństwo w kościele Św. Krzyża, na które zaprasza przyjaciół i znajomych w smutku pozostała żona i rodzina". A potem podobne w następnym numerze, tylko podpisani byli urzędnicy cukrowni, a potem trzecie kosztem akcjonariuszów fabryki.

Dziwny uśmiech był na twarzy czytającego i długo patrzył w czarne, wielkie litery nazwiska, a potem zaczął odczytywać opis katastrofy, listę ofiar i wreszcie znalazł o sobie dłuższą wzmiankę:

“Zgasły w sile wieku w tak tragiczny sposób ś. p. Adam Jaworski pozostawia po sobie żal szczerzy w szerokich kołach naszego miasta. Był to człowiek wybitnych zdolności, nieposzlakowanej prawości, pracy rozumnej i owocnej, wybitnego charakteru i dobrze zrozumianej obywatelskiej ofiarności. Stratę jego dotkliwie odczują tak koledzy, jak podwładni, a pogrążonej w ciężkiej żałobie rodzinie prezesostwa Taubertów, z których jedyną córką zmarły był żonaty, to ogólne współczucie i uznanie dla nieboszczyka niech będzie choć słabą pociechą w nieszczęściu”.

- Tak się pisze historia! - szepnął czytający.

Odrzucił gazety, zapatrzał się w nurt pod nogami, w życie, migotliwość gładkiej toni i dodał:

- Bo tyle się widzi z życia ludzkiego, co z tej równej wodnej powierzchni, a na dnie każdy bywa tylko sam i milczy.

Ile ludzi mu znanych odczytało te gazety i czy był jeden, który by odczuł co innego jak konwencjonalny żal, w którym była radość życia wobec śmierci, czy choć jeden był na tej mszy żałobnej w innym celu, jak żeby spełnić towarzyski zwyczaj i żeby go widziano, i czy jeden pacierz pogonił za nim za świat.

Przeszedł wszystkich myślą i nie znalazł.

Poszła mu tedy dusza do rodzinnego Tepeńca, do tych dwojga swoich, i porwała go chęć iść do Atmy, i mówić wszystko, i pytać “co dalej?” Widmo Wojdaka nie stało mu już tak strasznie w sumieniu i ciężar fałszu i pustki życia tamtego nie tłoczył go, i przemógł swe wydelikaczone ciało, i zrzucił jak kajdany dobrobyt, stanowisko, bogactwo, a przecie miał wciąż w sobie głuchy niepokój i jakby szukanie jeszcze czegoś więcej, i brak, i uczucie, że coś jeszcze trzeba oddać, coś więcej trzeba czynić.

Wyteżył wzrok w błękit, wyteżył całego ducha, stał się jednym pytaniem, jednym pragnieniem.

Atmo - wskaż - naucz - powiedz! szeptał bez dźwięku, ale całą duszą.

I nagle począł w sobie drzenie i ból, zdławiło go w piersi, w gardle, zapiekło w oczach, i tak w niebo zapatrzony, zapłakał.

Kędyś z tych błękitów, z przestrzeni, kędy jego wola, jego pożądanie duszne rzuciło promień, szło coś potężnego ku niemu, jakaś moc, mądrość i radość - odpowiedź.

Nie zdając sobie sprawy, co to jest, co czuje, co słyszy, wśród łez tych, pierwszych, które wyplakał, począł poruszać ustami jak niemy, któremu cud wrócił słuch, i wreszcie szeptem powiedział:

- “Przyjdź królestwo Twoje”.

I zrozumiał, i ujrzał drogę przed sobą.

Było dobrze po południu, gdy wrócił do mostu. Poszedł do baraku cieśli i zabrał się do gruntownego porządku barłogów i łachmanów, do sprzątania śmieci i brudów, do zszywania i łatania nędznych szmat towarzyszy. Zeszedł mu przy tym czas do wieczora i wtedy poszedł do rzeki, żeby się wykapać i przyodziać.

Mijał barak chorych i tknęło go coś. Zajrzał do środka. Na drewnianych pryczach leżało kilku ludzi i najbliższy, ujrawszy go, zawołał:

- Człowieku Boży! Poratuj!
- Co tobie?
- Porusz mnie na bok i daj pić!

Był to robotnik od balastu z nogą spuchniętą jak kłoda, z gorączką w zapadłych oczach.

- Oj, pić! - zajęczały inne głosy i podniosły się głowy rozczochrane z barłogów.

Było ich pięciu. Dwóch w paroksyzmie febry, jeden prawie umierający z dyzenterii, dwóch ze strasznymi wrzodami. Zaduch panował nie do zniesienia, robactwo roiło się na nich, dobę całą nikt do nich nie zajrzał. Cierpieli z chłopską wytrzymałością i rezygnacją.

Jaworski, jak umiał i mógł, opatrzył rany, przyniósł pragnącym wody, kupił w sklepiku cukru i herbaty, nastawił blaszany samowar i pozostał z nimi do zmierzchu.

Gdy się nieco pokrzepili herbatą, zaczęli rozmawiać o swych nędzach.

W baraku uczyniło się lepiej oddychać, bo po kątach ustawił Jaworski kilka świeżych brzoź, a tok (klepisko) brudny potrząsał piaskiem. Nie dziękowali mu ani zdawali się zwracać na ów świąteczny szczegół uwagi, tylko ten jeden, umierający na dyzenterię, mgławymi oczami na zielone gałęzie patrzył i powoli, ciągnąco, rwano szeptał:

- U nas, w Bereźnicy, na mogiłach takie brzozy, a za mogiłami Lejby cegielnia, a za Lejby cegielnią wygon. W gliniankach Barnaby kobyła się utopiła jesienią.

Jaworski usiadł przy nim na pryczy i poił go herbatą. Pił chciwie.

- Kto ty? - spytał wreszcie.
- Karliński. Z cieślą Własowem robię.

- Bóg ci zapłać za herbatę! U nas w Bereźnicy jest przy kościele, w przytułku ślepa Karlińska. Starucha. Pończochy Żydom robi. Całkiem ślepa. Moja matka ma domek i ogród obok przytułku. Znam wszystkich, co tam żyją. Nam krowa zdechła zimą, to matka mówi: "Idź, Józef, na parę miesięcy do balastu, na kolej, zarobisz na krowę." Ot i nie udało się, drugi tydzień jak już mnie na śmierć wzięło.

- Ot nie dawaj się! Jutro doktor będzie, da ci lekarstwo, wytrzymasz.
- Bardzo już słabo! - szepnął chory.
- A ta ślepa Karlińska rodziny nie ma? - zagadnął po chwili Jaworski.

- Powiedziała matce, że syna jednego miała, gdzieś po świecie. Dawniej to jej czasem nawet jaki grosz przysłał, miała najętą stancję u mieszczanina. Ale musiał umrzeć, bo już pięć lat nic nie przysyła; ksiądz się nad nią zlitował, przyjął do przytułku. Et, nas jeszcze troje młodszych jest, ale tylko ja i matka zarabiamy. Ojciec zmarł już trzy lata temu.

- A gdzie ta wasza Bereźnica?

- To w Wołyńskiej guberni miasteczko, parafia, do kolei daleko.

- A wasza rodzina jak?

- Samoliki nie chłopcy, mieszczenie my!

- A syna Karlińskiej owej nie widzieliście nigdy?

- Skąd? Jej mąż gdzieś komisarzem we dworze służył podobno. Ona w Bereźnicy siostrę miała kiedyś i dworek mały. To ona, owdowiawszy, do tej siostry zjechała. A to potem dworek się spalił i siostra zmarła, a ona tak się została. Syn może i wstydził się takiej matki, może jakim naczelnikiem był, ożenił się gdzieś w mieście! Ona dobra starucha! Oj, daj jeszcze herbaty!

- Szkoda herbaty! - odezwał się drugi chory. - Jak nasz brat, czarnoroboczy, matkę wspomina, to do piasku mu, nie do herbaty!

- Samolik, ty gadaj, gdzie pieniądze masz schowane i komu je odesłać, a to przepadną!

Chory wzdrygnął się, popatrzał wkoło, a potem, zrezygnowany, wydobyl z za koszuli szmatkę na sznurku uwiązaną.

- Pewnie wasza racja. Siedemnaście rubli tu jest. Świadcami bądźcie - Karlińskiemu z Własowa kompanii oddaję. Niech matce do Bereźnicy odeśle. Ale nie gadajcie starszym, bo zabiorą na pogrzeb albo przez naczalstwo pójdzie i nie dojdzie. I tak na krowę nie starczy, ale co poradzisz!

Nie było w nim żalu za życiem ani buntu na śmierć, ani rozpacz, ani niepokoju.

- Nie chciałbyś jeszcze pobyć na świecie? - szepnął Jaworski.

- At, co poradzisz? Mocy nie ma, a tak leżeć, to już obrzydło. Powiadają, że ze mnie nic już nie będzie - musi prawda być!

Było już zupełnie ciemno. Jaworski poszedł do ziemianki, gdzie sklepik był, kupił krup, masła, lampkę, garnek, ugotował kleju i zaniósł do chorych. Ucieszyli się, gdy zapalił lampkę. Samolik jeszcze żył, i zjadł nieco. Wtedy chorzy zaczęli też prosić o jadło - musiał znowu iść do oberży - i tak mu zesła krótka noc. Ale rano Samolik jeszcze żył i prosił o posiłek; chorzy dopominali się opatrunku, herbaty. Pozostał, służąc im, do wieczora, do końca świątecznego spokoju, do powrotu robotników. Gdy odchodził, nie dziękowali mu, tylko jednym głosem nalegali, by jutro wstąpił, a Samolik upominał się o swą szmatkę z pieniędzmi.

- Może ja jeszcze wytrzymam! - rzekł patrząc nań pytająco.

- Wytrzymasz - potwierdził mu ufnie.

Cieśli swych zastał pijanych do bezpamięci i Własow z punktu zaczął mu grubiańsko wymyślać, że w baraku wszystko bez "tołku". [logiki] Takie wrażenie wywarł na nich porządek.

- Gwiżdżą! Czort bierz, że gwiżdżą! - kłął Miszka zbierając się leniwie. - Ty tak gonisz na sygnał, jakbyś naczelnik był. Co tobie tak pilno? Czynu ani orderu, ani podwyżki nie dostaniesz. Robota nie zając, nie ucieknie.

Podczas pauzy obiadowej Jaworski poszedł do chorych. Już był ich felczer odwiedził. Czuli się lepiej, Samolik spał.

Wrócił tedy do swej roboty i odczuł raz pierwszy jakby uciechę - jakby ochotę życia, jakby większą moc w barkach. Wieczorem zajął się gospodarstwem baraku wyręczając Tirsę, który po przepiciu niezdrów się czuł i tylko kłął. A wracała mu ciągle na myśl ślepa starucha w przytułku i gdy się doczekał niedzieli, pojechał do miasteczka na pocztę i wysłał bez listu, bez słowa wieści dziesięć rubli pod jej adresem, a gdy to uczynił, odczuł zadowolenie.

W parę tygodni potem wieczorem, w oberży, ujrzał Samolika.

- Ot, wytrzymałem! Już od wczoraj robię! - pochwalił się. - Chodź, postawię ci wódki!

- Nie trzeba. Nie lubię pić!

- To jakże? Ratował ty mnie jak swojak.

- To rad, że wytrzymałeś i dosyć.

- Ja do matki pisałem nawet o tobie. Nie chodziłbym po świecie, żeby nie ty. Ot, weź choć tytoniu!

Wypalił Jaworski z nim papierosa i rozeszli się. Ale w jakiś czas potem Samolik znowu przyszedł wieczorem do baraku cieśli i wywołał go.

- Czy tobie Adam na imię? - spytał.

- Adam.

- Bo to matka mi pisze, że ślepej Karlińskiej syn przysłał dziesięć rubli, a że ja o tobie pisałem, więc stara nie daje jej spokoju, żeby się dowiedzieć może ty ten syn właśnie.

- Co jej z tego przyjdzie?

- Ot, może się ucieszy nieboractwo!

Jaworski milczał.

- Nu, tobie może nie miło, żeś nie żaden naczelnik, a czarnoroboczy. Ale matce to jedno! Będzie rada z króla i z pastucha, byle żywy.

- Pisz, kiedy chcesz! - odparł odchodząc.

W pół lata cieśle skończyli roboty przy moście i poczęli się zbierać do budowy przy koszarach w Kowlu i Własow zagadnął Jaworskiego:

- Pojdiesz z nami?

On by chętniej został. Nęciła go pustka otoczenia, spokojne kąty nad rzeką, powietrze, natura. Ale zima to wszystko przerwie - roboty się skończą, trzeba będzie iść za chlebem między ludzi.

A Własow, zaniepokojony tym wahaniem, dodał:

- Do zimy zarobisz z nami jeszcze rubli ze czterdzieści. Nie pijesz, nie hulasz, to i wystarczy do wiosny. Podrużyliśmy (z ros. - zaprzyjaźniliśmy) się z tobą, damy zarobić jak swojemu bratu.

A Miszka dodał:

- A zawsze z toporem lepiej jak talerze zmywać! Już ty nie marnuj, coś się nauczyłeś.

- Nie okpił ja ciebie w rachunku ni na kopiejkę - rzekł Własow.

Omówili tedy warunki i kończyli śpiesznie robotę. W przeddzień wyjazdu Samolik przyniósł mu jakiś papier.

- To z domu mnie przysłali, żeby tobie oddać.

Jaworski spojrział. Był to list pisany dość koślawo.

- To zakrystian nasz pisze. Pewnie ślepa twoja matka go uprosiła.

Jaworski list wsunął do kieszeni i wziął się do topora.

- Odchodzicie jutro! - rzekł Samolik. - Ja jeszcze zostanę miesiąc. A jak stara spyta o ciebie, co powiedzieć? Dowiesz się kiedy o niej?

- Pokłoń się, powiedz, że wieść przyślę.

- Matka pisze, że tobie nie zapomni dobra. Już ja zimą będę o twojej starej pamiętać za to!

- Daj wam Boże zdrowie!

Wieczorem, po skończeniu roboty, gdy Własow poszedł do kasy po rachunek i papiery, a cieśle zbierali swe manatki i narzędzia, Jaworski oddalił się nad rzekę i odczytał list:

“Najdroższy synku!

Niech będzie pochwalony Jezus Chrystus i Najświętsza Matka Jego! Miałam wielką radość, że żyjesz, bo już nie spodziewałam się, żeś z tego świata, i jako za zmarłego modliłam się za ciebie, i pilno mi było na tamten świat - do ciebie. Dziękuję ci i błogosławię, żeś o mnie nie zapomniał, a jeśli twoja łaska, to nie przysyłaj mi zapomogi, ale napisz, jak twoje zdrowie i jak ci się powodzi, i jaką pracą się zajmujesz. Choć kilka słów napisz, bo mnie nic nie brakuje - tylko słowa od ciebie. Ja i tak ciągle o tobie myślę, ale jak napiszesz, co porabiasz, gdzie jesteś, jak żyjesz, to mnie będzie, jakbym z tobą była i przy robocie i w mieszkaniu - i wszędzie.

A nie przysyłaj pieniędzy, sobie użyj - miej wygodę, miej przyjemność - mnie tu dobrze, mnie nic nie trzeba, byle od ciebie czasem słowo. Ludzie tu dla mnie łaskawi, a ksiądz Dziekan jak

dobrodziej święty mną się opiekuje - a od tej pory, żeś o mnie pomyślał, to i nie czuję, żeś kaleka ciemna, zda mi się - niebo widzę i słońce.

A jeszcze o jedną łaskę i pozwolenie cię proszę. Te dziesięć rubli, coś mi przysłał, mnie niepotrzebne - to czy nie będziesz się gniewać, że je dam Marcinowej praczce, której spaliły się rzeczy tej wiosny - a u niej pięcioro dzieci i stary ojciec sparaliżowany! Jeśli pozwolisz, to jej powiem: Mój Adaś mi przysłał pieniędzy - pomogę wam!

A już nie będę dłużej ci dokuczać i nudzić, tylko Panu Bogu ciebie polecam i niech on cię ma w swojej opiece i w zdrowiu uchowa, i w pracy da pomyślność. Amen.

Jan Jaszczyński, zakrystian, ten list mi w swej dobroci pisze - a ja ciebie błogosławię i za twą pamięć tobie dziękuję.

Matka twoja

Monika Karlińska”

Jaworski dobył pugilares i długo się wpatrywał w twarz kobiety na starej, wyblakłej fotografii. Wydała mu się znajomą już i pod pierwszym wrażeniem chciał zaraz odpisać. Ale po namyśle list schował, przerachował swe pieniądze i odszukał w barakach Samolika.

- Jak wrócicie do Bereźnicy, to wstąpcie do mojej matki, dajcie jej ode mnie pięć rubli i powiedzcie, że jak się zbiorę na byt pewny, to po nią przyjadę i zabiorę. A z pieniędzmi niech robi, co jej wola. A nie piszę, bom rękę okaleczył, powiedzcie. A jeśliby pytała, gdzie będę, powiedzcie, że do zimy w Kowlu - cieśla przy koszarach, a potem dam znać.

- Byle znowu nie za dziesięć lat, bo nie doczeka, zaśmiał się Samolik.

IX

Zima przyszła dla Jaworskiego w Kowlu.

Z pierwszym śniegiem i mrozem, przerwały się roboty i Własow ze swą kompanią odjechali na wschód, do domu. Pożegnali kolegę, jak umieli najlepiej, propozycją wypitki, obietnicą, że z wiosną, gdzie by nie byli na robocie, dadzą mu znać, przyjmą do spółki.

Odprowadził ich na dworzec, i wracał sam w śnieżną szarugę do miasta.

Mieszkał u rymarza Żyda w małej izdebce, przedzielonej niby ścianką z desek od warsztatu i kuchni gospodarzy. Lokal ten kosztował go trzy ruble miesięcznie i póki dnie były dłuższe i powietrze cieplejsze, wracał zmęczony i zasypiał przy otwartym oknie.

Ale teraz roboty nie było, wieczór się zaczynał wcześniej, na dworze była zima.

Miasto nędzne, marne, senne, miało w sobie nastrój pustki i nudy. Ludzie się snuli jakby przybici, skuleni; jeśli żywsze gdzie było światło w domostwie, jeśli głos i ruch, to był szynk lub traktiernia (jadłodajnia), jeśli ktoś gwizdał lub śpiewał, pewnie był nietrzeźwy.

Jaworski szedł powoli i najdalszymi ulicami, i parę razy domek rymarza minął, zanim zdecydował się wejść.

Majster szył szleję (uprząż dla konia) przy kopającej u sufitu lampce, izba pełna była woni skór, cebuli, brudu ludzkich ciał i gorąca. Masa dzieci, kobiet snuła się i hałaśliwie gadała, w sionce gęgały i suchnęły gęsi.

Jaworski wszedł do swej izdebki, zapalił lampę i wyciągnął się na łóżku.

Na ścianach bielonych, ale pełnych szpar i krzywych wisiały jego narzędzia, parę sztuk odzieży - wszystko co posiadał. W kącie miska gliniana i stara konewka przedstawiała toaletę, pod oknem był kulawy, niegdyś czerwony stół i drewniane krzesło. Trzy szyby w oknie były zaklejone gazetą, czwarta dawała widok na śmietnik podwórza.

Oczy Jaworskiego obeszły to wszystko, potem je przymknął. Zegar stary zaczął chrobotać i wydzwonił ósmą godzinę. Do nocy było daleko - zresztą co znaczy noc dla człowieka, który jutro nie ma co robić.

Leżał tak, zdawało mu się, wieki, aż go ocknęło z rozmyślenia zgrzytanie zegaru; porachował uderzenia - dziewięta.

Zerwał się, zdjął kozuch, bo dławił się gorącem, i znowu siedział, z obwisłymi ramionami, zgarbiony, ze wzrokiem wbitym w ziemię.

I cóż z tego, że ramiona jego mogą i umieją dźwigać ciężary i władać toporem i piłą bez umęczenia dzień cały; co z tego, że znosi grube jadro i wszelką niewygodę jak Miszka; co z tego, jeśli mu został jego duch ze wszystkimi potrzebami, z niemożnością nie myśleć!

Gdy był jeszcze tam, na tamtym świecie, nie brakło mu nigdy towarzystwa, nie przerywała się nigdy praca. Wieczory, noce zimowe spędzał nad książką, nad rachunkami, obmyślając plany i projekty, a praca jego nie miała martwych sezonów.

Teraz był atomem masy robotniczej, kroplą oceanu, jedną parą bezimiennych rąk tłumu, co pracuje lub szaleje.

A szał przyjąć musi. Bezimienne ramiona tworzą olbrzymie dzieła, dostają się do wnętrza ziemi, budują potwory statków, co opanowują oceany, odziewają, karmią ludzkość, zdobywają pustynie, co wyprowadzają na skał szczyty i przeprowadzają przez rzeki i przepaście, muszą czasami mieć odczucia swej mocy i potęgi, i zapomnienie, że nie tworzą, a tylko wykonywają. I wtedy niszczą. A bezimienne masy miewają odpoczynek dla ramion omdlałych, dla rąk okrwawionych narzędziem - i wtedy śpią lub szaleją. Mieszkania ich ciasne, przepelnione dziećmi, chorymi kobietami, kalekami i niedołączonymi starcami, więc uchodzą z nich do szynków.

Fabryka, warsztat, ulica, izba wspólna, szynk. Bezimienne ręce-tytany: bezimienne dusze pierwotne, żywiołowe - taki mają świat.

Ale nie ma potęgi, co by duszę i mózg Adama Jaworskiego powróciła do stanu żywiołowej, dzikiej prostoty instynktu, chyba rozpacz i nuda. Zerwał się nagle, spiesznie naciągnął kozuch i wyszedł.

Na jednej z ulic pamiętał szyld księgarni - znalazł ją jeszcze otwartą.

Właściciel, młody Żyd z oczami ponurymi, ubrany w czarną koszulę jedwabną, rozmawiał po rosyjsku z mężczyzną w wytartym paltocie i rudym filcowym kapeluszu; umilkli na widok wchodzącego.

- Czy mogę dostać u pana książek do czytania, polskich? - spytał Jaworski.

- Nie, polskich nie ma! - odparł Żyd.

- Tylko rosyjskie?

- Są niemieckie, francuskie. - Ruszył ramionami, nie dodając słowy: "nie dla was".

- Proszę o katalog i warunki wypożyczania.

- Rozumie pan obce języki?

- Tak, trochę.

Gdy przeglądał katalog pełen marnych romansów i broszur mało wartych, obcy mężczyzna obejrzał go od czapki do butów i wreszcie rzekł, czysto po polsku:

- Ja mam parę dobrych polskich książek. Mogę pożyczyć, żebyś wiedział komu. Wy tutejszy?

- Nie. Na robocie byłem, przy koszarach.

- Teraz bez zajęcia. Zdun jesteście?

- Cieśla. Z kacapami robiłem.

- Polak?

- Tak. Karliński.

- Ja się nazywam Mateja. Ślusarz, w kolejowych warsztatach robię od paru miesięcy. A wy dawno bez zajęcia?

- Ledwie parę dni.

- Zostaniecie tutaj?

- Nie wiem. Może się co trafi. A nie, pójdę gdzie indziej. Sam jestem, nic nie trzyma. Wieczór się dłużył, chciałem poczytać.

- No, no, rzadki gust u naszego brata, robociarza. I umiecie po niemiecku, po francusku. Mógłby z was zecer być.

- Można się wszystkiego nauczyć jak trzeba.

- Nasz brat, proletariusz, w dobrej szkole jest. Będzie z niego obywatel. Umie głodem mrzeć, umie w rynsztoku spać, bez powietrza oddychać, dwanaście godzin pracować za łachman i psią sprawę. Umie milczeć całe życie i zdechnąć, jak na bruk pójdzie. Nieprawda, panie Iszna, mocny ród!

Wąskie blade usta księgarza skrzywiły się w szydery uśmiech, ale milczał.

- Gdzie mieszkanie? - spytał Mateja.

- U rymarza Minca.

- My mieszkamy we trzech u Abermanowej. Wszyscy swoi Polacy. Chcecie, poznamy się?

- Służę, z miłą chęcią.

Poszli razem, ale w mieszkaniu nie zastali towarzyszy.

- Powlekli się do knajpy pewnie! - rzekł Mateja. - Janowski w bilard majster, a Kubik bez dziewcząt żyć nie może, ale przyjdą. Wypijemy tymczasem herbaty.

Izba była niechlujna, posłania brudne, na ścianach odzież, wielkowiejska tandeta, lusterko, fotografie; znać było pewien gust elegancji.

Pod oknem na stoliku leżało trochę książek i gazet, obejrzał je Jaworski; były to świstki socjalistyczno-robotnicze, broszury czerwone.

Usiadł tedy na krześle i rzekł do krzątającego się przy piecu Matei:

- Dobry zarobek w warsztatach?

- At, do pięćdziesięciu rubli dociągnąć można, ale ciężko. Na fabrykach prywatnych swobodniej, tu aż się roi od szpiegów i naród zbierany, nie ma z kim gadać, robota nie idzie!

- Propaganda?

- Juści! Zaczynać trzeba od prywatnych zakładów.
- Wy z partii?
- A wy?
- Ja nie!
- Czemu? Dobrze wam tak?
- Nie zazdroszczę bogaczom.
- A cudzy głód i nędza was nie obchodzi?
- A wam zda się sytością i spokojem pełny brzuch i kieszeń?
- Spróbuję, to wam odpowiem! - zaśmiał się Mateja. - A wy gadacie jak burżuj.

Postawił na stole herbatę i zakąskę, i spojrzał podejrzliwie na gościa.

Jaworski zdjął kozuch. Koszulę miał na sobie perkalową, zblakłą, przepoconą; na wzrok Matei wyciągnął ramiona i pokazał mu swe dłonie twarde jak podeszwy, mozoły, szramy skaleczeń, pościerane paznokcie.

Potem sięgnął w zanadrze i pokazał swe świadectwo robót u mostu i niezdarnie pisany atestat Własowa.

- Anim burżuj, ani szpicel jestem. Robotnik jak i wy, niższy, prosty cieśla. Pracował całe lato u majstra, dostawałem sześćdziesiąt kopiejek i strawę.

- A przedtem?
- Przedtem, kiedyś byłem służącym u bogacza. Dlatego im nie zazdroszczę.
- A byliście kiedy bez roboty kilka miesięcy?
- Nie.
- A leżeliście w szpitalu?
- Nie.
- A rodzinę macie?
- Nie.
- To nie znacie jeszcze naszej robotniczej doli, jak poznacie, spotkamy się w partii!
- A przecie im gorzej! - rzekł zamyślony Jaworski.
- Ej, żeby było gorzej, nie upieraliby się na miejscu, nie czekali by, aż im gardło poderzną albo grube brzuchy poporą! A ot, i towarzysze!

Weszło dwóch robotników, jeden starszy - szczupły, patrzący spode łba przebiegłymi oczami, drugi młody chłop - zbudowany z grubych kości, o twarzy zuchwałej i cynicznej.

Mateja przedstawił gościa, Jankowski go obejrzał niechętnie, Kubik rzekł z grubym śmiechem:

- Miałem przecucie, że będzie piwo w domu!

Jaworski zrozumiał i wyjął rubla.

Po chwili na stole znalazła się wódka, piwo i kiełbasa. Zaczęli pić, palić papierosy i mówić. Mateja, snadź najokrzeszańszy, prawił o socjalnych przewrotach, sypiąc zasłyszanyymi, po wiecach pochwytanymi z broszur cytatai i frazesami.

- Jankowski łyskał zajadle oczami, spluwał i świstał przez zęby, jak żmija. Mówił mało, z nienawiścią i szyderstwem. Kubik podpił i drwił ze wszystkiego lub opowiadał cyniczne anegdoty o kobietach. Godzili się na jedno, że zarobek marny, praca ciężka i nienawistna - i zwalić trzeba cały świata porządek.

Gdy Jaworski wrócił do siebie o jedenastej, zastał swego gospodarza jeszcze skulonego nad robotą. Wszyscy zresztą spali, nie było kąta, gdzie by nie leżało ciało ludzkie, słyhać było kaszel, świszczące oddechy, stękania. Żyd rymarz pod wiszącą lampką zeszywał stare uzdy.

- Późno już, panie Lejba! - rzekł Jaworski.

Rymarz podniósł oczy jakby zbudzony ze snu.

- Och, wyśpię się w szabas! Jutro przyślą po robotę ze dworu i zapłacą. Trzeba skończyć.

- Ciężko pracujecie?

- Nie, chwała Bogu, jak dużo roboty.

- Może wam pomóc? I mnie się spać nie chce.

- Albo to umiecie rzemiosło?

- Chyba uzdę zeszyć potrafię.

Usiadł na miejscu młodego Icka, syna gospodarza, i wziął się do rozpoczętej przezeń roboty.

Nie była trudna i wydała mu się przyjemnością w porównaniu do wieczora spędzonego ze ślusarzami.

Pracowali w milczeniu, aż wreszcie Żyd się odezwał:

- Wy to pewnie nie z prostych?

- Jak to? Cieśla jestem.

- Nu, ja wiem, ale z delikatniejszych ludzi.

- Dlaczego tak wam się zdaje?

- Ze wszystkiego. Wy nie cham. Już trzeci miesiąc jesteście, ani razu pijani nie wrócili, ani grubego słowa nie rzekli. Wy nie tutejszy?

- Nie, za robotą chodzę. Znajomości nie mam, to i kompanii nie ma. A teraz jak zima nastala, a roboty nie ma, to i sam nie wiem, co z czasem począc.

- A rodziny u was nie ma?

- Nie.

- Myślicie tu zimować?
- Sam nie wiem. Żeby jaka robota!
- Dla cieślarzy teraz głodny czas.
- Wasze lepsze rzemiosło.

Lejba głową pokiwał.

- Ot, Bogu dzięki, że własny dom. Ale zdrowia już mało. Syn do Ameryki jedzie, trzeba pożyczyć sto rubli na drogę. Dziewczynę trzeba za mąż oddać, troje się uczy, dwoje maleńkich. Jest, chwała Bogu, familia! Rzemiosło, wiadomo, czasem ciągle robota, czasem trzeba jej szukać. Żona kramik ma, Ryfka szyje, at!

- Nie skarżycie się?

- A co to pomoże skarżyć się, a komu? Jakie to na to naczelstwo, gdzie mirowy (z ros. światowy) sąd? Pan Bóg powiedział: ty, Lejba Minc, rymarzem będziesz, ot tobie dwie ręce i głowa, ot tobie dom i ogród, ot tobie żona i dzieci, ty tego patrz, pilnuj, a mnie głowy nie zwracaj, mam ja was dosyć, pełne ziemie! Nu, to jak na mnie choroba, pożar czy inne biedę, to ja wtedy gwałt, do Pan Bóg, ale jak żaden taki zły interes, to mam siedzieć cicho. Czy ja nie mam recht (niem. racja)?

- Żeby taki rozum wszyscy mieli!

- Ot, ja wiem, że wy z delikatne familie, to zrozumiecie. Taki cham to ma wielkie gardło do wódki i do łajania, a głowę to ma tylko, żeby na niej czapkę powiesić. A wy myślicie, skąd ja delikatny rozum mam, bo ja też z wielkie familie. Mój dziad rabin był, cudotwórca, mój ojciec też rabin, co do niego o sto mil jeździli. Pinkus Birman milioner, a ja bym mojej Ryfki za jego syna nie dał, ja dla niej szukam uczonego! A ja choć tylko rymarz, do Pinkusa Birman po rozum nie chodzę.

- Młodzi wasi już inni!

- Młodzi głupi! Zakonu (ros. prawo) nie patrzą, zdaje się im, co nowego wymyślą, czymś wielkim będą. Wy się dowiecie? Ja myślę, że choć wy i niestary, to taki czas był, żeście starych rzemieni nie łatali, a za nowe drogo płacili.

- Ale teraz latać potrafie! - uśmiechnął się Jaworski pokazując mu robotę.

Lejba pokręcił głową.

- Mój Icek, jak zaczynał się uczyć, to i po miesiącu tak nie potrafił.

- To idźcie spać, panie Lejba! Ja te dwie uzdy skończę sam dla was.

- Nu, kiedy panu to zabawa! - rzekł Żyd wstając z trudnością ze stołka.

Jeszcze długo w noc świeciła lampka, bo ciężko szła robota nowicjuszowi. Gdy skończył i zgasił światło, odeszła go nuda i zniechęcenie, i zasnął twardo, a nazajutrz z całym zajęciem przyglądał się pracującym, a wieczorem zasiadł znowu na stołku Icka, tym razem obszywając

fartuch do powozu. I weszło to w zwyczaj. Krótkie dni spędzał nad książką lub łątał swą odzież, a nawet próbował szewstwa, wieczorami siedzieli z Lejbą przy warsztacie pochyleni nad robotą, milczący.

Tak go zastał pewnego dnia Kubik ślusarz.

- A wy tu co? Terminujecie u Żyda na rymarza?

- Nie ma roboty. Nudno!

- To chodźcie do nas! Zagramy w karty.

- Nie umiem.

- To się nauczycie, zapłaciwszy frycowe!

- Wolę tedy bez frycowego skóry zeszywać.

- To pójźcie do Szyfmanowej, są świeże dziewczęta, muzyka, piwo!

- Nie ma do tego ochoty.

- Co z was za kolega? Chce wam się tu w tym żydowskim zaduchu siedzieć?

- My wszyscy przecie roboczy naród.

- Ale, akurat właśnie - urągliwie zaśmiał się Kubik. - Przez żydowskie partolstwo nasz brat chleba nie ma.

Lejba głowę podniósł, spojrzął nań, ale milczał.

- Przecie wy bez chleba nie jesteście.

- Człowiek nie tylko o sobie mówi.

- A Żydów to głodnych i w nędzy nie ma?

- Cholera na nich! Co mnie do nich?

- Ja nie partyjnik, to mnie każdy robotnik brat.

- Winszuję. Lokajem u mechesa pewnie byliście!

- A wy, jak niesiecie pieniądze do Szyfmanowej na dziewczki i piwo, nie pracujecie to dla niej na kamienice?

- Możecie też u jakiego klechy lokajowali! Bywajcie zdrowi! Nie będzie z nas kompanii!

Wyszedł trzasnąwszy drzwiami.

Po długim milczeniu rzekł Lejba:

- Szkoda, że Icek nie słyszał. On do takich chodzi, ale oni jemu inaczej gadają. Ja jego umyślnie do Ameryki wysyłam. Tutaj to niby ma do równości dojść, a to taka równość, że najprzód odbiorą bogatym, a jak sami staną się bogaci, to wyduszą wszystkich słabszych, nu i będzie ten sam sztuk, na inny manier. Te ślusarze to czyste rozbójniki, ich całe miasto się lęka. Już raz jak się popili, zapalili miasto.

W parę dni potem, w niedzielę, spotkał znowu Jaworski Kubika w sklepie, gdzie wstąpił po tytoń.

Ślusarz podпиты był, ale nie pamiętny złego rozstania, zaczepił go uprzejmie i zaprosił do kwatery. Po drodze rzekł ze śmiechem:

- Już mi nie dziw, że tak świadczycie Żydowi, jakem zobaczył dziewczynę.
- Jaką dziewczynę?
- Ano, jego córkę. I ja bym chomąta łatał.
- Taka ma być ładna? Która? Tam tych dziewcząt pełno. Nie uważałem.
- Po co mi zawracacie gitarę? A co będzie, jak ją wam odbiję?

Jaworski ruszył ramionami.

- Braknie wam dziewczek u Szyfmanowej?
- MOżecie wy sobie na co lepszego pozwolić, mogę i ja.
- Ni sobie pozwalam, ni zabraniam. Kobieta mi czy to drzewo - jedno.
- Więc mi nie bronicie waszej rymarzówny?
- Broniłbym każdego słabszego przed krzywdą silniejszego, to nasze robocze prawo, ale myślę, że tak mówicie, byle mówić.
- No, pewnie! - roześmiał się Kubik.

W kwaterze nie zastali towarzyszy. Ślusarz pociągnął go do traktierni, gdzie zastali dużo kolejowych majstrów i robotników. Mateja przywitał uprzejmie Jaworskiego i zapoznał go z jakimś starszym, który mu obiecał protekcję w dostaniu roboty ciesielskiej, przy warsztatach.

Była to pomyślna nadzieja; postawił piwa kompanii przez wdzięczność - i sam pić musiał. Wrócił do domu z ciężką głową i nieznośną nudą, i mimo woli spojrział raz pierwszy na córkę Lejby.

Rzeczywiście piękna była i aż wierzyć się nie chciało, że tak piękny, wybijały kwiat wyrosnąć mógł w tej dusznej izbie.

Gdy się tak wpatrywał w nią zamyślony, podniosła nań oczy i w milczeniu uśmiechnęła się. Tedy rzekł: "Dobry wieczór!" i cofnął się do swej izdebki z uczuciem dziwnym: niezadowolenia i pewności, że dziewczynie się podobał.

Nazajutrz wyszedł wcześniej, na kolej, szukać roboty i dostał zajęcie na dni parę, w zastępstwie chorego cieśli.

Przerwało się tedy rymarstwo i tydzień upłynął, że wcale z Lejbą nie rozmawiał.

Pewnego wieczora, wracając do domu, spotkał Kubika. Szedł z rękami w kieszeniach i czapką na tyle głowy, gwiżdżąc.

- Pójdziemy razem! - rzekł.

- Ja idę co zjeść.

- A ja do Ryfki. Poczekam na was.

Jakoż zastał go Jaworski w rozmowie z piękną szwaczką. Umawiał się o szycie koszul, obiecując dużo roboty od kolegów. Cała rodzina widocznie cieszyła się spodziewanym zarobkiem, tylko stary Lejba, skulony na swym stołku, nie odrywał oczu i rąk od roboty.

Jaworski zmęczony wyciągnął się na swym pościeli myśląc, że Kubik do niego wstąpi, ale po dłuższym oczekiwaniu wyszedł do izby.

Rymarz szył, rodzina już spała, spytał, gdzie się podział ślusarz.

- Do kramu poszli z Ryfką, po perkal.

- To puszczacie dziewczynę samą, z obcym.

- Ona rzetelność zna! - odparł stary. - Ona sobie szyciem posag zbiera, to jej interes.

Dziewczyna wróciła w dobrą godzinę, obładowana perkalem, uszczęśliwiona z roboty. Oczy jej spoczęły znowu na Jaworskim długo, przejmująco; gdy zamykała drzwi od kuchni, jeszcze się obejrzała.

W parę dni potem przemówiła do niego raz pierwszy.

Siedział u siebie przy lampce i zeszywał niezdarnie roboczą bluzę, nie uważając, że Ryfka stała w progu.

- Może mi pan pożyczy trochę nafty, ja jutro oddam, dziś już kramy zamknięte - ozwała się.

- Proszę! - odparł podając blaszankę.

- Trzeba odmierzyć.

- Ot, głupstwo takie!

Odniosła po chwili blaszankę, zatrzymała się.

- Ja panu lepiej zaszyję. Proszę dać!

- Ma panna Ryfka dosyć tego szycia.

- Och, ja panu z ochotą zrobię. To nie pańska robota! A pan tatce pomaga.

Wzięła bluzę i zniknęła w kuchni.

Tak się zaczęła znajomość. Odtąd co dzień zamieniali parę słów i śmieiej patrzyła mu w oczy. Kubik przychodził co parę dni. Czasem pytał o robotę, czasem zasiadał u Jaworskiego z harmonią, przynosił dziewczynie cukierki, prawil jej komplementy i grube dwuznaczniki.

Nareszcie pewnego wieczora zrobił się skandal. Ślusarz przyszedł podpity i zuchwały bardzo późno, gdy cała rodzina już spała.

Jaworskiego zbudził zgiełk, przewracanie sprzętów i wrzask nieludzki całej gromady Żydów.

Zerwał się myśląc, że pożar. Ale w domu było ciemno, tylko wrzało od szamotania i krzyku. Gdy zapalił światło, ujrzał w kuchni kłęb ludzkich ciał w pół nagi i poznał Kubika z Ryfką w objęciach. Ale dziewczyna go gryzła i drapała rozjuszona jak pantera, a on już z nią walczył, rozwścieczony, opędzając się przy tym gromadzie dzieci i starszych.

Jaworski na ten widok porwał wiadro z wodą i lunął w największą gęstwę, a potem uchwycił Kubika za kołnierz surduta i odciągnął na bok. Ślusarz był okrwawiony od zębów i pazurów dziewczyny, ona sina, bez tchu i głosu, wszyscy przez chwilę oszołomieni wodą, rzucili się na napastnika.

Ale ten odrzucił ich kopnięciem nogi, zdzielił pięścią i wypadł do izby, wsień, na ulicę w chwili, gdy z dala rozlegał się gwizd policjanta.

Zbiegli się też sąsiedzi, uczynił się tumult i reszta nocy zeszła na spisywaniu protokołu. Gdy wezwano do sprawozdania Jaworskiego, opowiedział krótko, że zbudzony wrzawą zastał w izbie człowieka, pijanego widocznie, który umknął. Czy znał tego człowieka? Nie uważał, bo lampka był mała, a on zaspany.

Ale na to Żydzi, rozjuszeni, podnieśli protest, nawet stary Lejba: "To był ślusarz, ten ryży, co go lokator zna, co często u niego bywał!" Spytany o nazwisko tego znajomego Jaworski musiał je powiedzieć, ale gdy wreszcie policja odeszła, rzekł do gospodarza:

- Nierozumnieście, panie Lejba, zrobili! Pijak, awanturnik się wykręci, a ze ślusarzami nie warto zadzierać.

Ale Lejba wyszedł ze spokoju i flegmy.

- To jemu można napadać po nocy, bić, tyle trwogi i gwałtu narobić, i mamy cierpieć? Nie wykręci się on. Pójdzie do turmy (z ros. więzienia), karę zapłaci za pobite sprzęty. Ja nie daruję! Żeby nie pan, to on by Ryfkę zadusił. Ona i tak odchoruje, ona wyda dużo pieniędzy na kurację!

Rozpoczęło się tedy śledztwo i sprawa.

Gdy raz pierwszy spotkał się Jaworski w urzędzie z Kubikiem, aż się wzdrygnął na wyraz jego oczu.

Dotąd miał go za rozpustnego, wesołego chłopca, a teraz ujrzał przed sobą dziką, złą bestię.

Ślady zębów i paznokci Ryfki miał na twarzy, w oczach mściwość i zuchwalstwo. Nie przeczył ani się tłumaczył, najbezzelniej się przyznawał.

- Ano co? Poszedłem do dziewczki. Anim kradł, ani zamki łamał. Żeby nie ten - plunął w stronę Jaworskiego - toby wszystko cicho było. Nu, wydałeś mnie, poczekaj, popamiętasz. Jeszcze my się porachujemy, cholero!

Powstrzymany groźbą urzędnika ścichł, ale jeszcze straszniejsze było to milczenie i wychodząc z urzędu Jaworski odczuł, że ma nieprzejednanego wroga, a w parę dni potem, że nie tego jednego.

Bez żadnej racji wymówiono mu robotę w warsztatach, spotkani ślusarze ciskali mu przezwiska i wymysły. Mateja i Jankowski przestali się witać, a wreszcie pewnego wieczora otrzymał odezwę bez podpisu, rozkaz stawienia się na sąd partyjny.

W pierwszej chwili, pod wpływem oburzenia, papier zmiął, wyrzucił, z mocnym postanowieniem pozostawienia bez skutku, ale po namyśle zdecydował się pójść. I nazajutrz o oznaczonej godzinie wieczorem stanął się w mieszkaniu Matei.

Zastał tam zebranych dziesięciu ślusarzy, zajętych jedzeniem i pićciem, z których żaden go nie przywitał.

Zwrócił się po chwili czekania do Matei:

- Od was miałem wezwanie?

- Tak.

- Mówiłem wam, że do żadnej partii nie należę, do posłuszeństwa nie jestem zobowiązany, ale oto jestem. Czego chcecie? Jaki ma być sąd? Za co?

- Dowiesz się. Możesz poczekać!

Zakipiało w nim rozdrażnienie, ale się przemógł i usiadłszy na stołku, czekał.

Po chwili zjawił się księgarz Iszna, poszeptali ze sobą i Mateja rzekł:

- Kubika wzięli do więzienia z powodu twojej denuncjacji. Grożą mu aresztanckie roty. Ma żonę i dwoje dzieci bez środków do życia.

Gdy Jaworski milczał, podniósł głos:

- Słyszałeś? Oskarżam cię. Co masz na swoje usprawiedliwienie? Sędziowie słuchają!

- Wcale się usprawiedliwiać nie myślę, bo Kubik siedzi w więzieniu nie na skutek moich zeznań, ale za napaść i gwałt. Poznał go Lejba Minc i jego rodzina, zresztą on sam do czynu się przyznał. Zresztą żaden uczciwy robotnik nie może go pochwalić za pijaństwo, rozbój i krzywdę, tym bardziej, że napadł na równych sobie, w niczym mu nie winnych robotników. Rodzina jego została w nędzy, ale Lejba Minc ma okaleczoną rękę, pracować czas jakiś nie będzie mógł, dziecko jedno ze strachu dostało konwulsyj, a dziewczyna leży i gorączkuje. Kto im wynagrodzi, kto ich będzie leczyć i karmić? To niech też ten sąd zdecyduje!

- To nie twoja sprawa. Lejba Minc może nas skarżyć. Ty siebie pilnuj!

- Przed czym?

- Przed naszą karą.

- Za co? Więc pochwalacie czyn Kubika?

- On już cierpi.

- A co miałem robić, zbudzony tym skandalem? Dopuścić do kryminału?

- Równe prawo Kubika do kobiety, jak twoje.

- Ja też mu tych praw nie zaprzeczałem, tylko ona, i wydały go nie moja denuncjacja, ale ślady jej zębów i paznokci.

- Dosyć! - krzyknął jeden z ślusarzy. - Pysk stul i czekaj wyroku!

Jaworski wzdrygnął się, zerwał ze stołka, ale się pohamował, zaciął zęby.

“Sąd” skupił się u stołu, poczęli szeptać.

Księgarz widocznie był osobą decydującą, bo zwracali się często do niego; on milczał, w końcu rzucił parę słów, tamci potwierdzili i Mateja zabrał głos:

- Jako karę za wydanie władzy towarzysza zapłacisz partii, na rzecz rodziny uwięzionego, dwadzieścia pięć rubli.

- A jeśli nie zapłacę?

- To dostaniesz kulą w łeb!

Rewolwer błysnął w rękach Matei.

- Nie zapłacę! - rzekł spokojnie.

Wstał i patrzył im w oczy. Strzał nie padł.

- Nie zapłacę! - powtórzył powoli, dobitnie. - Wyrok wasz jest wprost bezsenssem i absurdem, a kara za niespełnienie go gwałtem. Jeśli w ten sposób macie zmieniać świata ład i prawo, to biada tym, co wam uwierzą. Nie moc ramion i pięści wyzwoli ubogich i słabych. Spełniajcie waszą groźbę; nie żałujący tego życia - padnę, ale żałujący głupoty waszej, że wam się zda, że mnie zabijecie tą kulą! Mnie nie zabije nic!

- Tydzień masz wolny do namysłu. Jeśli sądu nie usłuchasz po tygodniu, czekaj co chwila śmierci.

Jaworski się roześmiał i wyszedł.

Lejba przekonał się, że niepotrzebnie dał się porwać oburzeniu. Nie otrzymał żadnej satysfakcji ani odszkodowania, tylko w kilka dni potem ciemnym wieczorem ktoś wytłukł szyby w domu i podrzucono papier, grożąc podpaleniem.

Rodzina żyła w ciągłej grozie i strachu, bo i słuchy się rozeszły, że Kubik umknął z więzienia. Stary siedział beczynnym z powodu zranionej ręki, do chorych trzeba było sprowadzać doktora; przez szyby, połatane byle jak, chłód i wilgoć się cisnęła. Ryfkę trzeba było cichaczem po nocy wysłać do krewnych na wieś.

- Jaworski, obrachowawszy swe pieniądze, zapłacił z góry za swój lokal do wiosny; z tego żyli, a on z Ickiem siedzieli pilnie u warsztatu.

Tydzień minął, dwa, i trzy - ślusarze nie spełnili dotąd groźby. Czasami, gdy tak siedział przed oknem, pod lampą, podnosił oczy i patrząc w ciemność na dworze myślał, że tam za ścianą już ktoś mierzy, i był rad, że nie uczuwa strachu, a zarazem czuł smutek, że odejdzie od życia jakby nie gotów, jakby czegoś nie spełniwszy.

To znowu porywała go chęć odejścia, szukania tego czegoś, przyśpieszenia swej drogi, spełnienia większego czynu, ale gdy się rozejrzył po tej nędzy i biedzie domowej, brał w cugle myśl, schylał się nad robotą, zostawał.

A czas biegł. Nastaly mrozy adwentowe, zbliżały się Święta i przyszedł wreszcie.

Jaworski może by i nie wiedział o nich, ale pewnego dnia listonosz wszedł do izby i spytał, czy tu mieszka Adam Karliński, cieśla.

- Jest tu do takiego list, za dopłatą czternastu kopiejek, i posyłka.

Jaworski zapłacił, podpisał odbiór. W posyłce znalazł wełniany szalik, rękawice i skarpetki, a list tak brzmiał:

“Najdroższy, jedyny mój synku, pozdrawiam Ciebie Świętym Bożym Narodzeniem, żeby Cię Pan Jezus w zdrowiu i dobrej myśli uchował. Posyłam Ci też opłatek, com go przełamała, i sobie połowę zachowałam do wigilijnej wieczerzy. Wszystkie moje myślenia przy Tobie i wszystkie moje pacierze za Ciebie i chyba do Boga dojdą, i odwrócą od Ciebie ciężkość i smutek, i niemoc. A zrobiłam dla Ciebie rękawice i szalik, i skarpetki, bo Tobie, nieboraku, pewnie bywa bardzo zimno na te mrozy, przy robocie. Tak sobie myślę, czy Ci kto nagrzej stawy wieczorem i czy w południe co ciepłego zjesz, i czy bieliznę masz czystą i całą, choćby na te Święta, co nadchodzą. Z Bożej woli świat mi ciemny, ale Ciebie tak widzę ciągle i zawsze, i tak z tobą mówię, jakbyś tu był.

A do jednej troski, to ci się przyznać muszę, choć i wyśmiejesz głupią, starą! Sen miałam onegdaj, że jakby jakaś kobieta do mnie przysła i przynosi mi do prania koszulę Twoją skrwawioną. Złęłam się, a ona się uśmiecha, mówi: “Patrzcie, Matko.” Zaczęłam prać, a tu z tej krwi złoto się robi, złote kwiaty, jak na ornatach bywają. Zdziwiłam się, patrzę na kobietę, a ona się uśmiecha i tak się obudziłam.

Może Ty, dziecko jedyne, jaką biedę masz, może Ciebie wypadek przy robocie spotkał, możeś Ty chory, okaleczony.

Błagam ja Ciebie, napisz mi, jako Ci jest, a nie lękaj się, bo sen wróży, że złe w dobre się obróci. Ja zdrowa jestem i Samolikowie z Twojej racji bardzo dla mnie są dobrzy, i za wszystko Panu Bogu dziękuję, boś Ty żywy i cały.

Kochająca Ciebie

całą duszą matka

Monika Karlińska”.

Długo, długo patrzył na litery Jaworski, na kęs opłatka, oczy mu zachodziły łzami wzruszenia. Potem się porwał, skoczył do sklepu po papier i kopertę, i siadł pisać:

“Kochana Matko!

Donoszę Wam, że list i przesyłkę otrzymałem, i ręce Wasze za pamięć i słowo całuję. Jestem zdrow i zimuję tutaj w Kowlu, bo mam robotę. Ale z wiosną postaram się o stałą jaką pracę, bo chcę Was zabrać do siebie, żebyśmy razem byli. Zaraz Wam napiszę, gdzie będę i jak mi się powodzi, a teraz posyłam Wam opłatek od siebie i polecam się Waszym pacierzom, i o błogosławieństwo proszę.

Kochający Wasz syn

Adam”

Gdy skończył, wziął na siebie kożuch i wyszedł, by rzucić do skrzynki, bo do Świąt było już tylko trzy dni i pragnął, by ciemna staruszka otrzymała go w wieczór wigilijny.

Noc już była, mroźna, ale chmurna, nie zauważył dwóch ciemnych postaci, które oderwały się z za węgła domu i szły za nim. Spostrzegł je dopiero, gdy stanął u pocztowej skrzynki. Zrozumiał, że szli za nim i po niego, i nawet w jednym z nich poznał ślusarza Jankowskiego.

Przez sekundę chciał iść dalej, uniknąć ich, ale wtem przypomniał Wojdaka, ostatnią scenę w Zbylczycach i odczuł, że wtedy on był takimże katem niesłusznego prawa jak ci, co tam stali. Wojdak się nie zawahał i on musi do nich iść.

Poszedł, znaleźli się o krok od siebie.

- Mamy cię, hyclu! - warknął Jankowski.

- Płać! - dodał drugi wyjmując rewolwer.

- Puścimy cię żywcem, jeśli zapłacisz.

- Nie. Powiedziałem.

- To dasz i pieniądze, i skórę.

Jankowski rzucił się na niego, ale wtedy w Jaworskim zawrzało oburzenie i uderzył go pięścią. Zaczęli się zmagać, dławić. Wtedy drugi strzelił, ale zamiast w głowę, trafił w bok. Jaworski się zachwiał, zajęczał z bólu, otrzymał uderzenie kolbą w głowę, zwałił się w śnieg i już więcej nic nie wiedział. Dwaj żołnierze znaleźli go w kałuży krwi i dali znać policjantowi. We trzech złożyli go na sanki dorożkarskie i odwieźli do szpitala. Ocucił się przy doktorskim opatunku, ale tydzień minął, nim wrócił do przytomności i zrozumiał, gdzie jest i co się z nim dzieje.

Zaraz też musiał składać zeznania o wypadku. Opowiedział, że napastników ani znał, ani widział. Uderzony w głowę upadł tracąc przytomność, na nikogo nie miał podejrzeń, do nikogo

pretensji. Może pijani byli, może go wzięli za innego. Gdy mu oddano pugilares, nie wyznał nawet, że mu zeń wzięto dwadzieścia pięć rubli - zaświadczył, że wszystko w całości.

Zmęczyło go to śledztwo, ale ledwie żywy czuł w sobie taką dziwną lekkość i spokój, że myślał, że chyba umiera. Oczy jego rozjaśnione oglądały nagie ściany sali, obejmowały twarze sąsiadów, szły przez brudne szyby okienne w szare, zimowe niebo. Zatrzymał wreszcie wzrok na posługaczu, który zamiatał podłogę i stanął przypatrując mu się. I począł się do tego obcego uśmiechać.

- No, coś taki rad? - tamten się odezwał.

Dźwięk głosu wstrząsnął chorym. Zwróciły się ku niemu oczy sąsiadów, jedna obojętna, inna ciekawa lub niespokojna.

- Czego się śmiejesz? Będiesz znowu śpiewać? - ciągnął dalej posługacz.

- Śpiewaj! - rzekł sąsiad najbliższy.

- Ja nie umiem, nie śpiewam! - wyszeptał.

- A toć tamte dni i noce ciągle śpiewałeś kolędy. Organistą byłeś gdzie? - zaśmiał się posługacz.

- Nie śmiem śpiewać. Ja cieśla! Nie pamiętam, żebym śpiewał. Czy ja umrę?

- Wylizesz się już chyba. Aleś w gorączce był ten cały czas i śpiewałeś.

- To już po Świętach?

- Kiedy! Już drugi tydzień leżysz. Żyd tu jakiś o ciebie pytał.

Może tam znowu jaka bieda u Lejby? - pomyślał troskliwie, przymykając oczy, zapadając w odrętwienie wyczerpania.

Zaczęły się powolne, ciężkie dni i noce szpitalne, cierpienia, gorączka, słabość, nuda. Nie bardzo się kto o chorych troszczył, szczególnie na tej sali, bezpłatnej, ogólnej, sali ubogich. Doktor oglądał ich pobieżnie, dawał dyspozycję, opatrywał rany felczer, dozorowali najemni, obojętni posługacze. Ale twarde życie i odporne natury mieli ci chłopci, robotnicy, włóczęgi, nędzarze zalegający salę. W nocy czasem zrywały się jęki i stękania, w dzień silniejsi klęli, słabsi cierpieli, znosili biernie, zdrowsi zabawiali się i śmiali.

Obok Jaworskiego z jednej strony dogorywał stary pijak, włóczęga, któremu odjęto wyżej kolana zgangrenowaną nogę. Był tak już słaby, że tylko bezustannie jakby skamlał, na jęk nawet nie mając mocy. Oczy miał zamknięte, ginące w jamach śmiertelnej maski, cerę szarą, z rzadka odruch już prawie bezwiedny rąk.

Gdy cichł, posługacz go dotykał, próbując, czy żyje, i odchodził ruszając ramionami. "Ot, twarde życie!" mruczał obojętnie.

Z drugiej strony Jaworskiego leżał średnich lat człowiek wycieńczony przewlekłym cierpieniem brzuszny. Przechodził operację, poprawiał się bardzo wolno. Ten pierwszy zagadał po polsku:

- Wy pewnie do tej przekłetej nory także przyszlście po zarobek i ot - rzekł.

- Robiłem przy koszarach, cieśla.

- Z Warszawy?

- Nie. Sam jestem. Chodzę, od roboty do roboty.

- Ja stolarz, z Warszawy. Namówili, że tu spod hebla złoto, nie wióry iść będą. Robiłem i ja przy tych koszarach, myślałem, że do wiosny wytrzymam, do domu przyniosę najmniej setkę. Bolało, piekło, nic jeść nie było można, głupstwo, mówię sobie, mniej wydasz na wikt, ale nie smaruj maszyny, stanie, ot i stanęła. Cztery tygodnie, jak tu sobie wypoczywam. Was też te zbóje, rozkoły, galanto urządziły.

- Będę miał na cały karnawał! - uśmiechnął się Jaworski. - Rodzinę macie?

- Sztuk dziewięć. Siostra wdowa z dziećmi, sieroty po bracie. Całe szczęście, że nie ma własnych baków i że żona uciekła. Siostra zuch baba, i pierze, i posługuje, i służące stręczy, i kabałę kładzie, i krzesła wyplata, i zęby zamawia, i całą dzieciarnię musztruje. Czas na wszystko znajdzie. Mieszkamy na Tamce, trzy stancje, na dole, w oficynie, bo to jeszcze i lokatorów-kawalerów mamy. Znacie Warszawę?

- Znam.

- Kochane miasteczko, swoje! - stęknął.

- To wy pracujecie dla sierót braterskich i siostrzanych?

- A cóż. Ordynacji [majątku ziemskiego] nie odziedziczyli, choć wysoko nosa brat darł, ile że blacharzem był, póki na bruk nie spadł. A szwagier, Marceli mąż, choć się Potocki nazywał, ale zapomnieli mu do kołyski włożyć hrabiowskiego tytułu i pałacu, i musi buty szyć, jak dorósł. Tylko arystokratyczne zdrowie miał i precz kaszlał w suterenie. Do Włoch, pod Warszawę też się wciąż wybierał, ale omylił się na rogu ulicy i zaszedł na Bródno. A dzieci to sznurkiem przywędrowały do mnie na Tamkę, nie zmyliły drogi, huncwoty! Bratowa żyje, ale znalazła sobie drugiego męża i aż do Odessy z nim wyjechała. Nawet chciała dwoje dzieci zabrać, ale jak zaczęła przemyśliwać które, to wszystkie się pochowały, ledwie je Marcela poodszukiwała po znajomych i dopiero jak tamci już odjechali daleko! No i tak czworo tych mam, a Marcela swoich dwóch, to i miara z czubem. Nas było pięcioro sierót, stryj i ciotka chowali. Snadź to familijne u Kacperskich. Ale ja się też biedzie nie dam, jużem na lepszy bok się dźwignął, jeszcze tę setkę dorobię do wiosny, na Wielkanoc do domu wrócę.

I opowiadał o tym powrocie, o tych dzieciach i zapomniiał swego osłabienia.

Którejś nocy włóczęga przestał skomleć i rano wyniesiono zwłoki, miejsce pozostało próżne dni parę, aż pewnego wieczora posługacze wnieśli na noszach jęczącego człowieka. Jaworski spojrzał nań i serce mu zabiło ze zgrozy: był to ślusarz Jankowski. Przybyłych z nim dwóch ślusarzy opowiadało na sali, że przed chwilą koło maszyny zmiażdżyło mu prawą rękę aż po łokieć.

Ranny mdlał i jęczał strasznie na przemian, zabrano go do innej sali i po jakimś czasie odniesiono, po amputacji, kalekę.

Jaworski noc całą spędził bezsennie, wstrząśnięty wrażeniem, rano nie śmiał spojrzeć w tamtą stronę i ledwie doczekał felczera, począł prosić o zmianę miejsca.

Ale felczer, zajęty bardzo, tylko mu burknął coś niechętnie, opatrunek byle jako zrobił i odszedł. Tedy Jaworski, oczy zamknął i twarz osłonił, ale go wnet posługacz trącił, bo była chwila rozdawania śniadania.

Kacperski już chciwie zajadał wodnistą polewkę, a widząc, że sąsiad odstawia swą porcję nietkniętą, rzekł:

- Nie będziecie jedli, Karliński? To dajcie mnie!

Jaworski nieśmiało spojrzał w drugą stronę i ujrzał utkwione w siebie posepne, gorączkowe oczy Jankowskiego. Nie rzekli ni słowa, tylko teraz Jankowski oczy zamknął.

I tak leżeli obok siebie nie mówiąc, nie patrząc, a skuci często myślą godziny, dnie całe.

Pewnej nocy, gdy ranny, spalony żarem gorączki, bezwiednie pić jęczał, Jaworski wstał, uniósł mu głowę, napoił. Gdy się rzucił w malignie, poprawił mu poduszkę i pościel, zwilżał zaschłe wargi i czoło palące. Ale w dzień nie patrzył nań i nie śmiał przemówić.

W niedzielę zwykle odwiedzali chorych znajomi i Jaworski się ucieszył na widok starego Lejby, który go szukał oczami po sali.

Żyd przysiadł na łóżku i położył przy nim szabasową "chałkę" i kilka suszonych gruszek.

- Ja dawno nie był, ale my wszystkie za pana Boga prosili. Moja stara chodziła na kirkuć, na grób cudotwórcy rabina, mojego dziadka. Ona jemu także o panu mówiła. Nu, pan już zdrów będzie, a te rozbójniki Pan Bóg pokarze!

- Co u was słyhać? - przerwał mu Jaworski.

- Nic sobie! Spokojnie. Icek już wyjechał. Pańskie rzeczy w całości, my stancji pilnujemy. A kiedy pan zdrów będzie?

- Już trochę wstaję. Może za parę tygodni.

- Och, żeby tym gałganom ręce i nogi pokręciło! - Tu się schylił do ucha i szepnął: - To pewnie te same ślusarze.

- Nie, pijaki jakieś. Nie znam ich. Ot, wypadek.

- Ładny wypadek. Jak ja tu był, na skorym razie, to pan już był całkiem umarły, całkiem zabity.

Pogawędził jeszcze chwilę i odszedł. Jankowskiego nikt z kolegów nie odwiedził. Leżał milczący, ponury, patrząc tępo w mętne szyby okien. Gorączka już ustąpiła, ale jakże czarną, beznadziejną była przytomna myśl tego robotnika bez ręki, tego nędzarza bez sposobu do pracy.

Od tej niedzieli Jaworski począł po trosze wstawać, próbować członków i odczuwać wielką radość rekonwalescencji. Zaraz też się wziął do drobnych posług dla bardzo chorych i niedołącznych, a wreszcie pewnej nocy zdecydował się przerwać milczenie z Jankowskim.

Słyszając, że ciężko stęka, wstał, pochylił się nad nim.

- Dolega co panu? Może podać pić?

Długo nie było odpowiedzi, tylko świszczący oddech.

- Mam wodę z cytryną. Wypij pan!

Nie otrzymując odmowy uniósł głowę, pochylił szklanekę do ust. Jankowski wypił.

- Odwróć pana na bok, będzie wygodniej. Weź mnie pan ręką za szyję, ot tak! Lepiej!

Ułożył go, okrył, dał jeszcze pić. Ślusarz nie rzekł słowa, ale Jaworski już się ośmielił i w dzień zaproponował mu papierosa.

- To panowie znajomi? - spytał Kacperski.

- Jako i z panem - odparł Jaworski.

- No, ja gadam jako człowiek, a ten kolega to ani chybi ma Karaś na imię.

- Ja już nie mam co gadać z ludźmi, ino z rzemiennym paskiem albo z głęboką wodą! - przemówił wreszcie kaleka.

- Iii... wedle tego to powiadacie, żeście mańkut! Znałem takiego, co lewej całkiem nie miał, a na prawej ino jeden palec, a ludzi golił. Człowiek naprawdę kaleka dopiero, jak mu głowę obetną, a z resztą można żyć! Tamten, co mówię, to piwiarnię miał, ho, ho - pieniądze zbijał. A sprawił sobie ten interes za te właśnie ręce. Fabryka mu zapłaciła. Durnie się wieszają i topią, a komu głowa ostała, to nią kręci, aż coś wykręci. Pan z Warszawy?

- Z Warszawy.

- To jak pan się wylize i odszkodowanie wysądzi, to ja panu kokosowy interes nastreczę. A żonę pan ma?

- Mam.

- To i po kłopocie. Kobieta ma dwoje rąk, no i gębę pewnie nie od parady, jako zwykle kobiecki naród. Magle pan kupi albo skład węgla.

Jankowski nic nie rzekł, ale popatrzył raz pierwszy na Jaworskiego i przyjął ofiarowanego papierosa.

W nocy, parę dni potem, posłyszał szept:

- Karliński!

Zerwał się.

- Połóż mnie pan na bok! Rany mam na plecach.

Gdy go objął i dźwignął, posłyszał znowu szept:

- Nie weźmiecie pomsty? Macie dosyć? To za was!

- Nie mówcie tak! Może ja był winien. Ale tak sobie myślę, że wam brat szczerzy. Z tej biedy i nieszczęścia jeszcze wam może dobre przyjdzie.

- Nie wydadacie nas?

- Toćbym już wydał. I myśli nie miałem. Ale wy też nie sądźcie, nie potępiajcie, nie karzcie!

- Zostawili mnie tu na zdech! Żaden się nie zjawił, nie dowiedział. Towarzysze takie! - mruknął ponuro.

- Zapomnijcie im! Są źli, są dobrzy. Byle człowiek sam zły nie był.

- Żeby który się pofatygował. Trzeba sprawą się zająć. Doktorskie świadectwo dostać, podanie zrobić.

- Może ja ich krępuję. Za parę tygodni stąd wyjdę, to zaraz do adwokata pójde, rozpytam, dam wam znać. Tymczasem czarne myśli wygońcie, ot macie papierosa. Może chcecie jabłko?

- Jeśli wy nie szpieg, to już nie rozumiem! Jaki wy macie inny interes?

Jaworski na to zakończenie ruszył tylko ramionami i nie odpowiedział ogarnięty smutkiem.

W parę dni potem doktor, obejrzawszy go podczas pośpiesznej wizyty, rzekł do felczera:

- Tego już można jutro wypisać. Miejsc braknie.

- Proszę pana doktora, jeszcze mi bardzo słabo! - zaprotestował.

- To płąć!

Zwiesił głowę i umilkł. Posiadał już tylko piętnaście rubli, a na świecie był luty.

Nazajutrz przyniesiono mu jego odzież i kazano się wynosić. Zebrał siły woli, przebrał się, zaczął się żegnać z towarzyszami.

Kacperski obiecał, że byle się dźwignął, nie zapomni go odszukać. Jankowski przypomniał adwokata. Jemu z osłabienia świat kołował w oczach, ugiwały się nogi, na czoło występował pot.

Uśmiechał się do nich, podziękował felczerowi i dozorczy i wyszedł na ulicę. Ale tam zamroczyło go świeże powietrze, poraził blask dnia, zatoczył się i usiadł pod ścianą czując, że traci przytomność. Ocuciło go szturchanie i gruby głos:

- Ty co? Upił się! Ruszaj, bo do "części" (ros. jednostka wojskowa) wezmę!

Był to policjant.

Z trudem Jaworski dźwignął się na nogi.

- Ze szpitala wyszedłem! Słabo! - rzekł.

- A gdzie twoja kwatera?

- U Lejby Minca.

- Paszport masz?

Mam! - sięgnął w zanadrze.

Ale policjant się śpieszył, więc ręką machnął.

- Nu, tak idź do kwatery, kiedy słaby!

Powoli, odpoczywając często, dowlókł się chory do Lejby i przyjęto go jak umiano najżyczliwiej, ale on jak wyczerpany był, tak znowu bez mocy, że apatycznie legł w swej klitce, na wszystko obojętny.

Przeleżał tak znowu parę tygodni, a gdy wreszcie marcowe słońce zajrzało doń przez jedyną szybę okienka, wyglądał jak widmo, tak był wychudły i zmieniony. Ale przecie wreszcie czuł, że niemoc ustępuje, rany były zabliznione, chciał jeść, spać i ucieszył się tą smugą złotego promienia na ścianie, uśmiechnął się do swych narzędzi.

Wiosna, roboty! ozwało mu się w duszy. Zaraz też wróciła życiowa energia i myśli całą falą. Wyszedł na miasto i poszedł do szpitala.

Kacperskiego już nie zastał, wypisał się przed kilku dniami, Jankowski jeszcze leżał.

Jaworski się z nim rozmówił, obiecał przysłać adwokata i resztę dnia mu zeszło na tę sprawę. Wtedy pomyślał o sobie i zaczął szukać roboty. Ale na ziemi leżał jeszcze śnieg i było mroźno, cieśle Własowa mieli przyjść dopiero w końcu miesiąca, trzeba było czekać.

Zasiadł tedy Jaworski przy warsztacie Lejby.

Zapas gotówki malał z dniem każdym, chociaż żywił się czarnym chlebem i kartoflami, chociaż przestał pić herbatę, palić tytuń, nawet za okrasę używał najtańszego starego sadła.

Pewnego dnia, gdy mu zostało tylko trzy ruble, zajrzała mu w oczy groza głodu i strach przed beznadziejnym jutrem. Wyszedł na miasto, na dworzec kolei. Szukał majstra drogowego, aby spytać, czy na linii, dla dziennych najemników, nie ma zajęcia.

Gdy tak stał na platformie, nadszedł pociąg z Kijowa.

Bezmyślnie Jaworski począł patrzeć na wagony, gdy go mijały, coraz wolniej, i nagle drgnął.

W jednym z okien zobaczył i poznał żonę. Pierwszym odruchem chciał zniknąć i wsiąknąć w szary tłum zalegający peron, ale pozostał wkuty w miejsce szczególną, radosną ciekawością.

Żona nosiła jeszcze po nim żałobę, ale rozmawiała z ożywieniem i uśmiechała się do niemłodego mężczyzny z orlim nosem i ogromną łysiną. Była i mama Taubert, i Ignac, i jakaś okazała dama widocznie flirtująca z Ignacem.

Wysiedli z wagonu, przeszli do bufetu tak blisko Jaworskiego, że słyszał ich śmiech i głosy.

Z błyskawiczną szybkością myśli to pogrzebane inne życie odżyło w jego pamięci tak żywo, że machinalnie cofnął się od pociągu i zawrócił ku miastu, zapomniawszy o swej nędzy, o jutrze głodnym, o sprawie, dla której przyszedł na kolej, przejęty tylko uczuciem ulgi, że wśród nich nie jest i nie będzie.

U Lejby zastał gości, dwóch Żydów porządnie ubranych, palących cygara z minami wielkich panów.

- O, to ten pan właśnie! - zawołał rymarz na jego widok. I zaraz zaczął z niebywałą u niego żywością:

- To mojej żony krewni, te kupcy. Oni są wierniki wielkiej leśnej kantory. Oni tu przyjechali po ludzi do drzewa, na wodę. Moja Ryfka u nich teraz w Pińsku mieszka. Oni słyszeli o panu, oni panu u siebie służbę dadzą.

Żydzi przypatrywali się mu bystro i jeden rzekł:

- Ja pana już raz gdzieś widziałem.

Jaworski spojrzał nań i także twarz ta wydała mu się nieobcą, i po chwili rzekł:

- Był pan w Horbach w karczmie zeszłej wiosny, kiedy most pod pociągiem się zawalił.

- Ma pan dobre oko i pamięć! Prawda, byłem.

- A pan - majster, cieśla?

- Robiłem toporem. Ale teraz bardzo jeszcze słaby jestem, niedawno ze szpitala.

Lejba począł im coś opowiadać po żydowsku, słuchali bystro patrząc, głowami kiwając. Wreszcie starszy, wyższy snadź stanowiskiem rzekł:

- Nam potrzebny człowiek pewny do binduhy! Chłopy będą toporami robić. Pan chłopów będzie pilnować, ćwieki wydawać, roboty patrzeć. A jak pan interes pozna i zechce, to i z drzewem pan pójdzie.

[Binduga - teren nad rzeką, gdzie się składa drzewo do spławu i zbija tratwy; zbijanie drzewa w tratwy; spław drzewa.]

- Nie żaden ja pan i wolałbym sam robić, a nie innym komenderować. Daleko te lasy?

- Trzy stacje stąd koleją, do binduhy wiorst piętnaście - kniazie puszcze! Drzewo fajne, pójdzie aż do Gdańska.

- Nie rozumiem tej roboty. Może nie będę zdatny.

- Niech pan się namyśli. Damy pięć rubli tygodniowo i produkty. My mamy wiarę do pana.

Pomyślał chwilę. Ujrzał przed sobą bory, rzekę, długie szeregi tratw, tygodnie spędzone z naturą.

- Pójdę! - rzekł prawie bezwiednie.

Kupiec już wydobyl z kieszeni gotowy kontrakt do podpisania i podał mu.

Jaworski przeczytał, pokręcił głową.

- Powtarzam panom, że roboty tej nie robiłem nigdy.

- I rymarzem pan nie był nigdy! - zaśmiał się Lejba. - Kupce nie kupują pana rąk, ale głowę, oni dobry zrobią interes. I niech pan też bez strachu podpisze. Oni żadne łapserdaki i szachraje, oni wiedzą ile człowiek wart.

Jaworski podpisał i spytał o rozporządzenie. Miał już nazajutrz z narzędziami i ładunkiem ćwieków jechać na bindułę.

Zebrał tedy swe mizerne graty, doprowadził do porządku narzędzia i nie mając co robić wieczorem, wyszukał Kacperskiego.

Stolarz wiadomość o nowej robocie przyjął kwaśno.

- Chce się to wam służyć Żydom i z chłopstwem na tratwach się ujadać. Myślałem, że was ściągnę do Warszawy, bo mi się pan spodobał.

- Toć pan Jankowskiego zabiera pod opiekę.

- Iii... co tam Jankowski. On swoich ślusarzy ma. Topór z heblem lepsza kompania - i nawet biedować z panem to bym się nie lękał. Niech pan sobie mój adres napisze: Kacperski Józef, Tamka 10. Żeby i na zimę pan się zgłosił, to jakąś robotę się znajdzie. Jeszcze bym w szpitalu leżał, żeby mnie pan nie podkarmił, za swój grosz!

- Podług pana tom mało co wart. Pan jeden karmi dziewięcioro.

Dobroduszna twarz stolarza rozjaśniła się.

- Ot, pierwszy, co mnie pochwalił. Ludzie mi mówią, żem dureń.

- Chciałbym być takim mądrym jak pan.

Uścisnęli sobie twarde ręce i wracał Jaworski na ostatnią noc do swej kwatery.

W powietrzu czuć było wiosnę i ogarnęła go miękkość i zadumanie skupienia w sobie.

Przebył zimę jedną i czynił w duszy z niej rachunek. Zdało mu się, że jest wobec władzy i zdaje egzamin. Ktoś czytał jego czyny i myśli, dzień po dniu, a ktoś wielki słuchał.

I wreszcie człowiek stanął, oczy podniósł ku niebu, wyprostował się, oddychał głęboko, czekał. Wydały mu się raptem i te czyny, i te myśli małe, i rezultat prawie żaden wobec obszaru świata, wobec ogromu tego gwiaździstego sklepienia.

Poczuł się atomem, pyłem i zmętniały mu oczy łzą pokory.

A wtedy usłyszał w duszy głos tej wielkości, głos Tego, co słuchał:

- Idź dalej, wyżej. Pełń Prawo? Nie trwóż się, nie patrz skutków pracy. Pyłem bądź. Ja z pyłów tworzę słońca!

W piersi człowieka uderzył dzwon serca i zstąpiła na duszę powaga świątyni. Spokojny, mocny się poczuł i wzrok ku ziemi spuszczał, objął nim niskie domy, puste ulice, całe to miasto ludzi, warsztaty kolejowe, szpital, wszystko.

Wzrok serdeczny był, wdzięczny, dobrze życzący, a usta wymówiły z głębi duszy:

- Błogosław Panie tu wszystkim i każdemu!

X

Samolik z Bereźnicy wiosną - w towarzystwie czterech sąsiadów - ruszył na letnie zarobki. Zgodził ich Żyd agent do roboty przy szosie i oto wedle umowy stawili się w oznaczonym terminie w miasteczku Jeziercach. Od stacji kolei przyszedli pieszo dzisiaj wiorst w głąb kraju, przez piękne lasy, i około zachodu słońca ujrzeli przed sobą szeroki widok na osadę, szeroko rozsiadłą, murowaną, uwieńczoną wieżycą kościoła, otoczoną jakby sierpem taflą wód jeziora.

Jakby na straży miasteczka stał przy drodze młyn wodny, murowany, wielki - u gardzieli, skąd wypływała rzeka. Za jeziorem prawie jak las wyglądał park i świeciły czerwone dachy okazałej, pańskiej rezydencji. Przy drodze jeżyły się sterty zwiezionych na szosę kamieni.

- Ot i nasza tu będzie robota! - rzekł Samolik.

Ruchem ramion poprawili na plecach worki swe podróżne i ruszyli rażno naprzód zajęci tym jutrem znojnym, radzi wziąć się do trudu. Przed młynem tłok był furmanek i ludzi ładujących worki mąki. Stanęli podróżni, żeby się pogapić, rozpytać o swego Żyda.

Ale nikt z nimi mówić nie miał czasu, bo robota nagliła i co raz z magazynu przy młynie rozlegał się głos napędzający do pośpiechu. Samolik zawsze ciekawy zajrzał do wnętrza. U wagi stał człowiek w wytartym kozuszk, ubielony mąką i zdawał wory Żydowi.

- Karliński! - wyrwało się z ust Samolika z wyrazem radosnego zdumienia.

Tamten głowę podniósł, spojrział, uśmiechnął się, ale tylko skinął i dalej ważył, notował, napędzał robotników.

Dopiero gdy transport był kompletny, pożegnał Żyda odbiorcę, magazyn zamknął i przywitał niespodziewanego znajomego.

- Wyście tu po co przybyli?

- Do szosy zgodził Juda Grosberg, nas pięciu z Bereźnicy. Ot, spotkaliśmy się! Dziwo! Poznaliście mnie? To pięć lat, jak wtedy razem byli przy moście? Pamiętacie?

- Jakby wczoraj. To całe lato tutaj będziecie?

- Pewnie! A wy co? Dierzawicie ten młyn?

- Uchowaj Boże! Młyn grafski (hrabiowski), dworski, dzierzawi pan Baczyński, w miasteczku ma dom, bogacz. Ja służę, już trzy lata.

- Tu mieszkacie?

- A niby tu mam stancję, w miasteczku się stołuję.

- Toście się nie żenili?

- Nie.

- To czemu swojej starej nie zabierzecie? Księżda u nas zmienili, nowy na szpitalne baby narzeka, drew nie daje. Już dwie z ziębu zmarło w poście. Dawności i nie pisali do matki.

Ze drzwi młyna wytknął się młynarczyk.

- Panie, grafska osypka wyszła. Co zesypywać?

Karliński skorzył do wnętrza. Towarzysze zawołali Samolika.

- Idźmy do miasteczka! Późno. Trzeba szukać Żyda, rozmówić się, spocząć.

Obejrzał się Samolik i ruszył. Całe lato, co dzień będzie tędy na robotę iść, będzie czas na gawędę.

Zmierzchało, gdy Karliński robotę młynarczykom wydzielił i ruszył do miasteczka.

Wieczór był marcowy, ostry, szumny od wichru, ale pachnący już wiosną i upajający jak wino. Ludzi dużo snuło się po drodze i zaułkach, a po mieszczańskich sadach nad jeziorem wystawały pod płotami, u wody dziewczęta śpiewające, chichoczące. Pozdrawiali wszyscy uprzejmie Karlińskiego, snadź znali go i lubili.

Na jednej z ulic wszedł do porządnego, murowanego dworku i otworzył z sieni drzwi na prawo. W pokoju paliła się już lampa i przy stole siedział w wielkim fotelu stary, łysy, żółty na twarzy mężczyzna i dziewczyna może dwunastoletnia czytała głośno gazetę. Na skrzyp drzwi stary spojrzął spod nawisłych siwych brwi i poprawił się na fotelu, wyciągając rękę po grubą rachunkową księgę.

Dziewczynka uśmiechnęła się do wchodzącego.

- Dobry wieczór, Karliński! Cóż tam? Nic złego? - spytał stary.

- Wszystko dobrze. Zdałem wagon mąki Szubie. Przyjąłem orkisz [jęczmień] na kaszę. Skończyłem dworskie mlewo. Przyniosłem z drobnego targu siedem rubli i próbkę żyta, które dostawił pan Bajkowski. Zabiorę gazę na pytel.

- Woda dobra?

- Grzeczna. Zastawki sprawione!

- Na dworze pięknie?

- Jako wiosna.

Stary stęknął, skrzywiły mu się rysy.

- A mnie trzeba tu gnić. Madziu, idź do matki, niech tę gazę przyniesie.

Gdy dziewczynka wyszła, sięgnął poza siebie, w fotel, dobył pugilares i schował węń, położone przez Karlińskiego pieniądze. Chwilę myślał bębnić palcami po stole, wreszcie pugilares schował, a sięgnął po rachunkową księgę. Karliński dobył notatnik.

- Pensje miesięczne czterdzieści rubli. Kowalowi pięć rubli siedemdziesiąt pięć kopiejek, deski siedem rubli trzydzieści kopiejek, dębina trzy ruble - począł dyktować.

- Z drobnego targu wyciągniesz! Dobrze? - mruknął stary trochę nieśmiało.

- Dobrze, panie. Tylko czy pan już posłał dla Jaśka do szkoły?

- Posłałem. Madzia nosiła na pocztę.

- Pisał do mnie, że bardzo szczęśliwy i panu wdzięczny.

- Mnie! Niech tobie będzie wdzięczny. Żeby nie ty, musiałby we młynie siedzieć i pracować!

- Dobrze się stało wszystkim. Zły by z niego był młynarz, a sławny będzie rzeźbiarz!

Stary ręką machnął.

- Zrobiłeś, jak chciałeś, a ty swej obietnicy dotrzymaj.

- Czy nie dotrzymuję?

- Ja nie wiem. Co może wiedzieć paralityk. Przykutym jestem do tej izby i stołka. Jakubowicz śmiał się wczoraj, że w młynie przesypiasz noce przeromansowane z tą rozwódką, córką organisty.

- Żarty lubi pan Jakubowicz! - odparł spokojnie.

Do pokoju weszła młoda piękna kobieta. Ukłonił się jej Karliński i wziął z jej rąk paczkę gazy do pytła.

- Żegnaj państwa! - rzekł cofając się do drzwi.

- Wieczera gotowa! - rzekła uprzejmie gospodyni.

- Dziękuję. Muszę prędko do młyna wracać, jeszcze ten pytel do rana narządzić. O pszenicę Szuba się dopomina.

- Pani Szymborska smaczniej gotuje! - zaśmiała się kobieta.

Żachnął się, ale nic nie odrzekł i raz jeszcze pożegnawszy, wyszedł.

Skierował się na rynek i do plebanii. Od dwóch lat miał wikt i opierunek z rąk poczciwej starej Koźlakowskiej, organiściny, zżył się z nimi; byli to ludzie prości, dobrzy, cisi. Od jesieni wszystko się popsuło, od dnia gdy wróciła do nich niespodziewanie jedyna córka, zameżna za urzędnikiem, którego losy służby przerzuciły aż na Kaukaz. Wróciła z przewróconą głową, fantastyczka, nerwowa, z bezustannym niepokojem w duszy i buntem na los i życie. Czas jej schodził na płaczu lub wybuchach wesołości, na spacerach, na gorączkowym zajęciu lub okresach kompletnej apatii i beczynności.

Od dawna Jaworski czuł na sobie jej oczy żebrzące, błagalne, rozpaczne prawie, od dawna wiedział, że ta nieszczęśliwa, chora dusza u niego szuka oparcia siły, że ta kobieta do stóp mu się ściele, i od dawna żył w rozterce ze sobą, w walce, w niepokoju.

Czasami był pewny, że powinien odejść, czasami był pewny, że powinien pozostać.

Przykazanie, które sobie za cel życia postawił, być dobrym, i które dotąd w wykonaniu dawało mu taką jasność w duszy, tym razem szarpaniem było, zgiełkiem sprzecznych zdań i postanowień i tak trwało od dawna.

Dziś postanowił odejść i z tym wszedł do mieszkania Koźlakowskich na plebanii. Byli wszyscy troje. Stary reperował skrzypce, Szymborska cerowała kościelną bieliznę, stara na jego widok zakrzętała się podawać mu posiłek i gadać życzliwie.

- Słyszane rzeczy! Na obiedzie pan znowu nie był i nie przysłał młynarczyka nawet. Zdrowie pan straci, z sił spadnie. I po co? Ten sknera kielniarz Baczyński zamrze której nocy i Jakubowicze okradną sieroty. Nie poradzi pan takim!

- Tak źle nie będzie. Stary mi ufa, dzieci kocha, a Jakubowicze nie złodzieje. Zresztą wystarczy dla wszystkich, żony też nie skrzywdzi.

Panu każdy dobry i uczciwy, bo pan sam taki. Wedle pana to złych ludzi wcale nie ma na świecie.

- Bo i nie ma. Są tylko głupi.

- A którzy głupi? - zagadnęła Szymborska.

- Ano właśnie ci, których złymi nazywają.

- To i nieszczęśliwych może nie ma? - spytała ponuro.

- Oj, i tych nie brak. Każdy ze siebie może zrobić szczęśliwego albo nieszczęśliwego.

- Albo to prawda. Już się rodzi człowiek na zły lub dobry los i jak komu niedola sądzona, nie ma ratunku. Temu tylko dobrze, co ma serce z kamienia.

- Tedy trzeba się starać, by serce mieć twarde!

- Toteż panu dobrze! - mruknęła szyderczo.

Milczał jedząc spiesznie. Potem zapalił papierosa i rzekł do Koźlakowskiej:

- Myślę niedługo własne gospodarstwo założyć.

- Żeni się pan?

- Nie. Mam żonę, inośmy się rozeszli. Matkę chcę sprowadzić sobie na gospodynię.

Koźlakowska pokiwała głową.

- Niech to pana nie uraża, ale żona, co pana porzuciła, toć dopiero musiała być głupia wedle pańskiego powiedzenia.

Szymborska zerwała się z miejsca, cisnęła robotę, zarzuciła chustkę na głowę i wyszła.

Starzy spojrzeli po sobie z niepokojem i zapanowało długie milczenie.

Jaworskiego znowu zdjęła wątpliwość, strach, jakiś niepokój, czy dobrze czyni.

- Dobranoc państwu! - rzucił śpiesznie i wyszedł.

Na placu przed kościołem pusto było, noc nie miała miesiąca, chmur się nasunęło wiele, deszczowych, wiosennych, w powietrzu było pełno wilgotnej woni nabrzmiąłych pąków, ani tchnienia wiatru.

Ziemia czekała na ciepły deszcz jak na nowe życie, gdzieś w chmurach grały pieśń powrotu klucze wędrownych ptaków.

Jaworski skręcił w boczną uliczkę, nad jezioro, pewny, że tamtędy wróci do młyna, nikogo nie spotkawszy. Lękał się dziś Szymborskiej, czuł w sobie litość, słabość, żal dla niej.

Jutro napisze do Bereźnicy, pośle staruszce Karlińskiej pieniądze na drogę. Samolikowa ją przywiezie. Tymczasem może kiedy przy okazji rozmówi się z Szymborską, może ją uspokoi, trafi do tej biednej duszy łagodnym słowem.

Był już u młyna. Świeciło się przy kamieniach, woda szumiała na kołach, wewnątrz huczały maszyny. Dyżurujący młynarczyk gwizdał oberka. Jaworski stanął, spojrzął po jeziorze, wciągnął z przyjemnością w płuca wilgotne wonne powietrze. Nagle drgnął, poczuł, że ktoś stoi za nim, obejrzał się, dwoje ramion spadło mu na szyję, gorące smukłe ciało kobiece przywarło do niego, duszący szept zaszemrał:

- Zlituj się nade mną! Nie chcę umierać.

Chciał odepchnąć, oswobodzić się, ale nie mógł być brutalnym, nie potrafił.

Kobieta trzęsa się jak w febrze, zęby jej dzwoniły.

- Chodźmy stąd! Niech się pani uspokoi! - rzekł cicho.

- Ja, ja nie chcę spokoju. Ja tak być dłużej nie mogę! Ja śmierć sobie zrobię. Zlituj się! - jąkała.

Jego jakby zaraził ten szal dziki.

- A potem co? - szepnął.

- Co mi tam potem! Niech będzie śmierć. Ale ja muszę żyć, ja muszę z tobą być. Potem wyrzucić, bij, lżyj, plwaj, nogami kop! Co mi! Twoją być, twoją choć chwilę, choć tę jedną noc. Zlituj się, ja ginę, umieram!

Bez słowa już otworzył drzwi swej stancji czując, że ulec musi, nawet nie próbując się opierać ani rozważać.

A potem, gdy przysłała refleksja, nie żałował swej słabości, patrząc na zmianę zaszła w usposobieniu Szymborskiej. Była jakby przeistoczona: promienna, słodka, dobra, uległa. U rodziców pracowała dzień cały w ogrodzie, w kuchni, w domu dla każdego miała dobre słowo i życzliwość, dla niego jakby kult niewolnicy i wdzięczność.

Nie kochał jej, ale czuł się potrzebnym, wielbionym, pożądanym i sprawiało mu to zadowolenie, dawało życiu urok.

Po miasteczku wieść się rozniosła prędko. Podpatrzyli młynarczyki, rozpletły kumoszki.

Szyborska teraz codziennie przynosiła mu obiad do młyna, sprzątała stancję, prała i sprawiała odzież, święta i niedziele spędzali razem, panowało przeciwko nim srogie, choć głuche oburzenie opinii.

On, pochłonięty robotą, ani słyszał, ani myślał o tym, kobieta nie dbała.

- Baczyńska psy na mnie wiesz! - rzekła mu kiedyś, przyniósłszy obiad.

- No? - spytał obojętnie.

- Z zazdrości!

Ruszył ramionami.

- Nie wiesz! Ginie za tobą.

- Śni ci się!

- Wiem. Zwróć uwagę!

- A to po co? - uśmiechał się.

Ale gdy tegoż wieczora poszedł z raportem do swego gospodarza, zauważył, że Baczyńska była opryskliwa i ponura, stary też jakiś niechętny, szukający przyczepki.

Ale we młynie wszystko szło bez zarzutu, więc tylko gdy odchodził, stary rzekł:

- Kaleka nieszczęsny musi być na ludzkiej łasce i na wszystko patrzeć przez szpary.

- Oprócz pana cały świat mnie pilnuje i jest kilku amatorów na moją posadę. Więc niech pan będzie spokojny. Kontrola pewna! - odparł Jaworski swobodnie.

- Toteż słyszę wiele! - mruknął stary.

- Ej, niewiele. Chyba tylko jedno!

- Z takiego jednego wszystko złe.

- A kiedyż to pan matkę swą sprowadzi? - wtrąciła Baczyńska. - Nie ma pan teraz dla niej miejsca w stancji?

- Miejsce jest, ale trudno się we dwoje utrzymać z piętnastu rubli miesięcznie.

- Iii, matka nie taka kosztowna jak kochanka! - wybuchnęła kobieta. - Ale wiadomo, z kochanki inny pożytek i większa przyjemność.

- Jestem u państwa starszym młynarzem i czym jeszcze więcej? - spytał spokojnie, podnosząc na nią oczy.

Była czerwona, wzburzona, ale nie wytrzymała jego wzroku, umilkła na chwilę.

- Trudno patrzeć, jak się porządny człowiek marnuje i rozum traci dla byle kogo! - rzekła innym tonem.

- To dziękuję państwu za życzliwość, ale rozumu nie tracę!

Wyszedł z niesmakiem i nudą, i znowu stanęło mu w myśli pytanie: Czy dobrze czyni? Ostatnimi czasy mało myślał, jakby zobojętniał sam dla siebie, jakby ze sobą wcale nie obcował i nie chciał zostać sam ze sobą.

Był wieczór późny, ciepły, czerwcowy, na niebie pełno gwiazd. Przypomniał sobie takie niebo gwiazdziste, gdy żegnał swój życiowy etap w Kowlu i mówił z sędzią.

Pięć lat ubiegło, jeszcze tylko raz był tak na sprawie w obliczu ciszy gwiazdnej, wtedy gdy Janka Baczyńskiego zlizował w młynie, by mógł w świat iść i sztuce służyć! Potem oddał się bardziej swemu zajęciu, sprawom praktycznym, i przyszedł nań okres stagnacji ducha.

I teraz nie chciał na sprawę iść, nie. Po co? Jeśli źle postąpił, ani cofnąć, ani zmienić, stała się zła konieczność, do ziemi był przykuty!

Ociężał mu krok, zgarbił się kark, oczy uciekły od gwiazd, patrzyły pod stopy i szedł, jakby brzemień miał na barkach, do swej stancji... Na ławce u młyna czekała już na niego Szymborska.

- Cudna noc! Pójdźmy nad rzekę, bo ledwie chwilę mam dzisiaj wolną. Od północy mój dyżur.

- Chodźmy! - rzekła jakby z żalem.

Gdy się znaleźli na brzegu rzeczki, wśród olch, ramieniem ją objął.

- Cudny świat. Pacierze się chce odmawiać - szepnął.

- I całować! - odparła gorąco, przywierając piersią do niego, łaknącymi usty szukając jego ust.

Popatrzał jej głęboko w oczy.

- Czyś ty tylko pożądanie, Hanka?

- Coś ty taki inny! Ktoś cię zbuntował na mnie. Napletli coś wrogi!

- Nie. Pomówić z tobą chciałem. Poznać się. Do dusz sobie zajrzeć. Toć należymy do siebie, a nic o sobie nie wiemy! Powiedz mi, co ci miłe, co boli, ot swoje myśli!

- Kocham ciebie i cały dzień, bo rok długi się zdaje, na tę chwilę czekając. Wszystko we mnie aż drży z tęsknoty. Co mam mówić? Całuj mnie, pieść! Ja ino kocham, z tobą chcę być!

- Aniś ciekawa moich myśli?

- Co ci? Kto ci co nagadał? Baczyńska pewnie o tym nowym praktykancie, co u rodziców był z wizytą.

- O żadnym praktykancie nie wiem. Ludzie gadają pewnie. Nie oglądasz się na nic, mówiłem ci. Ja przy robocie nie wiem, co plotą w miasteczku, ty bądź ostrożniejsza.

- Po co? Mnie wszystko jedno, ja ginę za tobą. Nie zechcesz mnie, pójdę w jezioro.

Objęła go za szyję, dławiła szalonym uściskiem szepcząc błagalnie:

- Pójdźmy do izby! Kocham cię, kocham!

Tedy zrozumiał, że nie pojmą się ni dusze, ni myśli, że próżno by do niej mówił, i zawrócił do młyna.

Stosunki z dworską administracją miał Jaworski częste, choć we dworze samym nigdy nie bywał. Ale mlewa dworskiego było wiele i prawie co tydzień dworska fornalka przywoziła i zabierała wory pełne. Zwykle eskortował fury ktoś z administracji: gumieny lub pomocnik pisarza.

Raz w końcu czerwca zjawił się nowy oficjalista. Chłopak może dwudziestoparoletni, smukły, przystojny, w palonych butach i obcisłych granatowych spodniach, w czapce na bakier i z pąsową różą w klapie surduta.

Praktykant! - pomyślał Jaworski; taki typ był udany i dobrze mu kiedyś znajomy.

Zeskoczył z konia i wszedł gwizdząc do składu.

- Szruta gotowa? - spytał z góry, bez powitania.

Zajęty wagą Jaworski nic nie odrzekł.

- Gdzie młynarz? - huknął młodzik.

Jeden z fornali odparł:

- A dyc waży!

- Głuchy czy ki diabeł? Może niemowa! Pytam, czy mlewo gotowe?

- Toć fornale ładują! Nie widzi pan? - odparł wreszcie Jaworski.

- A dużoście piasku dosypali?

- Dużo.

Fornale zaczęli się śmiać. Młodzik poczerwieniał, stanął u wagi i o każdy worek się spierał. Jaworski, jakby go nie było, załatwił swą robotę. Gdy skończył, dobył dworską księgę, zapisał.

- Podpisz się pan tutaj! - rzekł.

- Z uwagą, że waga niedostateczna.

- Owszem. Młynarczyk z furami pójdzie do sprawdzenia w prowencie. Jasiek, przeprowadzisz fury do dworu z kartką ode mnie do pisarza.

Praktykant podpisał, siadł na konia i pogroził prętem.

- Ze mną nie będziesz miał kompanii i pisarzem się nie zastawisz. Jaśnie pan młynarz, psia mać!

Z młyna na hałas wylegli chłopacy, a Żyd, który po swe mlewo zajechał, rzekł patrząc za odjeżdżającym:

- Jaki gorący! To ze złości, że wczoraj się zgrał w karty uJakubowicza.

Jaworski patrzył na podpis w księdze, jakby czytać nie umiał.

- Jak on się nazywa? - spytał Żyda.

- Ten błazen? Wojdak.

- Wojdak? Na pewno?

- Co nie ma być na pewno? Po Żydkach naszych są już jego kartki na pieniądze i znają jego w miasteczku. Co nocy bywa.

- Skąd on? Nie wiecie?

- Ze świata. Taki wiatr. Podobno krewny rządcy.

W Karlińskim wstrząsnęło się wszystko, jakby pękła skorupa, wybuchnęła z wnętrza lawa gorąca wspomnień i zalała go straszną pożogą.

A w parę dni potem żona rządcy wstąpiła do młyna w jakiejś gospodarskiej sprawie i rzekła z intencją ugodową:

- Podobno wam tu nasz Władek nagrubił. Wybaczenie jak człowiek dojrzały smarkaczowi. Niech już z tego sprawy nie będzie. Mąż wyłajał, chłopak obiecał poprawę. Taką mamy z nim biedę, a toć mojej siostry syn! Szwagier dobrze się miał, bo po stryju prącał sukcesję wziął, ale wszystko stracił na spekulacje i afery, i w niedostatku wdowę zostawił. Jeszcze nadzieja była w najstarszym, Józefie, bo i głowę miał, i dobrą posadę - trzeba nieszczęścia, lokomotywa go zabiła i wtedy wszystko przepadło. Siostra moja, jak długi popłacała, została z dwoma córkami na bruku, a ten Władek nauk nie skończył i rozpuścił się. Wzięliśmy go pod opiekę, może się opamięta, zacznie pracować! Ach! jaka zgryzota!

Tego dnia z powodu święta młyn był nieczynny, więc gdy odeszła, Jaworski mieszkanie zamknął i zamiast do organistów na obiad, ruszył nad rzeczkę, w łąki.

Trawy były jeszcze nie tknięte kosą, barwne od smołek [pyłek] i liliowych dzwonków, bujne, rozśpiewane ptactwem, rozdzwonione pszczelą muzyką cichutką. Wnurzył się w nie pewien samotności, zaszył się w głąb, w krze kalin i dzikich spirej [krzew o białych kwiatach] niedaleko rzeczki, i zaczął stanowczą ze sobą sprawę, zstępując w głąb duszy, w te kraje, kędy człowiek nikogo nigdy nie puszcza i kędy sam bywa rzadko. Jedni tam nie bywają, bo się lękają; inni, bojeszcie nie umieją sami tam trafić; inni, bo nie śmia!

W tych głębiach bywają potwory, co nigdy dnia nie oglądają, bezdenne grzędawice, roztopione metale i diamenty!

Nieubłagana, nieodwołalna była stamtąd decyzja.

Nie postępujesz, nie rośniesz wzwyż, nie krzepniesz, zasklepiłeś się w bezmyśli, nie rozumiesz prawdy, doszedłeś do upodobania w życiu pospolitym i ciasnym. Fałszem jest twoja mniemana ofiara dla Jaśka Baczyńskiego, wygodnie ci jest być przełożonym, dogadza ci stanowisko. Nie ratujesz, nie dźwigasz, nie prowadzisz duszy kobiety, którą posiadasz i którą lekceważysz mniemając, żeś nad nią wyższy.

Zmarnowałeś pięć lat życia, zapomniałeś celu, nie jesteś dobry. Czy potrafisz służyć?

Któregoś zabił, przychodzi w osobie tego chłopca głupiego, lekkomyślnego, może już zdemoralizowanego - z twojej winy. Dług zaciągnąłeś, przychodzi termin wypłaty. Jak? Czym? Kiedy? Może krwią, może życiem, może wstydem. Na wszystko musisz być gotów, a wzdrygasz się!

Jaworski upadł twarzą do ziemi w męce.

A nieubłagany, wszechwiedzący głos duszy trwał.

Nie ujdiesz stąd ani ci kto pomoże, musisz się sam dźwignąć na drodze na powrót stanąć, naprzód iść. To nie służba. Prawa dla ciebie: uczciwie pieniądze na mlewo gospodarzowi oddawać, interesów jego pilnować, nie kraść i nie próżniaczyć - dla ciebie to żadna zasługa.

Nie służba też dla ciebie ani zasługa, że się nie upijasz, nie obcuje z miasteczkową zgrają, nie zabawiasz się jak oni.

Ani zasługą ci jest kłamana miłość dla kobiety, jakoby jej uczucie szanując - nie delikatność to, ale słabość, próżność i zły nałóg.

Nie ma mocy w tobie, nie ma mądrości, nie ma miłowania - zapomniałeś Prawa.

- Atmo! - zaszemrały drgające wargi zmiażdżonego. Ale nie otrzymał odpowiedzi i do ziemi przywarty leżał nie widząc drogi, sposobu wyjścia!

Na łąki poczęła padać rosa wieczorna, gdy posłyszał nad sobą ludzki głos:

- Panie! Majstrze!

Zerwał się. Nad nim stał Jasiek-młynarczyk z siatką na raki i koszem.

- A to zaspaliście! - śmiał się chłopak. - A tam we młynie was od południa szukają. Macie nowinę!

- Mlewo przywiózł kto?

- Nie. Matka wasza z jakąś drugą przyjechała.

Jaworski się zerwał i stał chwilę jak człowiek z ciężkiego snu zbudzony. Aż raptem zabiło mu mocno serce przecuciem, że przecie była odpowiedź, i poszedł prędko, lekko, wesoło do domu. I oto ujrzał na ławce pod ścianą młyna dwie stare kobiety i Samolika.

Obydwie ubogo były odziane, jak mieszcżanki, ale on od razu poznał tę jedną z fotografii, siwowłosą, szczupłą, wiekiem przygarbioną kalekę. A Samolik go zobaczył z dala i zawołał:

- A przecie, jesteście. Macie niespodziankę!

Staruszka powstała, z oczu białych, martwych poczęły biec ciche łzy i stała jakby zaklęta, bojąca się, szepcząc nieśmiało:

- Spalił się szpital, ksiądz inny, nie mogłam, nie miałam dachu, myślę, przed śmiercią...

I załamał się jej głos we łzach, bo poczuła swą rękę ujętą w twardą dłoń i usta synowskie na niej, i objęła go ramionami za głowę rozelkana, a bezmiernie szczęśliwa.

Wprowadził ich do swej stancji. Samolikowie poczęli mówić, opowiadać, staruszka milczała, skupiona, trzęsąca się ze wzruszenia.

Jaworski ugościł Samolików, zapłacił z podzięką za drogę i wydatki, i dopiero gdy wieczorem późnym odeszli do miasteczka, usiadł przy staruszce.

- Adasiu! - szepnęła dotykając rękami jego głowy, twarzy. - Synku jedyny, dziecko, jakiś ty mizerny, jak ci nawet głos się zmienił! Mój Boże, tyle lat! Ale cię widzę jak wtedy! Powiedz, nie gniewasz się, żem bez pytania, bez pozwolenia przyjechała? Nie mogłam. Ja ci nie zaciążę, synku!

- Co też matka mówi? Stancja jest, chleb jest.

- Tak mnie i Samolikowa uspokajała, jak Józef jej napisał, żeś starszy w młynie. Ale ty mi powiedz, że mi wybaczasz. Mój Boże, przed śmiercią choć trochę z tobą pobyc, za twoje pieniądze pochów mieć. Mój Boże, takie szczęście!

- Dziękuję, matko, żeście przyjechali! - rzekł rękę jej całując. - Ot, będę miał gospodynię!

- Będiesz, dziecko. Nie turbuj się, żem ślepa, ino kąty poznam, to trafię i wszystko zrobię. Z tobą być, z tobą! Jaki Pan Jezus łaskawy!

I trzymając rękę jego w swych rękach, poczęła się modlić szeptem drgających warg...

Nazajutrz, gdy Jaworski nie przyszedł do organisty na obiad, Szymborska poniosła mu jadło w koszyku do młyna i weszła do stancji pewna, że nikogo nie ma.

- To ty, Adasiu? - ozwał się obcy głos.

Kobieta spojrzała zdziwiona na staruszkę siedzącą u okna, w słońcu, zajętą robieniem wełnianej pończochy.

- Ja przyniosłam obiad panu Karlińskiemu - rzekła zmieszana. - Nie wiedziałam, że gościa ma.

- Ja nie gość, ja jego matka.

- To pani już tu będzie?

- Już zostanę, dzięki Bogu.

- To i gotować w domu będziecie?

- Może bym zdołała, ale on nie chce. Powiada: niespokojny będę, bo ja nie widzę.

- Ach, Boże mój! Biednaż pani!

- Nie biednam, kiedy przy nim i kiedy on zdrów! A od Boga trzeba wszystko wdzięcznie przyjąć, choć zda się nam złe, ale On tylko dobre daje, ino poczekać, pocierpieć, a okaże się, że dobre. I ślepe oczy Jego oglądać mogą.

Szyborska wpatrzyła się w mówiącą z dziwem, ze wzruszeniem mimowolnym i jakby wstydem.

- Może pani czym usłużyć? - szepnęła.

- Bóg zapłać! Jacy też ludzie dobrzy, kochani. Ot i pani młoda, ładna, wesoła, a gotowa kalece dogodzić.

- Skądże pani mnie widzi, zem młoda i ładna. Pan Adam co mówił o mnie?

- Nie, ale ja każdego poznam słuchem, czuciem. Zabierze Bóg jedno, doda drugim. Ja już tę stancję widzę i słonko ze dworu, i jezioro, i robotę mego chłopca we młynie. On ci idzie tutaj, synaczek mój jedyny!

Szyborska obejrzała się na drzwi, na wchodzącego. Uśmiechnięty był i jakiś inny, promienny.

- Nie miałem czasu być u państwa z nowiną, wybierałem się wieczorem. Bóg zapłać za strawę i fatygę! - rzekł serdecznie.

Zjadł spiesznie, bo fury zajechały pod magazyn, a Szyborska wobec tej ślepej matki nie śmiała go nawet wzrokiem zaczepić.

A w parę dni potem przybiegła do młyna późnym wieczorem, stęskniona.

Na ławce pod ścianą Adam siedział z matką. Księżyc stał nad jeziorem, było cicho i cudnie, i staruszka coś opowiada powoli jakby bajkę. Poznała ją tym swoim przecuciem i rzekła:

- W taką noc pod Boże niebo każdego ciągnie. Samam siedziała, a ot i troje się zebrało, i jeszcze ktoś idzie z za jeziora, ktoś młody, wesoły.

- Matka słyszy, jak trawa rośnie!

Szyborska usiadła przy Jaworskim, przygarnęła się do niego. Teraz i oni usłyszeli, że ktoś z za jeziora szedł, i zdziwił się Adam poznając praktykanta, Wojdaka.

Wybrał się był na karty do miasteczka i stropił się na ich widok.

- Dobry wieczór państwu! - rzekł przystając.

Jaworski odpowiedział uprzejmie, tedy chłopak o krok się zbliżył.

- Ciotka jeszcze wczoraj mi poleciła spytać pana o ryby do dworu, ale mi się nie chciało pana zaczepiać.

- Tom rad, że przecie pan się odezwał. Powiem Jaškowi, żeby kul [matnia, środek niewodu.] zastawił i co się złapie, do dworu zaniósł. Ja też do pana prośbę mam.

- Będę rad spełnić.

- Może bym ze dworu jakich książek dostać mógł - matce czasem, w święta poczytać.

- Owszem, owszem. Poszukam u ciotki i jutro do siana po południu idąc tędy, przyniosę.

Stali przed sobą i mimo woli, jedną myślą jakby wiedzeni, uścisnęli sobie ręce.

Chłopak już był daleko, gdy staruszka szepnęła:

- Biedne to dziecko!

- Jak to? - spytała Szymborska.

- Bardzo słaby, jak łożyna dusza gnie się, kędy kto chce, i już ma w sobie drzenie strachu, coś go trapi, gnębi! Źle mu jest, trwożnie!

- Pani tak każdego zna, przeczuje, odgadnie. A ja jaka? - zaśmiała się kobieta.

- W gorączce jest dusza, w żarze. Przyjdą łzy, przyjdzie zdrowie! - szepnęła staruszka.

Kobieta umilkła przejęta, milczał i Adam zapatrzony w srebrną od miesiąca toń jeziora.

A po długiej chwili staruszka rzekła powoli tonem pacierza:

- Miłujesz, Panie, wszystko co jest i nic nie masz w nienawiści z tego, coś uczynił, i przepuszczasz wszystkim, gdyż Twoje są, Panie, który dusze miłujesz.

Szymborska spojrzała na Adama z posądzeniem, że musiał o nich matce powiedzieć, ale zawstydyła się swego podejrzenia twarzy jego wyraz widząc i ująwszy go za rękę, pocałowała.

I wtedy spojrzeli na siebie raz pierwszy - duszą.

- Pójdę już! - rzekła wstając. - Pozwoli mi pani przyjść do siebie w dzień z robotą?

- Daj Boże wszystko dobre za to!

Adam wstał także i poszli razem.

I weszło w zwyczaj, że Szymborska przychodziła z robotą do ślepej staruszki i że opowiadała o sobie, aż ze wszystkiego się zwierzyła.

A po tym wyznaniu nie upokorzenie czuła, ale jakąś godność i rzewność miękką. Czuła też, że otworzyły się jej oczy duszy na wiele rzeczy, że była zuchwałą, próżną, leniwą, grymaśną i upartą, zobaczyła siebie raz pierwszy, zastanowiła się nad życiem.

A działo się to powoli, nieznacznie, dzień za dniem. Staruszka pytała z życzliwym zajęciem i z subtelną delikatnością dobroci świętej litowała się, tłumaczyła błąd każdy, łagodziła słodyczą wybuch, cieszyła w zniechęceniu i goryczy.

Bywały same zwykle, bo Adam pracował od świtu i często nawet w nocy miał przy maszynach reperację, a co wieczór szedł do Baczyńskiego z raportem, ale i względem niego zmieniła się Szymborska. Miłość jej z dzikiego szału przeszła w uwielbienie, cześć i w serdeczne lubienie, jakby się zaraziła kultem staruszki dla tego ukochanego jedynaka.

Nigdy go staruszka nie pytała o nic, ani o życie lat tyłu, ani o losy przebyte, ani o myśli i czyny, ani o stosunki. Ani się trwożyła o niego, ani mu o sobie opowiadała - cała w szczęśliwości, że jest w jego opiece, i przecuciem swym dusznym o niego spokojna.

Nawet rękę jego tylekroć w swych dłoniach trzymając nie spytała, z kim, kiedy zamienił ślubną obrączkę, czy żyje, czy umarła żona, czy kochał, czy cierpiał.

Nie poprosiła go też nigdy o cokolwiek dla siebie, nie potrzebowała nic, broniąc się, wymawiając, gdy jej sprawił jaką wygodę lub przyjemność. Najwyższym szczęściem były dla niej dni świąteczne. Bywali wtedy we dwoje tylko; siadywali na ławce w słońcu i on jej głośno czytywał.

Wojdak dostarczał książek i wstępował czasami do myłna na papierosa i pewnego dnia zwierzył się Adamowi, że ma nadzieję na lepszą posadę.

Pisała matka, że miała list od pani Janiszewskiej z zapytaniem o mnie. U jej pierwszego męża służył mój brat w cukrowni, a ten drugi mąż ma olbrzymie dobra na Podolu. Jednego dnia stąd bym drapnął, tak mi wujostwo obmierzli!

Adam długą chwilę opanowywał wrażenie, zanim spokojnie spytał:

- Brat pana w jakiej służył cukrowni?

- W Zbylczycach. Administrował ją pan Jaworski: zginął kilka lat temu na kolei, pociąg się rozbił. Podobno zapłaciła kolej wdowie grubo za to nieszczęście. Popłakała, żałobę odnosiła, a już półtora roku jak wyszła za starego Janiszewskiego.

- Zna pan tę rodzinę?

- Nie, Józef znał.

Gdy Wojdak odszedł, po długiej chwili staruszka rzekła:

- A tyś tych państwa znał?

- Znałem - odparł krótko, a ona nie śmiała pytać więcej.

Ale w kilka dni potem zebrała się znów na odwagę, i spytała go:

- Adasiu, kto jest pan Jakubowicz?

- Szwagier mego gospodarza, pana Baczyńskiego.

- To zły człowiek.

- Skąd matka tak myśli?

- Szymborska mówi, że on chce ciebie pozbawić posady.

- On adwokat; młynarzem nie będzie.

- Ale oni oboje z siostrą radzi by skrzywdzić dzieci, sieroty.

- Może to tylko podejrzenie, plotka. A zresztą Baczyński dzieci kocha.

- Mnie straszno o ciebie.

- Czy matce znów się coś śniło? - uśmiechnął się.

- Nie, tylko ot, głupia stara jestem. Tyleś lat był beze mnie, a teraz jakoś mi strasznie, że beze mnie zostaniesz.

- Jak to?

- Bo ja już prędko, dziecko jedyne, ślepą nie będę.

- Co matce?

- Nic, synku, nic. Z tamtej strony każdemu wzrok wraca.

- Matka się czuje słaba?

- Nie, dobrze mi! Mój Boże, przy tobie być. Tak mi dobrze!

Objęła go za głowę, z zgasłych oczu pociekło łez kilka.

Zaniepokoił się, ale przecie wyglądała jak zwykle, krzątała się po izbie żwawo, nie dostrzegł żadnej zmiany, a że Szymborska nie przychodziła od jakiegoś czasu, z powodu choroby swojej matki, nie miał się z kim niepokojem podzielić. Młyn się też zepsuł i odwrócił jego uwagę od domowych spraw - przez kilka dni ledwie na chwilę do izby zaglądał.

Pewnej nocy z ciężkiego snu zbudziło go wołanie. Poznał głos staruszki i zerwał się.

- Co matce? - spytał zapalając światło.

- Chodź, synku, do mnie! Niech cię pożegnam - mówiła prędko, niespokojnie.

Zaświecił jej w twarz, była biała jak ściana. Ręką szukała go, w powietrzu krzyż kreśląc i mówiąc spiesznie, a coraz ciszej:

- Niech cię Bóg strzeże, na swojej drodze prowadzi. Dziękuję ci, dziękuję, za wszystko, już mi jasno. Nie lękam się o ciebie, dobryś, spotkamy się! Daj ci Boże, daj łaskę, moc, złotą szatę!

Mowa przeszła w szept prawie nieuchwytny, w tchnienie, w ciszę.

Gdy Jaworski z wrażenia się opamiętał, poderwał ją, podał do ust wody, już duch się wyrwał z więzienia, już na posłaniu były tylko zwłoki.

Przesiedział przy nich do rana, nie mogąc się pozbyć myśli, że gdy teraz ona wszystko widzi, wszystko wie, jak go sądzi. Gdy słońce weszło, spojrział nieśmiało w twarz zmarłej. Stężała, spokojna, zdawała się doń dobrotliwie uśmiechać.

Tedy powstał i on uspokojony, rękę zimną ucałował, na oczy nacisnął powieki i poszedł, by zająć się pogrzebem.

Gdy spoczęła już w ziemi i znalazł się na powrót sam w swej izbie, przejrzał węzełek szmat, które z sobą przywiozła. Znalazł papierów urzędowych parę - jakieś listy, fotografię i starą książkę, pisaną, z modlitwami.

Akt jej wdowi był w papierach i metryka chrzestna syna, i cenzury gimnazjalne, a potem już tylko te dwa listy, które on pisał. Lecz ślady były na nich widoczne, a ileż było niewiadomych pocałunków rozekłanych ust.

I ten obcy poczuł się po tej cudzej matce jakby rodzonym sierotą.

Wieczorem przybiegła Szymborska. Od dawna raz pierwszy znowu byli sami, ale jakby przejści majestatem śmierci, siedzieli obok siebie na ławce pod ścianą, uroczyści i skupieni, czując obecność i powagę zmarłej nad sobą.

Kobieta spieszyła do domu, matka była ciężko chora, roboty nadmiar i znów Jaworski sam został zamyślony, skupiony w sobie.

Było już zupełnie ciemno w izbie, gdy ktoś wszedł, Wojdak.

- Czy pan już śpi? - spytał nieśmiało.

- Nie. Zaraz lampę zapalę.

- Nie trzeba. Tak lepiej. Mam pana o coś poprosić. Wolę po ciemku.

- Mów pan! Z miłą chęcią usłużę, jeśli w mocy.

Wojdak usiadł i milczał chwilę.

- Pan pewnie znowu grał z Jakubowiczem? - rzekł Jaworski, żeby go ośmielić.

- Nie. Gorzej! Czy pan ma wpływ na Baczyńskiego?

- Żeby panu pożyczyć pieniędzy?

- Żeby panu oddać na przechowanie weksel, który mu przyniosłem kiedyś.

- Pański?

- Nie. Wuj.

- Pana Staniewskiego, administratora?

- Tak.

Pan woli, żeby był u mnie? Dlaczego?

- Bo to ciotka mi go dała, blankiet z podpisem. Wuj nie wie, że on u mnie. Mam posadę, wyjeżdżam, pisałem do matki, przyznałem się, dostanę pieniądze na Nowy Rok, odeślę, zapłacę. Ale Baczyński może by wujowi powiedział, ciotka miałaby awanturę, niech ten dowód będzie u pana. I ciotka, i ja będziemy spokojni.

- Dobrze, jutro to panu załatwię.

Wojdak nie odchodził, zapalił papierosa, przeszedł się parę razy po izbie i znowu obok Adama usiadł.

- Pan pewnie źle myśli o mnie z powodu tego długu. Upoili mnie raz, zgrałem się u Jakubowiczów, może i dopisali.

- O nikim źle nie myślę, tylko mi pana żal. Z takiej zabawy zawsze troska i bieda.

- Wiem. Mnie się zdaje, że stryczek mam na szyi.

- Nie trzeba nadto się gnębić. Dojrzeje pan po tej próbie.

Wziął w dłoń rękę chłopaka, ale ten ją cofnął prędko, zerwał się i mruknąwszy pożegnanie wyszedł. Nazajutrz po konferencji z Baczyńskim Jaworski sprawę zagał, ale stary nie dał mu skończyć:

- Skądże ty jesteś w takiej kofidencji z takim?

- W żadnej, prosił mnie. Myślę, że pan mi zawierzy, na Nowy Rok, jeśli nie zapłaci, weksel zwrócę!

- A nie rozumiesz, dlaczego on tego weksła się boi?

- Nie chciałby ciotki narazić. Może rządca nie wie, komu żona weksel dała.

- Tak ci to przedstawił. No, to ja ci powiem prawdę. O tym wekslu i ciotka nie wie, bo on go sam sfałszował. Rozumiesz teraz? Nie wierzysz, no to go sobie obejrzyj.

Stary sięgnął w głębokości fotela, dobył pugilares i położył na stole nieszczęsny blankiet.

- Znasz pismo rządcy? Porównaj! Nawet się nie bardzo facygował o podobieństwo. Ja wziąłem, bo się nie boję. Rządca zapłaci i żebym był cicho, nie podwyższy mi dzierżawy młyna. Dlatego ten weksel będzie tu, u mnie!

Zaśmiał się złośliwie i pugilares schował.

- Co, milczysz? Wstyd ci, że za takim gałganem się wstawiłeś. O, ten zajdzie wysoko, na stryczek!

Jaworskiemu się zdało, że za oknem szelest się rozległ.

Podniósł oczy, nie było nikogo.

- Milczę, bo mnie boli równie jego czyn, jak i pana. On źle postąpił, ale i panu nie godzi się tego wyzyskać. Niech mu pan odda ten weksel! Może od pana zależy cała jego przyszłość, zbawienie, opamiętanie, odrodzenie.

- Oszalałeś! - wybuchnął Baczyński. - Równasz mnie z fałszerzem. Chybaś mu kompan!

Jaworski bez słowa wziął za czapkę i wyszedł. W tej chwili pomyślał raz pierwszy z żalem o swym niedostatku. Żeby mieć te czterysta rubli.

Nie miał i nikt mu nie pożyczy, bezsilny był. Ogarnęła go groza jakaś, tysiące niewykonalnych sposobów ratunku przeleciało przez głowę, przecucie jakiejś klęski. Minął młyn, poszedł do dworu, do stacji Wojdaka, ale była zaryglowana. Tedy przypomniał sobie szelest za oknem i domyślił się, że chłopak ze dworu do izby zaglądał i już wiedział o odmowie Baczyńskiego, i że może już nie śmie Jaworskiemu się pokazać po odkryciu prawdy.

Gnany nieznośnym niepokojem szukał Wojdaka w miasteczku na próżno i wreszcie wrócił do młyna pochłonięty myślą wynalezienia ratunku.

Nazajutrz od rana miał pilną robotę w magazynie i z gawęd fornali dworskich dowiedział się, że Wojdak w nocy odjechał na stację kolejową. Odczuł ulgę, zwłoka dawała nadzieję obmyślenia przecie jakiego sposobu zażegnania katastrofy. Miał głębokie wewnętrzne przeświadczenie, że nie kto inny, a tylko on powinien wyrwać chłopca z upadku. O południu koło młyna przejechała bryczka Baczyńskich. Baczyńska z Madzią i Jakubowiczem jechali na wesele

jakiejś krewnej w sąsiedztwo. Jaworski poczuł wyrzut sumienia, że wczoraj dał się unieść rozdrażnieniu i rozstał się ze starym szorstko.

Pójdę dziś wieczorem. Będzie sam. Pomówimy raz jeszcze! - postanowił i dzień cały układał, jak mówić będzie, czym argumentować.

Ledwie doczekał wieczora, zdał robotę na starszego młynarczyka i ruszył do miasteczka. Po południu wieść stamtąd przysłała, że organiścina umarła. Zastał Szymborską we łzach i rozpacz. W domu zwykły w takich razach zamęt, więc pozostał z nimi godzin parę dla pomocy i otuchy, i już noc była, gdy się uwolnił.

Było już za późno, by wstąpić do Baczyńskiego, ale gdy mijał posesję, dostrzegł smugę światła przez szparę okienicy, z izby starego, od sadu. Zdziwiło go to, furtka ku jezioru była nie zamknięta, wszedł do sadu, pod okno, chciał zajrzeć do izby. Nagle światło zgasło, skrzypnęły drzwi od ganeczku, jakaś postać w pół zgięta wsunęła się pod nawisłe gałęzie jabłoni.

Jaworski skoczył, uchwycił go za rękaw. Tamten się szarpnął, wyrwał, ale się potknął i upadł. Tedy Jaworski całym ciałem go przygniół i obezwładnił, i otworzył usta, by wołać pomocy, gdy poznał w szarości letniej nocy Wojdaka. Usta nie wydały dźwięku i serce na chwilę ze zgrozy bić przestało, tamten się już nie wrywał. Dźwignęli się obadwa, tedy posłyszał Jaworski szczekanie zębami i świszczący, dyszący oddech.

- Co tam! Co tam się stało? - spytał bez tchu.

- Nie wiem co. Nie wiem jak, uderzyłem raz - wyjąkał chłopak. - Jezus, nie chciałem, nie myślałem, błagałem jak ojca, błagałem.

- Nie zabiłeś przecie? Trzeba ratować! - rzucił się Jaworski do domu.

Ale Wojdak uchwycił go za ramię, trzymał oburącz, trzęsąc się jak w febrze.

- Nie, nie idź, nie idź!

- Nieszczęsny! Zabiłeś!

Wojdak osunął się na ziemię z jękiem.

Stała się chwilowa cisza, taka, że słysząc było aż w drugim końcu miasteczka szczekanie psa, skrzyp zamykanych drzwi, pluskanie ryb w jeziorze, szelest nadbrzeżnych trzciny i padanie jabłek w sadzie.

Jaworski, zapatrzonej w dal, coś słyszał, miał twarz skupioną człowieka, któremu mówią rozkaz: zrazu niedobrze rozumie, potem się wzdyga, waha, wreszcie prostuje się w rygorze posłuchu. Chwilę w tej gotowości stał, wreszcie osunął się i on na ziemię, położył rękę na głowie leżącego.

- Chłopcze, dziecko nieszczęśliwe! Jak to się stało? - spytał litośnym szeptem.

Głuche łkanie było odpowiedzią.

- Zmóz się! Czas leci. Musisz się ratować!

- Zabiłem! Nie ma ratunku!

- Zmóz się! Opowiedz, jakieś się dostał tutaj! Widział cię kto?

- Nie. Na drugiej stacji wysiadłem. Leciałem bez drogi, przepłynąłem jeziorem. Wszedłem do sadu, ganek był otwarty, błagałem go, odmówił, począł wymyślać, drwić, uderzyłem.

- Czym? Broń miałeś?

- Pięścią. Chciał krzycheć, chwyciłem za gardło, uderzyłem jeszcze raz w skroń, powalił się naprzód, chwyciłem pugilares, znalazłem weksel, wtedy zrozumiałem, że gdy z omdlenia wyjdzie, nazwie mnie. Złąłem się, przypadłem do niego, dotknąłem, a on krwi miał pełne usta, nozdrza i był już stygnący. Zabiłem, zginąłem!

- Nie widział cię nikt? Uchodź!

- A pan?

- Słuchaj, zmóz się! Mnie przysięgniesz troje!

- Co? Jak? Ja? Panu?

- Tak. Przysięgniesz, że za tę krew, coś wylał, uszanujesz odtąd wszystko żyjące. Wszystko! Rozumiesz? Będziesz szanował każdego i wszystkich. Nie ukrzywdzisz, nie sponiewierasz, Nie nadużyjesz. Pamiętaj! Święty ci powinien być i nietykalny każdy człowiek!

- Boże, przysięgam! Żebym wiedział, że się uratuję?

- I przysięgniesz, że będziesz siebie szanować. Nie wolno ci żyć jak dotąd, bo wiesz, dokąd taka droga prowadzi. Rozumiesz?

- Nie wyda mnie pan? O Jezu!

- Jeśli przysięgi dochowasz, nie wydam!

- Przysięgam.

- I przysięgniesz, że co by się nie stało tutaj, ani tu wrócisz, ani pytać nie będziesz, ani wspomnisz nigdy, żeś mnie znał!

- Jak to? Dlaczego?

- Bo ja tak chcę i tak być powinno.

- Przysięgam!

- A teraz ja ci przysięgam nawzajem, że nigdy, do śmierci, nie powiem o tobie złego słowa, żeś bezpieczny w mej opiece i przyjaźni jak dziecko rodzone. Nie powiem i nie pomyślę, bo mi cię żał serdecznie, i pewny jestem, że przed tobą inna droga i że gdy o mnie wspomnisz, troje swych przysięg dotrzymasz. Wstań!

Wojdak dźwignął się. Czuć było, że go po strasznym wrażeniu ogarnia jakby odrętwienie.

- Gdzie czółno? - spytał Jaworski.

- Tu, w trzcinach!

- Siadaj w nie, zostaw, gdzieś wzięł, idź na kolej, jedź na posadę. Zmóż się, pracuj, zmusz się nie okazać. Sądu ni kary ludzkiej się nie bój. Nie będzie na ciebie żadnej poszlaki, żadnego śledztwa, najmniejszego podejrzenia. Jedź, czas nagli!

- Ale za co, dlaczego pan chce mnie ratować? Nie wart jestem. Zabiłem!

- Kto z nas nie zabójca, jeśli nie ciała, to duszy bliźniej? Tego się strzeż, tego się waruj. Śpiesz! Spamiętaj, coś przysięgał. Dlatego cię ratuję. Prędej!

Wojdak jak automat poszedł ku jezioru. Jaworski chwilę nasłuchiwał plusku oddalającego się czółna, potem wszedł do domu.

Zabłyło znowu światło przez szparę okiennicy, zabawił w izbie nie więcej kwadransa i wyszedł na powrót nad jezioro.

Łodzi już i śladu nie było na wodzie, i znowu trwała cisza nocna w oddali, to tu, to tam ozwały się północne kury. Miasteczko spało twardo. Jaworski skręcił w uliczkę, do rynku i po chwili zakołatał w okno policyjnej kwatery.

Otworzył mu zaspany strażnik.

- A co tam? Czego?

- Przyszedłem do naczelnika. Nieszczęście się stało. Zabiłem Baczyńskiego.

XI

Odczuł Adam Jaworski jakby uderzenie w piersi kłębu czystego, mocnego, górskiego powietrza. Chwilę się czuł jakby pijany od tego wrażenia, a gdy oprzytomniał, ujrzał przed sobą ranek wczesny, na letni dzień pogodny, i stał na drodze idącej w góry. Mgły jeszcze nocne stały między nim a dniem, który wschodził, a od zarania mgły te były opalowe, bursztynowe, różane, a przesiąkłe były wonią balsamu pąków i woni kwietnej, i rozśpiewane były ptaszym hejnałem. Stanął i rozprostował się, w całą pierś westchnął tę woń, rzeźwość poranku, aż mu zadygotało serce napływem siły i radości, aż wyciągnęły się ramiona w porywie szczęścia na to piękno, które oglądał, pił, chłonał całą duszą.

A mgły opadały w doliny i przed jego zachwyconymi oczami góry występowały całe w złote słońca, utkane w kwiaty, w zielen, we wszelkie barwy skalistych pokładów.

I stał na drodze, która ślimakiem ponad zboczami wiła się ku szczytom, i tą drogą tłum szedł, mozolnie, powoli, jakby niechętnie, a z musu.

Rozejrzał się w tych ludziach i począł witać rozpromieniony radością spotkania, bo długo ich nie widział.

Pozdrowił Samolika zajętego łupaniem kamieni na szosę i przysiadł przy nim na głazie.

- Spocznij, daj mi młotek, pomogę ci! - rzekł.

Tamten z ubolewaniem, z niedowierzaniem rzekł:

- Maszże jeszcze moc, po więziennym chlebie?

- Mam moc, że zda się skały te bym nosił! Robiłbym za dziesięciu... tylko że mi trzeba iść!

W górę!

A gdy bił kamienie z uciechą okrutną, przystanął przy nim Własow ze swą artelą (spółdzielnią pracy) i poczęli mu ręce ściskać, radować się.

- Karluszką brat! Wypuścili cię na wolę. Chwała Bogu! Zostańże z nami. Mocny ty, kiedy cię robactwo turemne nie zjadło.

O jakim oni mówili robactwie, kiedy on się czuł taki czysty, zdrowy, mocny, i tak go rwało dalej!

Nie mógł z nimi iść tak wolno, wyprzedził.

I znowu spotkał Janowskiego siedzącego na brzegu drogi, i tak nim się ucieszył, że go ramieniem objął, uściskał, i tak w objęciu spojrzeli sobie w oczy przez mgłę z łez, i chwilę szli razem, aż zgubili w tłumie, a wpodłe siebie ujrzał Jaworski starego Lejbę Minca i Kacperskiego stolarza.

Witał, śmiał się do nich, pytał, odpowiadał, ale nie mógł długo bawić, bo go coś pędziło, rwało, niosło dalej, wyżej.

A wreszcie zdało mu się, że cały tłum zna, kocha, każdego pozdrawiał, każdemu chciał usłużyć, każdemu pokazywał jasność, co się jarzyła na szczycie gór, i mówił:

- Tam trzeba nam wszystkim być.
- Gdzie? Nie widzę. Ciężko! Daleko! - odpowiedziały głosy.
- Nic to! Dojdziem! - mówił i oczy mu pałały.

Wyprzedzał ich, oglądał się, wołał, ale droga była zda się bez końca, tak nieznacznie się podnosiła, więc spojrzął w bok, na ścianę skalną, i zobaczył ścieżkę stromą, prostką. Zatrzymał się. Moc miał, ale go chwycił chwilowy zawrót głowy, zawahał się.

A wtem ujrzał obok siebie Władka Wojdaka.

- Pomożesz mi! Stój tu przy skale! O ciebie się oprę, wskoczę het na tę ścieżkę. Tam mi trzeba, na szczyt!

I znalazł się ponad wygodną drogą, wśród skalnych złomów, i jął się piąć prostopadłe, po gzymsach góry!

Jakie tam kwitły kwiaty i jakie wody były w źródełkach, i jakie ptaki w szczelinach słały, gniazda - i był sam.

Na szerszy próg się dźwignął i stanął.

Dzień się już zrobił i miał pod sobą obszar ziemi słońcem zalany, i miał w sobie pieśń ciszy!

- Spocznij! - rzekł jakiś głos.

Ujrzał postać z połą szaty zarzuconą na oblicze i ramiona do niej wyciągnął.

- Błogosławiony bądź, żeś mnie wiódł w ten świat! - rzekł przez łyzy uszczęśliwienia, korząc mu się do stóp.

A On mu ręce złożył na głowie, z której włos był zgolony i która pokryta była wstrętnymi ranami wyżartymi przez robactwo i brud.

- Radujesz się życiem? - spytał.
- Raduję, Panie.
- Nie lękasz się śmierci?
- Nie, Panie.
- Nie trudno ci miłować wszystko i wszystkich?
- Miłuję, Panie.
- Nie masz się za lepszego od tamtych na dole?

- Tyś, Panie, z każdym. Doliny Twoje i góry! Zali wiem, kto mnie wyprzedzi? Ale wiem, że mnie do szczytu jeszcze długa droga.

- Nie trać mocy, idź! Atma będzie z tobą! A dam twym oczom, by mnie widziały w każdej rzeczy, w każdej chwili. Szatęś wybielił, synu!

I przeszły dłonie po odzieży jego brudnej, cuchnącej, pełnej plugastwa, po członkach jego wychudłych, zeskorupiałych od niechlujstwa, stoczonych nędzą. Ale Jaworski czuł się czysty, mocny, radosny jak ten letni dzień i ten błękit nieba, więc oczy do Niego podniósł i rzekł:

- Błogosław, Panie, tak wszystkim, jakieś mnie błogosławił, i niech Cię każdy zrozumie jako ja! I daj wszystkim moją radość czuć i szczęście.

- Powiadaj ją, śpiewaj tym dolinom! - rzekł głos.

I był Jaworski znowu sam na skalnym progu, wśród górskich kwiatów, w słoneczności i woni letniego dnia, i począł śpiewać jak wśród błękitu.

- Karliński! No, obudźże się! - ktoś go trącał, wstrząsał, szturgał.

Zdało mu się, że oczy zamykał, a on je otworzył i nie rozumiał, co się z nim stało, gdzie jest, kim jest, czego od niego chcą.

Karliński? Kto to? Aha, to ten robotnik, pijak, co umarł w szpitalnej izbie, przy barakach w Zbylczycach.

Prawda. Izba bielona, pusta, drewniana prycza, okno niewielkie, wysoko nad ziemią, a w nim łuna zachodu słońca. Karliński umiera, a za ścianą piskliwy głos Jagusi kucharki zawodzi:

O mój Jasieńku, na rany Boga!

Słońce zachodzi - daleka droga!

- Karliński! Czort! Upiła się kanalia! Wstawaj! Wołają ciebie.

Brutalna dłoń szarpnęła go za ramię, poczuł pięść na żebrach. Zerwał się.

- Co to? Przecie po sprawie, po wyroku! Czego chcecie? Nie będzie już śledztwa!

- Co ty? Chory czy pijany? To ja, Semeniuk! Wstawaj, wołają cię. Masz odwiedziny! Żona do cię przyszła!

- Żona!

Usiadł na pryczy, oprzytomniał. Ujrzał wyraźnie więzienną izbę, towarzyszy skazańców leżących pod ścianami, dozorcę Semeniuka.

Żona! Prawda. W paszporcie Karlińskiego była adnotacja "żonaty" i miał Jaworski dotąd ukrytą na sznurku na szyi obrączkę, wykupioną niegdyś przed laty od Żyda-gałganiarza.

Odziedziczył matkę, odziedziczył żonę.

Jakże znalazła jego ślad w morzu szarej émy roboczej, bezimiennej? Prawda, był mordercą, pisano o nim w gazetach, mówiono ze zgrozą, szeroko. Musiała się dowiedzieć wypadkiem i przysłała. Po co? Nie da jej schronu ni opieki. Zresztą ona nie ślepa. Ujrzy, że się omyliła, rada będzie, że ten zbrodniarz jej obcy.

Wstał i poszedł za dozorcą. Semeniuk na powrót izbę zaryglował i rzekł z cicha:

- Idź sam! Kobieta czeka w izbie, przy sieni wchodowej. Ja mam robotę. Przyjdę za pół godziny.

- Dziękuję wam! - odparł.

- Nu, nic. Ja tobie wierzę!

Jaworski minął korytarz, otworzył wskazane drzwi. Cella była niewielka i za wyjątkiem jednej ławy pod ścianą pusta.

Teraz ją całą zalewał złoty zachód, bijąc w okratowane okno, i w tym blasku stała kobieta wpatrzona w drzwi.

Gdy stanął w progu, od razu się oczami objęli i on pozostał skamieniały, ze wzrokiem jakby olśniałym, znowu, zda się, przeniesionym w inny świat, w którym był przedtem, nim go obudzono.

Jakiś wyraz poruszył jego wargi, bez dźwięku, całe złoto i szkarłat słoneczny miał w źrenicach. Czy to trwało minuty, czy życie całej wieczności istnień i wspomnień?

- To ty... - rzekła kobieta bez dziwu, bez grozy, nie pytająca, nie wątpiąca - spokojna.

- Atma! - wyrwał mu się głos jak promień.

Zatopili w sobie oczy aż w dusze, w serca, w głębie Boskiej ciszy i nie mieli więcej słów.

Usiedli na ławie, splotły się dłonie w uścisk, skroń o skroń się wsparła, zapatrzyli się w słońce za kratą i mieli twarze skupione, w coś wsłuchane, wszystko widzące i rozumiejące.

Na korytarzu rozległy się kroki, brzęk kluczy, na progu stanął Semeniuk.

- Karliński, idź na swój numer! Zaraz wieczorna rewizja.

Powstali. Wtedy przemówiła:

- Kiedy stąd odchodzimy?

- Pojutrze rano - odparł i po chwili dodał:

- Razem.

- Już zawsze! - rzekła z promiennym uśmiechem.